

1939

PARA CZERWONA.

Obrazek współczesny

narysowany z natury

przez

B. Bolesławitę.

All is true



Tom II.

LIPSK.

w komissie A. Wienbracka.

1865.



Dzień był pochmurny, w celi więźnia światło cedzone przez szyby grubą warstwą pyłu pokryte, dochodziło mdle i szare, po kątach panowała prawie nocna ciemność. — Karol przechadzał się wzdłuż pokoiku po tych deskach, na których kroki jego poprzedników zostawiły drogę boleści widomą, głowa jego na piersi zwieszona i połamane czoło kazały się domyślać ciężkich myśli. Niekiedy stawał i zapominał się tak długo; choć męznego ducha, w obec dziwnego położenia w jakie go losy rzuciły, czuł się rzzstrojonym i bojaźliwym chwilami. Trzeba było silniejszej nad inne pobudki dobra publicznego dla którego miał pracować, aby się zebrał na odwagę do ucieczki, która jest zawsze upokarzającą. To cofanie się przed niebezpieczeństwem wstrętliwem jest dla dusz do prawdy i jasnych dróg nawykłych. Ale mógłże postąpić inaczej? Nie uciekał od cierpie-

nia, stawiał się na rozkaz swój władzy, która mu znać dawała, że go potrzebuje i nikim zastąpić nie może. Wszystkie wszakże przygotowania do tego niebezpiecznego kroku nabawiały go jakimś wstrętem, były mu niemiłe jak fałsz, którym brzydziła się jego dusza. Mówił sobie stokroć, że lepiej by może było pozostać, znosić męczarnie i pójść z podniesionem czołem choćby na rusztowanie. Nalegano nań wszakże i musiał być posłusznym.

Tomaszek roznoszący ranną kawę, niewiem pod jakim pozorem wziął na się dwa płaszcze żołnierskie i jeden z nich wraz ze wszelkimi przyborami tego stroju, czapką, butami itp. leżał już za piecem. Ku wieczorowi potrzeba było przystrzyż brodę, tak aby się tylko nie świeżo ogoloną wydawała, popodcinać wąsy, a na łóżku, na wypadek gdyby kto zajrzał, ułożyć z słomy więtej z siennika bałwana odwróconego do ściany, który miał na niejakiś czas wyobrażać więźnia. W czasie godzin przygotowania Nikifor był na straży, a po południu w chwili ucieczki on miał stojącego w kurytarzu żołnierza zagadać, gdy więźniowi dadzą znak do wyjścia. Dzień chwilami ciągnął się leniwo, to znowu leciał jak strzała, zdawało się, że na przygotowania nie wystarczy

czasu. Obiadu przyniesionego przez żołnierza nie tknął, chcąc się go zbyć prędzej, po obiedzie miała się dokonać sprawa życia lub śmierci, swobody lub szubienicy.

Szczęściem niebo wciąż było chmurne, czas dżdżysty i posępny. Przewidziano przypadek ten że wynoszącego ceber z wodą Karola może kto z oficerów napotkać i pytać, a że nie umiał ani słowa po rosyjsku i byłby się wydał głosem i akcentem, Tomaszek poradził związać płachtą brudną (konieczną była brudna, czysta wydałaby się nieprawdopodobną) twarz, jakoby od bólu zębów. Wiadro miało stać w końcu korytarza. Na wypadek spytania w bramie, odkradziona kartka z pozwoleniem wyniścia, była za rękawem sukni Karola. Wszystko zdawało się obmyślane naprzód, przewidziane i obrachowane.

Jakoż, zaraz po wyniesieniu jedzenia, Karol zajął się trudną dosyć robotą około ułożenia tego maniaaka, który go tu miał zastępować.

Lecz zaledwie się wziął do tego, a szło mu wielce niezgrabnie, brzęk się dał słyszeć na korytarzu. Karol musiał co najrychlej porozrzucać wszystko, i po chwili wszedł plac-komendant dla oglądania więźniów. Zdawało się wszystko straconem, gdyż dość było żeby zobaczył mundur

leżący za piecem, wydałyby się natychmiast zamiary téj śmiałej ucieczki, lub obudziło podejrzenie. Słomy wyrzuconej z tapczana nie było nawet czasu nazad ułożyć i gdy komendant w progu się ukazał, Karol zaięty był jeszcze około swojego łóżka.

Oficer od straży i plac-adjutant towarzyszyli komendantowi, który wszedłszy oglądać celę i więźnia, naprzód z góry nań powstał, jak śmie tu u siebie taki robić nieład.

Chociaż Karol był przekonany, że wedle zwyczaju wartując wszystkie kąty izby, znajdą odzież i cały plan tak pracowicie osnuty przypadnie, potrzeba było do ostatka nadrabiać fałszem. Odwrócił się więc do krzyczącego oficera i rzekł spokojnie:

— Chciałem sobie przesłać łóżko...

— Wiecie, że tu nic tknąć nie wolno? zakrzyczał gbur tupiąc nogą, — co to? potrzeba wam puchu i pierzyny? chorzy jesteście to proście się do szpitala?

— Bardzo przepraszam, odezwał się Karol łagodnie — niewiedzialem o przepisach.

Moskał pokazawszy zrazu minę groźną, udo-bruchał się, spytał więźnia czy nie potrzebuje czego, czy nie chce się skarżyć o co? a gdy otrzy-

mał odpowiedź, rzuciwszy okiem na izbę, szczęściem coś tylko pomruczawszy adjutantowi, pożegnał i wytoczył się z całą swą świtą.

Gdyby nie ta roztrzęsiona słoma i nie ten gniew, kto wie czyby był nie pilniej oglądał izdebkę, a naówczas mundurby się nie ukrył przed jego okiem.

Chociaż wszystko już minęło, Karol uważał całą rzecz za straconą, zdawało mu się, że tego przynajmniej dnia ani myśleć nie można o ucieczce. Usiadł ocierając zimny pot z czoła, gdy Nikifor wszedł a raczej zajrzał szybko przezedrzwi i ruchem przynaglił do pospiesznego wyboru.

Karol więc znowu jął się roboty około bałwana i jakkolwiek mu się go udało ulepić, okrywając odzieżą którą zwykle nosił, ale głowa okazała się niezmiernie do wykonania trudną. Ze zmiętej słomy niepodobna było prawdopodobnej głowy wyksztalić i bielizna na ten cel użyta nie wiele pomogła. Karol przypatrując się swemu dziełu, czuł, że po tej jednej części poznałby zaraz fałsz. Pocieszał się tą nadzieją wszakże, iż nie wszyscy oficerowie rosyjscy mają poczucie prawdy. Spiesznie potem przyszło się przekształcać i przeobrażać, bo puknięcie do drzwi celi lekkie, lub trzykrotne chrząknięcie w korytarzu

miały oznajmić o porze do wyjścia właściwój. — Karol, któremu Nikifor dał tylko małeńki złomek zwierciadełka, dosyć nieźle obciął brodę, choć w pośpiechu tępe nożyczki w kilku miejscach włosy ze skórą razem wystrzygły; nadział potem płaszcz trochę nań zaciasny, buty, czapkę, i gdy się przejrzał w lusterku sam się niepoznał prawie, tak był zmienionym. Dało mu to nieco otuchy, że i drudzy się może nie domyślą w nim więźnia...

Już dawno był gotów i czekał przy drzwiach tylko, ale znak ów spodziewany nie dawał się słyszeć. Myślał nawet iż jakaś zaszła przeszkoda i chciał się już rozbierać, gdy chrząknięcie dało się słyszeć na korytarzu, raz, drugi i trzeci. Mimowolnie drgnął na to hasło.

Wyczekawszy chwilę, ostrożnie przemknął drzwi, wysliznął się, zamknął je za sobą, a gdy się poczuł na korytarzu, jakby mgłą zaszły mu oczy. Krew nagle uderzyła do głowy, na chwilę był pewien że padnie i dalej przytomnie pokierować sobą nie potrafi. Odwrócił głowę i ujrzał za sobą Nikifora, który zatrzymał był wartę i o coś ją napytywał. Potrzeba było jak najspieszniej z téj dywersji korzystać — ale Karol zapomniał w którą stronę po stojące wiadro udać mu się kazano, i rzucił się na ślepo przed siebie. Szczę-

ściem nogi mu się trzęsły i musiał iść wolnym krokiem, choć chciałby był jak strzała uciekać.

Korytarz pełen drzwi numerowanych, dość ciemny, ciągnął się długo, aż w końcu jego widać było drzwi i chodzącego przed niemi szyldwachia. Tu podobno stać miało na pół próżne wiadro, które Karol powinien był zabrać i wynieść z sobą. Ale droga do wyjścia zdała mu się piekielnie długą, a wiadra, które oznaczało że się nie omylił w kierunku, nie dostrzegał. Prawda, że mu się w oczach ćmiło. — Tomaszek zalecił także, żeby szedł powoli i uważał, aby się nie spotkał ze strażą, która go mogła zaczepić. Nie szło o to by go poznała, bo tu żołnierze wszyscy znać się nie mogą, ale żeby uniknąć rozmowy. W razie zapytania, Karol miał tylko machnąć ręką i nie odpowiadać, iść dalej powoli i nakuliwając.

Na zachowanie tych wszystkich ostrożności przepisów, należało mieć wiele więcej przytomności i zimnej krwi, niż jój Karol miał w tej chwili.

Zbliżał się już do drzwi od podwórza, gdy w korytarz wszedł z hałasem oficer. Karol wedle przepisu zdjął czapkę, wyprostował się a spuszcza-
jąc rękę w dół, szczęściem namacał wiadro którego właśnie szukał nie mogąc znaleźć. Oficer

spojrzał nań, kiwnął głową i poszedł dalej. Mimowolnie odwrócił się, by spojrzeć dokąd idzie, i zdało mu się, że szedł do jego celi, ale już nie było czasu rozmyślać, ani się cofać i Karol ująwszy wiadro, pominął szyldwacha i wszedł w oparłkaniony wysoko zewsząd dziedziniec. Ścieżka opisana mu dobrze i zresztą znaczna prowadziła do wrót u których jeszcze jedna straż wartowała, po za nią miał kędyś oczekiwać Tomaszek i towarzyszyć zbiegowi do mostu i bramy. Opodal stał za wzgórzem powóz.

Przypadek chciał wystawić Karola na najcięższe próby, jakie można było w jego położeniu przechodzić — brama otworzyła się i powolnym krokiem wszedł przez nią generał Roźnow, dłu biąc w zębach i rozglądając się po tém swojém królestwie, w którem był panem życia i śmierci tylu nieszczęśliwych ludzi.

Karol ustąpił mu wprawdzie ze ścieżki, zdjął czapkę, wyprostował się jak tylko mógł i umiał, ale ta nieszczęsna płachta, którą miał zawiązaną twarz, ściągnęła nań baczne oko generała. Skinął nań aby się zbliżył. Karol niezrozumiał, generał skłonny do gniewu, zaczął krzyczeć:

— Co to! nierozumiesz? ty? jakiś.... psi synu...

Ruchem ręki struchlały i rozjątrzony młodzieniec ledwie miał tyle przytomności by ukazać na uszy.

— Co ty! chory? ha! głuchy... sto czortów! pocóż cię do służby używają! krzyknął jeneral.

— Powiedz mi zaraz unteroficerowi, niech cię zapiszą do lazaretu i odwracając się po dwakroć zawołał jeszcze.

— Paszol, paszol.

Gdyby się był chciał przypatrywać, jak ten jego rozkaz spełnionym został i jak nie po żołniersku odwrócił się Karol, byłby niezawodnie poznał w nim zbiega, ale w téjże chwili zabite deskami okno jednej celi, po nad które wyglądała wywabiona krzykiem głowa blada jakiegoś biedaka, zajęło jego uwagę i nowy obudziło gniew. Począł machać rękami na więźnia, który nie sądząc się postrzeżonym, niedość rychło mu umknął z przed oczów. A chcieć wyglądać w dziedziniec jest już zbrodnią w cytadeli. Cały ten hałas obudził nawet straż zewnętrzną bramy, przez którą Karol miał właśnie z wiadrem przechodzić. Żołnierz stanął mu z bronią na drodze, a gdy nadszedł począł go śmiejąc się zaczepiać.

— Ot szczęśliwiec, szepstal po cichu, ot! przynajmniej sobie odpoczniesz w lazarecie, drugi

gdyby się i prosił, to go tam nie dopuszczą, a temu trochę gęba spuchła i pójdzie się w łóżku wylegać! ot szczęśliwiec!

Przypomniawszy sobie, że mu w razie takięj zaczepki kazano tylko ręką machnąć, Karol użył tego środka i powoli nakuliwając się powłókł.

Teraz, nie licząc spotkań podobnych pierwszemu, już był po za wartami sroższemi, ale go niepokoiło to, że oficer, z którym się zetknął w korytarzu zdawał się iść do jego celi. Tém-bardziej było to prawdopodobnem, że owa rozrzucona niekonstytucyjnie słoma powód do odwiezdzin dać mogła.

Bądź co bądź należało się spieszyć bo alarm mógł być dany i cytadela zamkniętą nim się więzieni wymknął za ostatnią bramę. Karol więc postawiwszy wiadro za płotem, spieszniejszym krokiem skierował się ku zdala stojącemu żołnierzowi, którego sądził być Tomaszkiem.

Gdy go świeże owiało powietrze i jaśniejszy dzień otoczył, gdy po za sobą zostawił rygle i warty, Karol jakoś się uczuł swobodniejszym. Jednak iść mu nie było łatwo, nogi drżały jeszcze i w głowie się kręciło, czuł szum w uszach i jasne płatki latały mu przed oczyma, szedł mi-

mo to, ale zbliżając się do mniemanego Tomaszka poznał, że to był wcale kto inny.

Zołnierz ten zaczął do niego mówić, ale Karol słowa jednego nie umiejąc po rusku musiał znowu tylko ręką machnąć i szedł dalej. Snulo się po szerokich dziedzińcach żoldactwa bez miary, ale nigdzie twarzy Tomaszka dostrzedz nie mógł. Dosyć dobrze powierzchownością swą udając chorobę ze spuszczoną głową szedł tak dalej więcej się kierując instynktem, niż znajomością miejsca. Wcale bowiem nie pamiętał którędy go wprzód prowadzono wśród wszystkich tych gmachów bez charakteru niczem się nie odznaczających i stylem urzędowym koszar pobudowanych. Zabłądzić było nadzwyczaj łatwo, Karol pamiętał tylko na to, żeby iść ciągle w jednym kierunku. Jakoż, choć nie najprostszą drogą i nie spotkawszy nigdzie Tomaszka, który nań czekał gdzieś indziej, wyszedł na ostatni podworec prowadzący do mostu. Szczerściem czekający nań u drugiej bramy Tomasz, postrzegł go jakoś, poznał i, gdy się już Karol nie spodziewał spotkać napędził w drodze. W kilku słowach oznajmił mu natychmiast Karol, że prawdopodobnie w krótkce alarm dany być może, bo z powodu bytności plackomen-danta i rozrzuconej słomy zdawało się, że tam po-

słano oficera. Tomaszek przełękły był mocno, ale ukazawszy drogę Karolowi kazał mu dalej iść samemu, gdyż on dla niepoznaki i ratowania Nikifora musiał się zatrzymać. A choćby alarm zrobiono, spodziewał się, że dla tego umknąć potrafi, byle raz Karol był bezpieczny.

Zbieg więc pospieszył ku mostowi ale w chwili gdy się do niego zbliżał posłyszał za sobą, niezmierny krzyk, hałas, a w krótkce po tém bicie w bębny. Nie można już było wątpić, że ucieczkę jego odkryto. W istocie ta rozrzucona słoma wcześniej daleko zdradziła go niż się spodziewano. Plackomendant człowiek niezmiernie do form przywiązany chociaż na miejscu wielkiej z tego historyj nie robił, za dozwoleństwo mniemanego owego prześcienia łóżka więźniowi srogą dał naganę oficerowi od straży. Oficer pobiegł natychmiast sprawdzić rzecz na miejscu i odebrane łajanie z lichwą oddać swoim żołnierzom. Wpadł tedy groźny i zburzony do izby pod numerem czter-nastym, a postrzegłszy w pomroku, niby leżącego na łóżku więźnia począł go naprzód lżyć i krzyzczyć aby natychmiast wstawał. Słoma, mniej daleko szanująca moskiewskie ukazy niż ludzie, jakoś się nie ruszyła. Oficer zniecierpliwiony raz i drugi targnął owego leżącego na łóżku balwana,

a gdy i to nie pomogło, kopnął go nogą. Jeden z butów nie dość dobrze przytwierdzonych do tapczana upadł na podłogę. Na ten widok moskał, który nawet przypuścić nie umiał możliwości podobnego wypadku, najzupełniej osłupiał. Miejsce z którego but wypadł sterczało słomą, oficer pchnął, potem rzucił się na łóżko i cała ta mierzwiście ułożona postać okazała mu się bardzo niezgrabną kupą, startej słomy i odzieży. Przytomniejszy może człowiek, byłby natychmiast wyleciał i zaalarmował strażę, ale moskał był tak rozgniewany — wściekły, że nim mu na myśl przyszło, wybiedz w korytarz i gonić za zbiegiem, począł z zajadłością znęcać się nad słomą, rozrywać i deptać odzież, rzucać butami na piec, pluć, łajać i t. p.

Wyczerpawszy dopiero wszystkie te środki nieco pierwszą jego zajadłość uspokajające, wyleciał, i nie nikomu nie mówiąc pobiegł wprost do komendanta. Po drodze choć mnóstwo ludzi spotykał a wszyscy wyraźnie wypisany gniew widzieli na jego twarzy, nikomu nie powiedział, komendanta nie zastał w domu, poszedł więc go jeszcze szukać, potem gdy go znalazł tak był przelękły i rozgniewany, że nie rychło przyszedł do słowa. Zaczął mówić tamtém go nie mógł

zrozumieć, naostatek domyśliwszy się już o co chodziło, podobnie jak pierwszy oszalał ze złości. Kazał się prowadzić pod numer czternasty, a przyszedłszy tam uległ nieszczęśliwej pokusie, nie mając kogo bić, rozrucania i deptania tego, co na ziemi znalazł. Oficera oddano natychmiast pod areszt, warty poodmieniano i poaresztowano, a dopiero potem, wysłano rozkazy zamknięcia cytadelli nie wpuszczania i nie wypuszczania nikogo.

Gdy uderzono w bębny Karol był na moście, dosyć spokojnym krokiem zbliżył się do ostatniej strażyl, minął ją i wprzód już ostrzeżony nie poszedł w kierunku ulicy Zakroczymskiej, ale wprost przed siebie. Naciągały gęste chmury i chociaż wieczór nie był późny dosyć się zrobiło ciemno; w oddali za pochyłością wzgórza postrzegł Karol dorożkę i domyślił się, że ona na niego czekała.

Czując, że go natychmiast gonić będą w wielkiej niepewności czy mundur, który miał na sobie, zrzucić czy go zatrzymać; mógł on go zdradzić, ale mógł w pewnym razie obronić. Tu już potrzeba było instynktu podyktowanego przez opatrzność, gdy chce ocalić lub zgubić człowieka. Karol wyrozumował sobie, że w każdym razie mundur był niebezpiecznym. Obejrzawszy się iż

go żołnierz ze straży ani w koło nikt widzieć nie może, spiesźnie zwłokł z siebie tę odzież rzucił ją pod mostek i został w jednym surducie, Czapkę miał w kieszeni. Wykonawszy to pobiegł co-spieszniej do dorożki w której zdała już poznał Młota. Doścignąwszy jęj rzucił się wewnątrz czując, że mu sił braknie.

W istocie ta jedna godzina trwogi i niepewności tak go złamała, że długo do siebie przyjsć nie mógł. Na koźle zamiast dorożkarza postrzegł drugiego z przyjaciół, który skinieniem głowy go powitawszy zaciął konie i spiesźnie ruszyli do miasta okrążając je bo się na prostej drodze pewnej spodziewali pogoni. W istocie wysłano ją, ale tak nie rychło, że gdy się żołnierstwo rozbiegło z rozkazem zatrzymywania wszystkich na drodze od cytradelli, oni już byli w środku miasta, gdzie ich wśród mnóstwa powozów niepodobna było wyszukać. Przez cały czas, gdy w czwał lecieli do miasta, bo wolniej dopiero w Jerozolimskich alejach jechać zaczęli, mimo całego swego męztwa, Karol słowa przemówić nie mógł. Po części przyczyną tego znękania było nawet fizyczne osłabienie i dwudniowy głód, bo nic w usta wziąć nie mógł przygotowując się do tego stanowszego kroku. Młot daleko doświadczeńszy od niego i wię-

céj przewidujący puszczając się z dorożką na przeciw przyjaciela nie zapomniał o butelce wina, której część gwałtem mu prawie wypić kazał. To jeśli nie dodało siły przynajmniej rozbudziło go nieco. Naturalnie pojechali z nim nie na dawne jego mieszkanie ale do takiego domu na Tamce, gdzie nikomu na myśl przyjść nie mogło poszukiwać zbiega.

Jadwiga, którój Karol winien był swe oswobodzenie, pomimo starań Młota pragnącego ukryć przed nią dzień ucieczki i oszczędzić jój straszliwego niepokoju, dowiedziała się, czy przeczuła kochającym sercem niewieściem tę straszną chwilę w którój się rozstrzygały losy najdroższego jój człowieka. Ciotka we wszystkie te zabiegi nie była wtajemniczona, ale tego dnia widząc Jadwigę bladą przechadzającą się nieustannie po salonie, wyglądającą przez okna, drżącą na szelest najmniejszy, biegnącą ku drzwiom za każdym ich otwarzeniem, musiała się czegoś domyślać. Na próżno chciała ją rozerwać rozmową, Jadwiga odpowiadała monosyllabami, westchnieniami a często takimi słowy, które tylko dowodziły, że myślała gdzieindziej była.

— Ale co ci to jest moje dziecko? spytała jój niespokojna, czyś ty chora? czy się co stało?

a taisz coś przedemną. Widzę po tobie choćbyś ukryć chciała, że ci coś jest, to mnie gorzej niepokoi niż największa bieda, bo się domyślam gorzyszych może rzeczy niż są w istocie.

Na to pytanie Jadwiga odpowiedziała, że nie ma, że się niczego domyslać nie trzeba, ale ciotka znając ją dobrze potrząsała głową niedowierzająco.

Przed wieczorem jeszcze nadeszło kilka osób, poważny hr. Albert, Edward, Henryk Gros i ci także wszyscy od razu domyślili się, że coś ciężko na sercu biednej Jadwidze. Zmuszona ukrywać niepokój, zwykle żywa, wpadła teraz w jakiś rodzaj rozgorączkowania, który ją czynił stokroć powabniejszą jeszcze.

Zimny na pozór hr. Albert na ten raz był w extazie, zapominał ekonomji politycznej, wdychał i zbierało mu się na poezję z którą jak z rzadkim gościem sam nie wiedział co zrobić.

Jadwiga wypowiadała przed nim całe swe wyznania wiary, wprost przeciwne jego przekonaniom, ale jej zapal i uniesienie tak były wielkie, zaraźliwe, że nawet Albert na małą chwileczkę uczuł w sobie jakby słabostkę do nawrócenia. Powrównywał ją do Sybilli Dominikina z czego Gros uśmiechał się, bo między tym sławnym obra-

zem, który kopje tak rozpowszechniły po świecie, a Jadwigą, nie było najmniejszego podobieństwa. Ale zacny ekonomista, który sztuki piękne za nieprodukcyjny zbytek uważał, nie wiele się zajmował malarstwem i gdy o nim mówił, częste w tém rodzaju popełniał błędy. Rozmowa była bardzo wysoko nastrojoną a Jadwiga oczów ze drzwi nie spuszczała. Otworzyły się one w reszcie i wszedł rozplonieniony Młot, który umyślnie nadał swęj twarzy wielki wyraz tryumfu, aby pierwszém wejściem na nią poznać było można, że z dobrą nowiną przychodził. Jadwiga porzuciwszy wszystkich pobiegła ku niemu i usłyszała jak jęj szepnął:

— Udało się.

— Wolny?

— Wolny.

— A więc jutro wyjeżdża zapewne?

— Jakto wyjeżdża? dokąd? spytał Młot.

— Przecież musi uciekać zagranicę?

Młot uśmiechnął się zżymając ramionami.

— On? za nic w świecie nie opuści miasta. Powiada, że dla tego tylko zgodził się na ucieczkę aby tu, gdzie jest najpotrzebniejszy pracować.

— Ale tu co chwila wysłedzić i złapać go mogą!

Młot spuścił głowę.

— Już chyba pani go przekonasz że równie pożytecznie może sprawie służyć za granicą; ja się tego nie podejmuję.

— Niewiem czy i ja tego potrafię dokazać, ale możesz pan być pewnym że nad tem pracować będę usilnie, gdybym go tylko widzieć mogła.

Młot uśmiechnął się i spojrzał na nią z dziwnym wyrazem, który Jadwigę zastanowił i przstraszył. Zdawała się bowiem odgadywać z jego wejrzenia jakby to widzenie się z Karolem, o którym wątpiła, było nadspodziewanie bliskiem. Nie mogła tego zrozumieć, nie przypuszczała bowiem żeby Głiński, ważył się w tej chwili zajrzeć do domu w którym go najprędzej szukać mogli. Przełękła się prawie gdy Młot wskazał jej oczyma drzwi na prawo do bocznego pokoju wiodące. Z pospiechem pobiegła ku nim i w progu już ujrzała Karola stojącego przy stole nad albumem tak spokojnego jak gdyby powracał z jakiejś zabawy. Twarz jego wymizerniała i zmieniona była jeśli być może piękniejszą teraz bo poważniejszą i surowszą. Spokojny jakiś wyraz smutku oblewał ją całą; na ustach był pół uśmiech cichy

rezygnacji, która z wysoka patrzy na drobne świata uciechy i bóle.

Jadwiga podbiegła ku niemu wyciągając dłoń drżącą.

— Na Boga, zawołała, godziłoż się to? godziło, przychodzić tutaj gdzie lada nieroztropna szczebiotliwość człowieka zdradzić was może?

— Droga pani, odparł z uczuciem przybyły, starym obyczajem powracający z niewoli nieśli swe kajdany by je zawiesić przed ołtarzem, jam już przejeżdżając przed kościołem westchnął z wdzięcznością do Boga, ale mi należało przyjść tu jeszcze do mojej wybawicielki, aby jej powiedzieć choć to jedno słowo d z i ę k i. W tém jednym słowie, wierz mi pani, zamyka się wiele; wdzięczność, uwielbienie, cześć, wreszcie uczucie na które może słów nie ma w języku.

— A ja, czy mam, czy nie mam do tego prawo, naprzód się z panem kłócić będę. Co za myśl? jak można było na chwilę przypuścić ażeby tu pozostać? Pan powinienes, pan musisz natychmiast uciekać. Nie powiem że ja tego żądam bo cóż by to znaczyło? ale przyjaciele pana, ci co go cenić umieją żądają, proszą, zmuszą.

— Przepraszam panią, rzekł Karol stanowczo, to być nie może; nie mówmy nawet o tem.

Gdyby chodziło o ocalenie mnie, dla tego ażebym gdzieś z zagranic kraju patrzył na to co się tutaj dzieje. z założonemi rękami, nigdybym się był nie ważył na tę straszną ucieczkę. Jeżeli to uczynił to tylko ażeby powrócić do pracy, dzieląc wszystkie jej niebezpieczeństwa.

— Ale zlituj się pan! zważ, że lada przechodeń co cię pozna na ulicy może mimowolnie zdradzić, a wówczas.....

— Wówczas spotkać mnie to może co każdego innego spokojnie przechodzącego ulicą, rzekł Karol. Dziś wszyscy jesteście winowajcami w ich oczach; nie ma odkupienia bez ofiary. A gdy uznajemy jej potrzebę godził się pociągać do poświęcenia drugich oszczędzając siebie? Jadwiga zamilkła, szelest jakiś przeraził ją, przemówiła tylko z uczuciem.

— Idź pan, idź, boję się, pomówimy o tem jeszcze, ale na Boga ukryj się, i oszczędź swym przyjaciółom srogich katuszy które już raz przecierpeli...

Karol wysunął się natychmiast, a Jadwiga weszła na salę z tak zmienioną twarzą, że Albert który z nią mówił przed chwilą, mimo niewielkiej przenikliwości, jakąś tajemnicę w tem odkrył.

— Gdybym pani nie miał za jedną z tych kapłanek prawdy, które nigdy w płaszczu fałszu nie chodzą, rzekłbym że pani ukrywasz jakąś niezmierniej wagi tajemnicę, z tą niezręcznością uczciwych ludzi, u których mimowolnie wszelkie wrażenie wytryska czołem i oczyma; przed chwilą byłaś pani dziwnie niespokojną i rozgorączkowaną, teraz zdajesz się być majestatycznie szczęśliwą.....

Jadwiga z uśmiechem spojrzała na niego,

— Czy pan sądzisz, rzekła, że na człowieku tylko ogromne dozy szczęścia i bólu tak się wyraziście objawiają, często homeopatyczna kropelka, wspomnienie, nadzieja, przeczucie tak znącą fizjonomję człowieka, jak najstraszliwszy uragan serdeczny.

— Tak, odparł Albert, ale dzieje się to zwykle na tych leciutkich wodach, które lada wietrzyk porusza, głębię oceanu stoją spokojne często przy wichrze nawet. A pani w moich oczach oceanem jesteś.

— Zlituj się hrabio, gdyby nas kto z boku słyszał, myślałby że powtarzamy scenę z Molirowskich *Les precieuses ridicules*. Powiem panu szczerze że te wielkie wrażenia któreś czytał na mojej fizjonomji nieraz i ja znajdowałam u moich

przyjaciółek, otóż po głębszem zbadaniu przyczyn okazywało się że rozpacz rodził stłuczony garnuszek, a extazę muślinowa sukienka.

— Wszystko to prawda, rzekł Albert, ale pani mnie tem nie obalamucisz. Nie jestem wielkim fizjonomistą, ale pani tak trudno, nawet po bożne wyrzec kłamstwo, że przysiągłbym iż rzecz jest wielkiej wagi.

Jadwiga zwróciła rozmowę na inny przedmiot, gdy w tem otworzyły się drzwi i Edward który był wyszedł przed godziną po jakąś książkę wrócił z nią do salonu z fizjonomją człowieka któremu pilno jest wielką wypowiedzieć nowinę.

— Przepraszam, rzekł do Jadwigi, żem tak nieprędko powrócił, naprzód dla tego że Quineta ani u Gebetnera ani u Senewalda nie znalazłem, istnym przypadkiem znalazł się u Natansona, powtóre żem się zetknął mimowolnie z jakąś dziwną historją, którą w téj chwili z ust do ust podają sobie po mieście. Sądzę że to jest bajka, bo wiadomo ile ich teraz krąży, ale zapewne osnuta na jakimś rzeczywistym wypadku.

— Cóż to jest? spytała Jadwiga.

— Jakby powieść z tysiąca nocy. Wiadomo co to jest cytaдела, tymczasem mówią że z niej uciekł jakiś ważny polityczny więzień najdziwniej-

szym w świecie sposobem, że zabił pilnującego żołnierza, przebrał się w jego odzież, wyszedł niosąc resztki obiadu i szczęśliwie umknął.

Jadwiga zarumieniła się mocno, ale zajęta Quinetem ze spuszczoną głową, nie dała po sobie poznać wzruszenia. Czuła że wzrok Alberta musiał jęj szukać, a może odgadnąć wszystko.

Edward z dziecinną wielomównością powtarzał co tylko słyszał na ulicy; nedorzeczne i potworzone szczegóły ucieczki, przypuszczenia względem więźnia i t. p.

Szczęściem było już dość późno i goście powoli się rozchodzić zaczęli, zostawując Jadwigę samą na samą z ciotką. Łzy radości długo wstrzymywane rzuciły się jęj z oczów, a pocziwa ciotka widząc płaczącą przywlekła się do nięj, nie mogąc zrozumieć powodu. Na jęj nalegania Jadwiga odpowiedziała tylko:

— Nie pytaj, módlmy się, jestem szczęśliwa!.. Może nie potrwa szczęście — ale w tęg chwili serce mam przepełnione! módlmy się!!

Cały ciąg rządów margrabiego był szeregiem omyłek wynikłych z zupełnej nieznajomości stanu kraju; nie mógł on poznać go sam przez się, bo z nim nigdy nie był w ściślejszych stosunkach, jak wielu jeszcze podobnych mniemanych mężów stanu, uczynił sobie wyobrażenie fałszywe od którego wielka zarozumiałość odstąpić mu nie dozwalała. Pochlebcy otaczający go nie mieli odwagi wyprowadzić z błędu. Margrabia nie dopuszczając aby się mógł mylić, system swój przeprowadzał coraz ostrzej w przekonaniu że nim kraj pokona. Według niego garść rewolucjonistów, socjalistów, demokratów, terroryzmem panowała nad Polską, potrzeba ją było, *similia similibus*, terroryzmem też zwyciężyć. W pałacu Brühlowskim ludzono się nawet, że despotyzm margrabiowski skutkował, upatrywano szczęśliwe symptomata, rachowano liczbę powiększających

się cylindrów na głowach, uważano coraz większą ciźbę nawróconych, na poniedziałkowych wiecez-rach. Temczasem wszystko spieszenie leciało ku nieuniknionemu wybuchowi. Powiedzmy tu prawdę że prawdziwi moskale którzy równie niecierpieli Wielopolskiego jak Polacy, a zazdrościli mu chwilowej władzy, pocieszenie bardzo posądzając go nawet o stosunki z rewolucjonistami, jaśniej widzieli rzeczy i katastrofę przewidywali zawczasu. Pilno im było samym, zakasawszy rękawy, wziąć się do katowskiego rzemiosła. obliżywali się do okrucieństwa i łupieży. Dziwne bo zaprawdę było położenie i kraju i rządzących w téj chwili przejścia, którą nazwać można panowaniem Wielopolskich.

Na czele wielki książę marzący po cichu o secundogeniturze, małym Troniku, fundowaniu dynastji, dworze, etc. ale, obawiający się Petersburga i starający ukryć swe błogie nadzieje. Robiono już nawet tron pozłocisty, który gdzieś bronzownik pokazywał ciekawym w Paryżu; wielka księżna próbowała przypuszczać do pocałowania ręki z całym ceremonjałem używanym po królewskich dworach; nowonarodzonego syna chciano ochrzcić tak aby jego imie w potrzebie na polskie się dało przerobić; nazwano go Wacławem,

a mamkę ubrano w *kolory narodowe*!! Z téj jednak fantazji dosyć śmiesznej, naród weale nie myślał korzystać, kilka lat wprzód może by się było to wszystko obróciło inaczej, teraz półśrodki były jak ciepła woda w chorobie gwałtownego potrzebującej lekarstwa. Choć wielce jest rzeczą wątpliwą czy książę szczerze był ze swoim mentorem, mentor wszakże pewnie się tych zachcianek domyślał, a może się z nich uśmiechał. W Petersburgu i Moskwie jakimś instynktem zdawano się przeczuwać zdradę której jeszcze nie było, i niegdyś popularny Konstanty, powoli zszedł na znienawidzonego. W tych ludziach których sobie margrabia wybrał do współdziałania, szukając raczej posłusznych narzędzi niż wielkich zdolności, nie znalazł on bezwładnych służalców jakich się mieć spodziewał. Co było zacniejszego między niemi a jaśniej widzącego, opierało się, staralo odwrócić groźną przyszłość, gdy naczelnik, z uporem ludzi małych którzyby radzi za wielkich uchodzić, parł się niczem nie zrażony dalej. Słota męża stanu była prawdziwie niepojętą; ale okrążony kołem wybranych przez siebie zwolenników, nigdy po za nie okiem nie sięgnął, nigdy się nie domyślił, popelniając olbrzymie błędy, że się mógł omylić.

Uspodobienia kraju, jeśli nie zupełnie to najbliżej przynajmniej uosabiał pan Andrzej. Intryga, tego człowieka reprezentującego miłość ojczyzny w sposób wcale nie rewolucyjny, spokojny i godny, zapragnęła usunąć, pozbyć go się. Kto zna kraj, przyzna że oddalenie Zamoyskiego, który swą powagą hamował gorączkę młodzieży, posłużyło więcej rewolucji, niż rządowi. Trzeba takićj nieznajomości charakterów i zawziętości jak moskiewska, aby w panu Andrzeju rewolucjonistę upatrzeć. Margrabia równie go źle znał, a w dodatku zazdrościł mu pocziwie zapracowanćj sławy i wziętości. Zdalo mu się, że pociągnawszy już ku sobie kilku ludzi z dawnych przyjaciół i współpracowników Zamoyskiego, resztę także zmusi przyjsć do siebie gdy go nie stanie.

Gdy margrabia obstawiony żandarmami, zmuszony siedzieć jak więzień i jak więzień jeździć, marzył o pokonaniu kraju ostatecznie rachując na tę proskrypcją niegodną która się zwała branką, kraj tymczasem choć widział jak straszliwą była walka co go czekała, czuł ją nieuniknioną. Wielu myślało że zwyciężeni padniemy, ale w tćj ostatnićj ofierze była ta wielka myśl, iż lepiej jest aby dziesięć wiekowa Polska rozlała się w krew, niż rozsypała w gnój.

Gdy w pałacu Brühlowskim marzono, zachęcano i przymuszano do zabawy, propagowano zrzućenie żałoby, mówiąc zawsze o garstce burzycieli i nieprzyjaciół porządku, ci co istotne na kraj mieli wpływy, wiedzieli sami jak ciężko było wywaleczyć powstrzymanie wybuchu. Wielka wprawdzie liczba ludzi dojrzałych znajdowała, że należało czekać, rozwiązać wprzód kwestję włosciańską, ostatecznie przygotować się lepiej i zużytkować tę chwilę rozejmu dla zaopatrzenia się w siły: ale ostatnie wypadki, ucisk, upokorzenia tysiączne zrodziły już uczucie tak silne i nie pohamowane, że rozumowanie przewagi nad niem mieć nie mogło. Całe działanie tych co stali u steru ograniczało się na zyskiwaniu czasu, na hamowaniu nie czem innem jak obietnicą walki. Tymczasem w przewidywaniu jej potrzeba było dzieło zjednoczenia narodu, które w zwykłych warunkach wymagało by wieku, starać się spełnić w krótkiej chwili, jaka jeszcze dzielila od śmiertelnego boju; było więc bardzo wiele do czynienia i ludzie tacy jak Karol czynni a nieustraszeni, nader sprawie byli potrzebni. Już w tym czasie czynności rewolucyjne z początku instynktowo z różnych ognisk kierowane, poczęły się skupiać w jedno, i ta cudowna organizacja która

miała się stać rządem narodowym, siecią ludzi dobrej woli ogarniała kraj cały. Łatwo się domyślić powodów dla których dziś jeszcze nie wiele w tém przedmiocie daje się powiedzieć.

Chwytamy tylko jedną stronę obrazową téj historii której skreślenie stanowić będzie kiedyś wielkie dla dziejopisów zadanie.

W pierwszych chwilach po swem uwolnieniu, choć zmuszony ukrywać się i lękać codziennie o siebie, Karol uczuł całe szczęście swobody, po głuchej ciszy i bezczynności więzienia ruch i życie były dlań roskoszą. Zmieniwszy nieco fizjonomję, ostrzyżeniem i ogoleniem na nowy sposób, z nieco ostrożności mógł przesuwać się po Warszawie a do czynienia znalazł tak wiele iż chwili nie miał wolnej. Choć więzienie jego nie trwało długo zdumiał się przekonawszy jak dalece położenie w tym krótkim zmieniło się czasie, musiał parę dni poświęcić na ocenienie zmian jakie tu zaszły. W czasach rewolucyjnych często tygodni jeden przekształca fizjonomję działaczy i wyjaśnia rzeczy wprzód jeszcze ciemne i nie zrozumiałe.

W chwili gdy naród miał do walki wystąpić, szło bardzo o to aby ani u steru, ani w jego łonie nie rozrywały się siły własne w przeciwnych

kierunkach. Zadanie było nie małe. Wyznać przed sobą możemy żeśmy nigdy zbytnią zgodą i ślepem nie grzeszyli posłuszeństwem. Obawa była wielka aby i teraz czyn się nie rozczepił pod różnemi przewodcami na części. Karol był duszą téj garski w którą wmawiał zgodę i jedność jako warunki niezbędne w chwili walki.

Przez kilka dni nie ukazał się on nigdzie tak był zajęty, a Jadwiga musiała szukać sposobu jakiegoś widzenia się z nim, bez narażenia go na niebezpieczeństwo. Nie cierpliwa napisała do niego słów kilka prosząc aby o godzinie piątej wieczorem znajdował się w okolicy botanicznego ogrodu gdzie i ona na przechadzkę przybyć miała. Przyniesiono jéj odpowiedź, że Karol na umówione miejsce przybędzie.

Ludność warszawska zwłaszcza od czasu jak ogród Saski i Krasiński objęty został przez policją i żandarmów, dosyć licznie w piękne wieczory uczęszczała w stare te i piękne alee, na których dawniej popisywać się lubiono z najpiękniejszymi w mieście ekwipażami. Teraz najwięcej tu było pieszych szukających cienia i chłodu w swobodniejszém miejscu choć i tu nie zbywało na widokach drażniących. Alee wzdłuż ubrane były w rozstawionych zręcznie policjan-

tów, a że droga ta wiodła do wielko książęcej rezydencji Łazienkowskiej, często ją przebiegały to powozy jenerałów z towarzyszącymi im strażami, to oddziały wojska, to owe nareszcie orszaki wielkiego księcia i margrabiego tak wymownie dowodzące ich popularności.

Wielki Książę jeździł zwykle w powozie odkrytym, otoczony czeredą żółtych i karmazynowych, jak tulipany, czerkiesów którzy na małych konikach pochyleni naprzód galopowali przed, przy i za powozem. Ciż sami jeździli zwykle za wielką księżną, której cudaćkie stroje niezbyt wytwornego smaku, mimowolnie oczy zwracały. Wcale inaczej wyglądał ekwipaż margrabiowski; czarna karetta *à l'épreuve de la bombe*, wybita blachą, zaprzężona szparkiem koni siwemi, pędząca nadzwyczaj szybko i okolona całym hufcem sinych żandarmów, którzy na ciężkich koniach ledwie za nią podążyć mogli. Na widok tej tak zwanej siniej chmury, poczciwy ludek warszawski stawał, przypatrywał się i uśmiechał. W istocie wyglądało to na orszak więźnia stanu a nie męża stanu. Czasem przeleciał alec pojedynczy kozak z depeszami (który wcale nie przypominał owego kozaka w Marji Maleczeskiego) i tego ścigały ciekawe oczy jakby się chcąc domyślić

co tam wiózł na piersiach w torbce skórzanéj. Pomimo ważności téj chwili twarze przechodniów jaśniały pogodą jaką daje heroiczna rezygnacja.

Okolo piątéj Jadwiga, dobrawszy sobie niezawadną towarzyszkę przechadzki, nie młodą, nieładną ale świętą i pocziwą pannę Emmę pojechała prostą dorożką w alec, porzuciła ją na Alexandrowskim placu, a sama z bijącym sercem poszła upatrując Karola. Zjawił się on wkrótce, dosyć zmieniony dla obcych oczów by go nie łatwo poznały, ale dla Jadwigi zawsze tem sam co był. Przywitali się z tém lekkim pomięszaniem które zdradza uczucie wewnętrzne, a Jadwiga pierwsza rozpoczęła rozmowę prawie od tego na czém ją przerwała pierwszego wieczora. Od uwolnienia Karola w ciągłym była niepokoju i obawie o niego. Czuła się w obowiązku przyłożyć do oswobodzenia namówić koniecznie aby się z kraju oddalił.

— Dla tego tylko, odezwała się, koniecznie z panem widzieć się chciałam żeby jeszcze i jeszcze nalegać o jego wyjazd. Mam do tego niejakię prawa. . . .

— Ale wiem, że pani z nich nie zechcesz korzystać, rzekł Karol. Może sobie pochlebiam, ale zdaje mi się że tu na coś jestem potrzebny;

nie godzi się myśleć o sobie gdy wszyscy i z wszystkim co mamy, obowiązani jesteśmy służyć wielkiemu dziełu wyjarznienia ojczyzny. Czytałaś pani zapewne pamiętniki Benvenuto Cellini i przypomnisz sobie tę chwilę jego życia gdy odlewał arcydzieło które dziś zdobi Loggię Florencką. Postrzegł, że mu brakło kruszcu na wypełnienie formy posągu i zniósł wszystko co miał w domu nawet srebra i kosztowności, aby niemi swój utwór wypełnić. Myśmy jak on dzisiaj wszyscy, i życia nasze i skarby rzucić powinni w to ognisko z którego ma wynieść dzieło święte — Polska!

— To prawda, odpowiedziała Jadwiga, ale zdaje mi się żeśmy te skarby nie darmo wyrzucać powinni? Cóż z tego przyjdzie ojczyźnie gdy pan tu marnie zginiesz, a tam za granicą mógłbyś pracować pożytecznie i długo!

— Przepraszam panią ale znam siebie dobrze i wiem jak mi wiele warunków braknie do działania gdzie indziej. Za mało znam kraje obce gdy tu w naszym w skromniejszej ale nie mniej ważnej robocie, czuję się na mojem miejscu. Ta czeladź, do której przemawiam jej językiem, wierzy mi i słucha mnie. Może to duma ale mi się zdaje, że ja tu jestem potrzebny.

— Ja temu nie przeczę, odparła Jadwiga,

pan wszędzie możesz być użytecznym i potrzebnym ale ten miecz Damoklesa ciągle wieszony nad głową!!

— Pani, rzekł Karol, byłoby to straszliwem w istocie gdybym miał nadzieję wyjścia cało z tych wypadków, ale to być nie może. Każdy z nas z góry uczynił ofiarę życia i już się z nim nie droży, myśląc tylko aby je sprzedać za jak największy okup dla drogićj ojczyzny. Przypomnisz pani kiedyś słowa moje? — niegodni Mojżeszce prowadzim do téj ziemi obiecanéj której nigdy oglądać nie będziemy. Zginiemy nie wiem jak, jedni na szubienicach, drudzy po więzieniach, inni w boju i męczarniach, ale musimy poginać aby śmiercią prawdzie oddać świadectwo!

— Smutne to i straszne słowa, wzdychając rzekła Jadwiga. Czującą ich wielkość, podziwiam bohaterstwo a pomimo to tak bym chciała pana ocalić, tak z tą myślą pogodzić się nie mogę!!

Jakoż, mówiła dalej Jadwiga, starała go się przełamać i jak się to tylko szczerem ludziom trafia uznała się sama w końcu zwyciężoną, spuściła głowę, zamyśliła się i zakończyła słowy:

— Dobrze więc, dziękuję panu, opierając się wskazałeś mi drogę którą i ja pójść powinienam. Przyznaję się że jako słaba kobieta marzy-

łam o osobistej przyszłości: Każecie się jęj wyrzec, składać ją na ofiarę. Od dziś i ja sama i wszystko co mam, niech służy tylko wielkiej sprawie kraju; kobieta, nie narażam się na takie niebezpieczeństwo jak wy, ale się żadnego nie ulękę.

I podała mu rękę a w oczach jęj łza błysła.

Mówili potem o wielu rzeczach prócz o sobie, nie była to rozmowa kochanków, bo miłość im obojgu zdawała się świętokrodką kradzieżą gdy tylko o kraju myśleć i kraj kochać się godziło. Ale mimo milczenia jakie nakazywała przyzwoitość czuli oboje tę wielką rokosz zbliżenia, rozmowy, zamiany myśli, która będąc niewinną jest wszakże tak silną dla serc nie zepsutych jak gdyby nad nią żadnej większej nie było; spójrzenie, uśmiech, słowo starczą na długie godziny rozmyślań i przypomnień.

Mówiliśmy już jak nie zrażonym pretendentem panny Jadwigi był Edward, kiedy go nawet to co nazywał jęj czerwonością od stręczyć do tąd nie mogło. Szukał on wszelkich możliwych sposobów aby się do nięj przybliżyć. I teraz widząc jak jechała w alce pochwycił zaraz deróżkę aby za nią pogonić. Trafem jednak pędząc za nią dojechał aż do Belwederu, tu dopiero na myśl mu przyszło, że może być w Botanicznym

ogrodzie; odprawił więc dorożkarza i puścił się w pogoń pieszo.

Ubior naszych pań jednostajnie czarny, nie łatwo dawał jedną od drugiej rozróżnić, trzeba było oczów kochanka na to, Edward miał tylko oczy pretendenta, nie byłby może tak prędko wyszukał pannę Jadwigę, gdyby nie figura jej towarzyszki panny Emmy bardzo charakterystyczna przysadkowata, okrągła, beczułkowata. Zaczyna panna Emma wечно roztargniona i więcej drugimi zajęta niż sobą, odznaczała się i tem jeszcze że zawsze coś za sobą wlekła, coś gubiła, coś z niej spadać musiało. Tą razą zdradził ją szal którym zamiatała uliczkę.

Pan Edward po nim ją poznał, po niej domyślił się Jadwigi, a zobaczywszy przy dwóch paniach mężczyznę tem spieszniej podążył aby tego domniemanego rywala od swej Bogdanki odpędzić.

Nasza para była zajęta rozmową, tak się nie spodziewała aby kto ją miał przerwać. wreszcie zaskoczona została tak niespodzianie, że na widok Edwarda, który z boku nadszedłszy skłonił się pannie Jadwidze, stanęli wszyscy jak wryci.

Karol ani mógł ani chciał uciekać; przybyły nie odrazu go poznał, ale gdy nareszcie

zobaczył Karola tak osłupiał, zdrętwiał, pobladł, zmięsział się, jak gdyby widmo z grobu powstałe zobaczył. Zawało mu się, że razem z nim zdrada jego wyszła na jaw, dla pokrycia pomieszanja zaczął się uśmiechać: pannie Jadwidze zrobiło się słabo, wszyscy zamilkli; nareszcie po długim przestanku, Edward rzekł jękając się.

— A! więc pan został uwolniony, prawdziwie miło mi powinszować.

— Nie winszuy pan, rzekł Karol niezmieszany wcale, nie jestem uwolniony aleń się sam uwolnił. — Dosyć to będzie panu powiedzieć aby go skłonić do zupełnego milczenia o mnie, jakby mnie na świecie nie było.

Edward ciągle jeszcze stał jak osłupiały; wyznanie Karola przeraziło go, czuł się bowiem współnikiem zbrodni kryjąc ją, widział się już na Syberji, za to że się z Karolem spotkał, a z drugiej strony czuł, że gdyby go zdradził mógł by podpość pod ten sąd doraźny, który w czasach rewolucji nie przebacza nikomu. Rad był uciec co najprędzej aby z zapowietrzonym nie obcować. Bał się być śnieszny, a twarz jego malowała taki niepokój i zafrasowanie, że mimo wcale nie wesołego położenia, pannie Emmie śmiać się chciało i podać mu flakonik dla orzeźwienia. W głosie

nawet pana Edwarda, przerywanym jakimś lękiem nerwowym, znać było śmiertelny przestrah.

Jadwiga prędko się uspokoiła.

— Przypadek, rzekła, uczynił pana uczestnikiem tajemnicy, którą spodziewam się, że dochować potrafisz; krzywdziła bym pana gdybym mu przypominała że można być zdrajcą nie tylko rozmysłnie ale przez płochą szczebiotliwość.

Edward nie na to nie odpowiadając uśmiechał się tylko, z wyrazem pokornój jakiejsz zalotności połączonej ze strachem, która go doskonale śmiesznym czyniła.

— Ale mogą być państwo pewni, rzekł nareszcie tchu nabrawszy, że . . . że . . . potrzeba się było domysleć reszty gdyż Edwardowi tak się w głowie poplątało i język mu nie służył, że dalej nie mówić nie mógł, ocierał pot z czoła, poprawiał włosy, stał wedle pospolitego wyrażenia jak na mękach. Poważna i spokojna twarz Karola, którego ten wypadek najmniej nie zmieszał, dziwnie odbijała od postaci wystraszonego panicyka nie mogącego utaić wrażenia swego tchórzostwa. Edward, który zwykle korzystał ze wszystkich okoliczności aby jak najdłużej wlec się za panną Jadwigą, który i teraz w téj intencji przybył aby ją nudzić, rad był już co najprędzej uciec w obawie

straszliwej kompromitacji. W głowie mu się pomieścić nie mogło jak ten człowiek, co się śmiał wyrwać z cytadeli mógł chodzić po ulicy w biały dzień i najmniejszej po sobie nie okazywać niepokojności. Nie wiedząc co mówić, pochwaliwszy pogodę, słońce, powietrze i wieczór Edward zakręcił się, uklonił i drapnął.

Wrażenia tchórza były tak silne, że się ani opatrzył jak wbiegł do botanicznego ogrodu, i jak uderzył się o stojącego tam policjanta. Strwożony tym wypadkiem, który poczytał za złą wróżbę, uciekł w kąt na ławeczkę i na serjo rozmyślać począł, co miał czynić. Edward nie miał już wcale ochoty do denuncjacji, ale straszliwie się lękał, żeby rząd dowiedziawszy się jakimkolwiek sposobem iż się ze zbiegiem zetknął, nie kazał go za to powiesić albo rozstrzelać. Rzecz zdaje się śmieszną w Europie, ale w Rosji kto natychmiast nie daje znać rządowi o jakimkolwiek politycznym wypadku, kto go tai, kto nie chce być zdrajcą, choćby szło o własne dziecię lub o rodzzonego ojca, może wyśmieniecie wisieć lub pójść do ciężkich robót. Moralność urzędowa domaga się tego od wszystkich bez wyjątku. Edward bardzo dobrze wiedząc o tém, drżał wewnątrz o szacowną swą egzystencję. Siedział tak na

ławce zadumany ciężko, gdy usłyszał, że go ktoś klepnał po rannieniu i ujrzał przed sobą najslusniejszego w Warszawie mężczyznę, jedną z podpór rządu i systemu, który go witał przyjacielsko i protektorsko mu się uśmiechając. Był to ten sam właśnie, przed którym Edward tak nieopatrznie pierwszą razą wygadał się o Karolu. Na widok téj potęgi, dla której nadzwyczajny miał szacunek wylęgły z niezmiernego strachu, Edward pobladł sądząc, że jego zbrodnię wyczyta mu z fizjonomji.

— Jak się masz? rzekł poważnie słuszny mężczyzna. Wiesz historją? wyobraź sobie, eo to są za podziemne knowania tych rewolucjonistów, jak tu się jakikolwiek rząd i porządek utrzymać może! Uwierzyłbyś temu, że ten niebezpieczny przewodzca, Gliński uciekł, uważasz to, — uciekł z cytadeli!!! lotry! lotry! śmieć uciec!

Pan Edward w téj chwili czuł tylko, że powinien się być nadzwyczajnie zadziwić aby pokazać, że nic nie wie; krzyknął więc tak, że aż towarzysz jego musiał go za rękę ścisnąć, wstrzymując zbyteczny objaw zdziwienia. Odegrawszy swą rolę tchórz nieco się uspokoił, a wysoki mężczyzna mówił dalej poważnie.

— Nie słyszałeś więc nic, a to jest nadzwyczajnie ciekawa historia. Wiesz pan zapewne co to jest więzienie w cytadeli? Nie ma przykładu prawie aby kto z tamtąd mógł uciec, ale pokazuje się, że rewolucja nasza aż tam sięgnęła swym wpływem, kiedy potrafiła tego wroga swego oswobodzić.

Mówiąc to uśmiechał się gorzko.

— Tak, dodał, otoczeni jesteśmy spiskiem ze wszech stron, godzą na nas zatrute sztylety i rewolwery; wyuzdana tłuszcza uliczna podkopyje porządek społeczny; jeżeli teraz wszyscy uczciwi ludzie w obec tego niebezpieczeństwa rąk sobie nie podadzą a rewolucja rozszerzy się i wzmożni, — Polska przepadła.

Edward, który drżał najwięcej o to żeby sam nie przepadł, a czując się w grzechu, widział potrzebę być nadzwyczaj pokornym, robił miny, które musiały wielce zadowolnić słusznego mężczyznę. Widać było z fizjonomji pana Edwarda, jak posłusznym i wiernym był poddanym, i że gotów był brać się za ręce z kimby mu kazano, z policjantami, ze szpiegami, z katem, dla ocalenia społeczeństwa.

— No cóż pan na to? prawda że ta ucieczka ma wielkie znaczenie? dodał wysoki.

— Niezawodnie, rzekł Edward. Ale jakże on się tu potrafi ukryć? to go niezawodnie złapią.

— Nie sędzę, odpowiedział drugi. Ci panowie mają lepszą od nas policję, są zabiegli, a rewolucjoniści całej Europy Mazziniści i Garibaldi-czycy podpierają ich wszelkimi siłami. Walka którąśmy przedsięwzięli, jest olbrzymią, nie taim przed sobą jej trudności, ale bronimy porządku społecznego...

Edward dobrodusznie potakiwał, ale oglądał się na wszystkie strony bo mu na myśl przyszło, że panna Jadwiga z Karolem mogą wejść do botanicznego ogrodu, że ich ów słuszny pan najść może, że Karola uwięzi, że Karol go natychmiast wyda i we dwadzieścia cztery godzin go powieszą. Pomieszanie jego było tak widoczne, iż słuszny pan, posądzwszy o niezupełne zdrowie, opuścił go natychmiast. W téjże chwili ukazała się Jadwiga z Karolem na scieżce którą powracał ów wielki człowiek.

Karol nie mógł uniknąć spotkania, a Edwardowi, który na to patrzył zdala, zrobiło się mdło tak, iż oczy przymrużył aby dalszych skutków nie widzieć. Gdy je otworzył ujrzał Karola, uchylającego kapelusz przed kłaniającym się Jadwidze panem i idącego dalej tak spokojnie,

jakby go to wcale nie obchodziło. Wysoki mężczyzna nie poznał Karola, ale go coś tknęło, zastanowił się, podszedł do policjanta, któremu coś poszeptał na ucho i kiwnął na Edwarda z daleka, aby do niego przyszedł.

Nie z wielką ochotą pospieszył na to wezwanie pan Edward; minął boczną uliczką Jadwigę z jej towarzyszem i drżący stanął przed oczekującym nań wielkim człowiekiem.

— Z kim szła panna Jadwiga? znasz pan tego mężczyznę? spytał obrońca porządku.

— Nie uważałem, rzekł Edward który się zadławił.

— Nie jestem pewny, ale ten jegomość nadzwyczaj przypomina Glińskiego o którym tylko co mówiliśmy. Miałżeby do tego stopnia posunąć zuchwalstwo, żeby się pokazywać publicznie? Nieco młodsza fizjonomia, trochę mizerniejszy, ale uderzające podobieństwo. Wszystkim wiadomo, że to ulubieniec panny Jadwigi, miałżeby to być on? Jak się waćpanu zdaje??

— Jak Boga kocham, mnie się nic nie zdaje, ja go nie widziałem — nic nie wiem, bełkotał Edward.

Wielki człowiek rzucił wejrzenie prawie wzgardliwe na Edwarda i dodał:

— Ktokolwiek to jest będzie go już policjant miał na oku, i krok w krok za nim pójdzie.

Panu Edwardowi zadzwoniły zęby, ale w téj chwili ujął go towarzysz pod rękę i wyprowadził z ogrodu, może obawiając się, aby i ten go nie zdradził.

Siedli razem do doróżki, a że wieczór już był późny a w hotelu Europejskim czekało ich zwykłe zebranie, wprost tam pojechali.

Pan Edward ani jadł ani pił, gnębiąc się czarnemi myślami. Nie dziw téż, że gdy w parę godzin potém wielki ezłowiek wywołany został do przedpokoju przez przybyłego policjanta, Edward zręcznie potrafił ich rozmowę podsłuchać.

Ta była następująca:

— Cóżeś zrobił?

— A nic, proszę jaśnie pana.

— Jakto nic?

— A no kiedy ten pan co z temi paniami chodził gdzies zniknął.

— Jakto? kazałem że wam pilnować u wrót!

— I pilnowaliśmy proszę pana, bo ja sobie dobrze jego fizgomonją zanotowałem; ale kto jego wie co się z nim stało, nie wyszedł żadnem

wrotami, w ogrodzie nie został, jak w ziemię wpadł....

— A te panie?

— A cóż, te panie to wyszły, ale z siwym staruszkim który miał order w pętliczce.

— Już to wy wszyscy głupcy jesteście i do niczego niezdatni, zawołał wielki mąż; zawsze mi się tak spisujecie jak dzisiaj; jakże można było dać temu człowiekowi unknąć?

— I trzasnąwszy drzwiami wrócił zburzony do salonu, a tu wzięwszy na stronę pana Edwarda rzekł do niego poufnie:

— Proszę cię, mój drogi, bywasz często u panny Jadwigi to wiadomo, nie jest to najlepsze towarzystwo ale bardzo rozumiem, co cię tam wabi. Użyj że na dobre téj znajomości i rozpytaj ostrożnie, z kim dziś była na spacerze? Przyjdiesz mi to jutro powiedzieć.

Edward chciał się wymawiać, ale dawszy mu ten rozkaz wielki człowiek odwrócił się i poszedł.

Jak wielki strach opanował pana Edwarda w skutek tego polecenia, o tém już mówić nie potrzebujemy. Jadwiga wróciła z przechadzki sama, smutna i przełęczniona, zdawało ję się, że bez niebezpieczeństwa mogła się tam spotkać z Karolem. Tymczasem i niespodziana pogoń

Edwarda i ten drugi człowiek, którego wejrzenie badawcze spoczęło na zbiegu, nabawiali ją strasliwym niepokojem. Dodajmy jeszcze trzecie nieszczęście, może ze wszystkich najbardziej groźne, Juljusz, który został odepchnięty przez Jadwigę i skutkiem swych intryg opuszczony nawet od dawnych przyjaciół, znajdował się w Warszawie, w ciągu przechadzki kilka razy rozminął się z Karolem i Jadwigą. Nie było najmniejszej wątpliwości że go poznał, ani że go zdradzi. Był on z rzędu tych ludzi, dla których wszelka zemsta jest wedle wyrażenia francuzkiego, nektarem bogów. Stosunki Juljusza z gronkiem ludzi dworujących Bruhlowskiemu pałacowi nie były tajne; właśnie w chwili, gdy słuszny mężczyzną odszedł od Edwarda zamysłony, a Edward nie wiedząc co począć siadł przybity za stołem, Juljusz podniósł głos i odezwał się do wielkiego męza.

— Już też mój hrabio drwią sobie z was publicznie, wiesz kogo ja dziś na przechadzce z panną Jadwigą widziałem? Nie mniej ni więcej tylko Karola Glińskiego, który świeżo zbiegł z cytadeli i uwija się sobie po ulicach pod waszym nosem.... to nie do wiary!

— Co ty mówisz? Więc to był on? Jesteś tego pewny? rzekł mu wysoki.

— Jestem tego jak najpewniejszy... poznam go wszędzie, bo nienawidzę.

— Ale ja go także widziałem.

Edward zaczął pić wino, bo mu się aż źle zrobiło; wysoki hrabia pochmurniał. Twarz jego przybrała wyraz surowy, podumał chwilę, zaciął usta, i nie odpowiedział.

— Ale czyś się tylko nie omylił? rzekł po niejakiem czasie do Juljusza.

— Ja się nigdy nie mylę, odparł chłodno zagadniony. Kilka razy umyślnie przeszedłem widziany i nie widziany koło tych państwa. Zającami byli nadzwyczaj gorącą, zapewne romansowo-rewolucyjną rozmową; człowiek się nieco zmienił, wybléchował więzieniem, ogolił, wystrzygł, ale bym go w piekle poznał... lub poczuł.

— To też mnie uderzyła ta fizjonomja, zawołał wysoki.

— Dziękuję ci za informację.

Na tém skończyła się rozmowa, ale znać było, że skutki jój i następstwa mogły być bardzo ważne. W istocie tegoż wieczora dosyć przyzwoicie ubrany mężczyzna, niewiadomo z jakiego powodu, zajął stanowisko obserwacyjne przed drzwiami mieszkania panny Jadwigi. W mieście zaś dano rysopis zbiega wszystkim agentom policyjnym z po-

lecceniem ścigania i łapania. Ale tegoż wieczora wszystkie te rozporządzenia wiadome już były Karolowi i jego przyjaciółom; spowodowały one, że musiał nazajutrz włożyć siwe wąsy i bakenbardy, choć równie był czynny, swobodny i spokojny jak dni poprzedzających.

W kilka dni po opisanych wypadkach, gdy po obiedzie ciocia pracowała przy krosienkach, a Jadwiga czytała jej głośno jedną z tysięcy broszur które sprawa nasza wywołała za granicą, służący oznajmił że jakiś pan wyglądający na urzędnika ma interes i pragnie się widzieć z niemi.

Odwiedziny obu paniom wydały się bardzo dziwnemi, gdyż ani ciocia, ani panna Jadwiga żadnych sądowych spraw nie miały. Jednakże należało tego pana prosić i ciocia poprawiwszy mantylkę, przysposobiła się na jego przyjęcie.

Po chwili wszedł bardzo przystojny mężczyzna, blondyn, z wielkimi bakenbardami angielskimi, nakszałt dwóch ogromnych kotletów, z fizjonomją pełną słodyczy i uprzejmości. Uważano to oddawna że w twarzy i obyczajach człowiek się zawsze najmocniej stara pokazać tem czem w istocie nie jest. Zbytńia łagodność tak

często kryje zimne okrucieństwo, jak pozorna surowość bywa maską zbytniej dobroci. Owo przysłowie że cicha woda brzegi rwie, zbudowane jest na wiekowem doświadczeniu, zawsze bezpieczniejszy jest człowiek trochę szorstki niż zbytecznie wygładzony.

Przybyły robił wrażenie mdłego cukierka z trochą mąki i krochmalu, ale nie można było być pewnym że tam nie przymieszano i kropli trucizny. Chociaż zaperfumowany jakimś *es bouquet*, pachniał o milę kancelarją. Zaprezentował się bardzo grzecznie jako urzędnik pewnego wydziału w jakimś tam zarządzie, powiedział nazwisko, westchnął głęboko i rozpoczął rozmowę po francuzku, jakby dla ubezpieczenia tych pań że swoje posłannictwo spełni cywilizowanym sposobem.

— Prawdziwie, rzekł, przychodzi mi z największą przykrością wypełnić dane rozkazy, ale mam nadzieję że panie widzieć tylko będą we mnie nieszczęśliwego, którego położenie zmusza do najboleśniejszych często missji...

Sam wstęp zapowiadał już coś niedobrego; ciocia, dosyć trwożliwa, zbladła poglądając na Jadwigę której twarz oblał rumieniec.

— Niewiem powodów, rzekł dalej nieznajomy, niewiem co to spowodowało, ale mam polecane

objawić pani dobrodziejce i jój siostrzenicy, że wolą jest rządu aby panie niezwłocznie opuściły Warszawę, udały się na wieś i pozostały tam aż do dalszych rozporządzeń.

Ciotka załamała dłonie, panna Jadwiga uśmiechnęła się tylko.

— Ale cóżeśmy my zrobiły? zawołała ciotka, czemżeśmy się mogły narazić?

— Tego nie wiem, rzekł grzeczny mężczyzna, ale rozkaz jest stanowczy i kazano mi dodać, że żadne w tem względzie prośby ani instancje nic nie pomogą. Zresztą, dodał, sędzę że paniom nawet przyjemniej być może na wsi. Warszawa w tój chwili nie jest bardzo miłym pobytym zwłaszcza dla kobiet.

— O! my się też wcale wymawiać nie będziemy, przerwała Jadwiga; przyznam się panu że to wygnanie jest dla nas tak zaszczytne, mnie szczególnie tak pochlebia to iż jestem uznana niebezpieczną, że z chęcią pojedę na wieś jako polityczna wygnanka.

Zaczęła się śmiać tak serdecznie, że urzędnik czując w jój wesołości niejaki szyderstwo, spoważniał i z cukierka stał się podobny do kawałka niedobrego mydła.

— Ciociu dobrodziejko, mówiła dalej Jadwiga, pojedziemy na wieś i tam dopiero na wielką skalę konspirować będziemy.

Urzędnik miał kapelusz w ręku niewiedząc co mówić.

— Chwała Bogu, dodał po chwili, że pani to tak jakoś wesoło przyjmuje. Ja szczególnież za to wdzięczem jestem, bo misja moja daleko mniej przykrą się stała.

— Możesz pan być zupełnie spokojny o nas, rzekła Jadwiga. Ciocia sobie wypocznie — ja odetchnę świeżem powietrzem, a że uchodzę jak widać za niebezpieczną jakąś rewolucjonistkę, zmienię tylko teatr mych wielkich czynów; będę buntować włościan i szlacheie wiejskiej głowę zawracać.

Urzędnikowi te żarty były wcale nie w smak, zmarszczył się i rzekł:

— Rozumiem że to są żarty, ale gdyby w nich miała być choć cząsteczka prawdy, musiałbym panią przestrzedz że w takim razie wygnanie na wieś mogłoby się zmienić na inne daleko mniej wypodne...

— Naprzykład? spytała panna Jadwiga.

— Pani mnie zmusza abym był nieszczęśliwym prorokiem, bo w terażniejszych okoliczno-

ściach, niestety, rząd jest zmuszony chwycić się często dla niego samego wstrętliwych środków!

— Więc cóż, Sybir? spytała panna Jadwiga.

— No, Sybir może nie, ale głąb' Rosji...

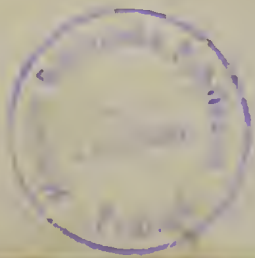
— Przyznam się panu że z ciekawością puściłabym się w te strony śnieżyste, a zresztą i z pewną dumą. naostatek, któż wie? może by mi się tam zachciało apostołować także? Jeszcze do-
tąd kobietom głów nie ścinano, ale i to może na-
stąpić...

— Ta rezygnacja pani jest w istocie cudowną, rzekł urzędnik; myślałem że mi bardzo ciężko przyjdzie rozkaz ten paniom objawić...

— O! bądź pan spokojny, kobiety polskie do daleko straszniejszych przygotowały się prześladowań, rzekła poważnie Jadwiga, mam nadzieję że je mężnie znieść potrafimy.

Mężczyzna przybyły spojrział na Jadwigę z wyrazem w którym grzeczność walczyła z szyderstwem.

— Pani dobrodziejko, rzekł, ja także jestem Polak, i nie wyrzekłem się tych uczuć dla kraju z których się drudzy tak bardzo chlubią. mam rodzinę, ale przyznam się pani, że nie życzyłbym sobie aby niewiasty dla których mam szacunek, mieszały się w tak zwane polityczne sprawy



kraju; znajduję to niewłaściwem dla kobiet, a chociaż nie wątpię o ich mężstwie, nie radłbym go na próby narażać.

Jadwiga splonęła cała.

— Nie sędzę, odparła, żeby to była pora i miejsce wdawać się w rozprawy o obowiązkach kobiet, i wątpię żebyśmy się z panem zrozumieć mogli, mówmy lepićj o tem co się nas tyczy. Uznane za niebezpieczne, mamy wyjeżdżać na wieś, rozkaz ten czy ma być wykonany natychmiast?

— Pozwoli mi pani powtórzyć i zapewnić że w wydaniu tego rozkazu, w ocenieniu pobudek które go spowodowały, ja nie miałem najmniejszego udziału. Jestem tu prostym posłańcem władzy, przynosząc co mi odnieść kazano; wolą jest wyższą aby panie wyjechały we dwadzieścia cztery godzin.

Jadwiga z bardzo zimną krwią dobyła z zapaska zegarek i pokazała godzinę urzędnikowi.

Ciotka, zakrzyknęła protestując, że się tak prędko wybrać nie podobna.

— Ale mnie się zdaje, rzekł urzędnik, iż dałoby się wyrobić pewne przedłużenie zakresłonego terminu.

— Ale na cóż mamy prosić! kochana ciociu, przerwała Jadwiga, pokazuje się że rząd rosyjski strasznie się nas lęka, na cóż do tylu kłopotów i niepokojów dodawać mu jeszcze nowe? Pojedziemy ciociu, pojedziemy, upakujemy się. I zwracając się ku urzędnikowi spytała:

— Czy z żandarmem?

— Nie sędzę, rzekł widocznie podrażniony urzędnik, ale mogłoby się na tem skończyć, gdyby pani tak chciała próbować cierpliwości tego co mi dał rozkaz, jak była łaskawa moją na próbę wystawić.

— Przepraszam pana, rzekła Jadwiga, ale mi się zdawało że kto raz wdział ten mundur który pan nosisz, musi mieć niewyczerpane cierpliwości zapasy.

Ten ucinek zdawał się kończyć rozmowę, gdyż urzędnik wstał i zabierał się do wyjścia, ale ciocia przelękną, podrażniona tonem rozmowy którą prowadziła Jadwiga, wstrzymała jeszcze grzecznego pana.

— Szanowny, drogi panie, rzekła, nie gniewaj ze się na tego mego trzpiota, a bądź tak dobry i łaskaw zrób co można, aby nas tak nagle nie wypędzano, mijam to że mamy i mieszkanie najęte i tysiące interesów do pokończenia i ra-

chunków z kupcami, aleć to przecie i wybrać się i zapakować! a pan wiesz co to my kobiety za mnóstwa rzeczy potrzebujemy. zmiłuj że się pan aby nie we dwadzieścia cztery godziny!!

— Więc we czterdzieści ośm, jeśli pani chce, wezmę to na siebie, powiem żem się omylił!

— Ale moja ciociu, przerwała Jadwiga, na cóż to wszystko, pana możemy na przykrość narazić, a ja ręczę że się wybiorę nie we dwadzieścia cztery ale do jutra rana.

Urzędnik się skłonił, ciocia choć z ciężkością odprowadziła go aż do drzwi, a Jadwiga z licem oblaném purpurą ani mu skłoniła głowę. Dopiero gdy wyszedł spojrzawszy ze wzgardą na drzwi, rzuciła się na kanapę, widocznie do żywego tym niespodzianym rozkazem dotknięta. Na twarzy jęj malował się niepokój i rozdrażnienie. Zwykle łagodna i jak wszyscy ludzie energiczni, poważna i spokojna, na ten raz nie umiała dość cierpliwie przenieść doznanej przykrości. Ażeby wytłómaczyć powód tego jęj znalezienia się, potrzebaby głębiej sięgnąć w życie Jadwigi w ciągu tych kilku miesięcy.

Chlubą jest i zaszczytem kobiet polskich że w tęg śmiertelnej walce z wrogami nie pozostały widzem obojętnym, ani się ograniczyły tą rolą

bierną jaką im zwykle obowiązki kobiecie wyznaczały. Pojęły one że w tym boju, do którego wszyscy nieśli po odrobinie siły, starcy siedmudziesiątletni i czternastoletnie chłopaki, kobiety także przynieść były powinny czynną pomoc braciom. Udział ich był w istocie większym niż się spodziewać było można, wprzódby nim nieprzyjaciół posądził je o współdziałanie przez nie bezściągnięcia podejrzeń najwięcej uczynić było można. Dla tego też w końcu usłużne lokajskie dziennikarstwo moskiewskie pierwsze wskazało rządowi, ażeby zemstę wywarł na kobietach, dla tego też z bezprzykładnem w dziejach okrucieństwem wloką na Sybir matki od niemowląt, niedorośle dziewczęta i poważne matrony...

Jadwiga oddawszy się cała na posługę sprawie krajowej, choć we dnie i w godzinach zwykłych ukazywała się w salonie aby nie ściągnąć uwagi zbyt niemi oderwaniem od towarzystwa, miała wiele pracy i wiele na sobie odpowiedzialności. Ciotka nawet nie wiedziała że w jej pokoiku przytykającym do sypialnego znajdowała się prasa drukarska, że z tego spokojnego kącika wychodziły tysiącami odezw, ostrzeżenia, pieśni i modlitwy, które były duchowym pokarmem w tych dniach powolnego męczeństwa.

Poszukiwano już naówczas z wielką usilnością tych pras pokątnych, trudno je było ukryć i Jadwiga z wielkim zapalem podjęła się sama sprowadzenia całego przyrządu, co więcćj nauczyła się składania i z drugą pocziwą kobietą żoną zecera, nocami i wieczorami, drukowały to co gdzieindziej ani tak prędko, ani tak bezpiecznie, ani tak dobrze, wykonaćby się nie dało.

Jadwiga była dumną z tej roboty, nad którą wprawdzie walała ręce ale się duszą rozpromieniała.

Przy takim ucisku myśli, jakim był, jest i będzie despotyzm moskiewski, tajne druki są koniecznością położenia. Duch ludzki wzdryga się więcćj jeszcze na niewolę niżeli ciało. Tam gdzie wzbroniony jest śpiew w kościele, rozmowa w domu, rozumowanie w książce, nowina w gazecie, żal na ustach, łza na oku, uciemżona dusza choćby pod groźbą najsroższą z jękiem, skargą, z boleścią swą w jakikolwiek sposób objawić się musi. Lżej jest sercu gdy znękanę słuchaniem fałszów, może poświadczyć prawdę choćby jednemu słowem. Tam też gdzie świętokradzko zamknięto usta ludziom, wszelki głos swobodny ma nadzwyczajną siłę i znaczenie. Dosyć jest dozwoleń rządowego położonego na najlepszej książce aby

ona całą swą wartość straciła: dosyć jest znanienia swobody na najlichszym świstku aby nabrał ważności, Rządowe organa podobne są do żołnierzy w służbie cesarskiej: jak żołnierze przestają być prawie ludźmi. tak ta myśl umundurowana myślą być prawie przestaje.

W ostatnich téż czasach prasa tajemna odegrała wielką i ważną rolę; z małemi i nieuchronnemi wyjątkami, nieskaziła się ona żadną skazą, żadną ostatecznością szkodliwą. Nieograniczona nieczem, uczuciem obowiązku ograniczyć się umiała. Począwszy od tych nieśmiałych próbek które się ukazały raz pierwszy w rocznicę dwudziestego dziewiątego Listopada 1860 roku, zbiór tych ulotnych pisemek, perjodycznych dzienników, odezw itp. stanowi niezmiernie szacowny materiał do historii epoki, ale go zajadle niszczą Moskale. Są tam zapewne i gorączkowe wybuchy i namiętne głosy, ale nie znajdziecie nic coby nasz naród splamieć mogło.

Porównajcie te pisma z płodami rewolucji innych krajów, a przekonacie się, że zarzuty czy-nione nam, swawoli i okrucieństwa są potwarzą nieprzyjaciół.

W obec ucisku jaki ciąży nad nami, żaden w świecie naród tak łagodnym by się nie okazał.

Jeżeli sprawiedliwość po kilku ostrzeżeniach zmuszoną była nieraz do wydania i spełnienia wyroku śmierci, policzmyż te zabójstwa konieczne i porównajmy je do daleko mniej usprawiedliwionych, mniej nawet prawnie upowodowanych morderstw moskiewskich, a okaże się, że myśmy się słabo bronili, gdy tamci barbarzyńsko się znęcali.

Niech nam wolno będzie zapisać na tej karcie opowiadanie któreśmy słyszeli, będące w pewnym związku z dotkniętym przedmiotem.

Jeden z przyjaciół Mickiewicza, który nam to opowiadał, w ostatnich latach jego życia przyszedł doń raz rano i zastał go pochmurnym i smutnym. Napróżno z początku dopytywał o przyczynę, poeta był zamysłony, wzdychał i chwytął się za czoło.

— Źle spałem, rzekł po chwili, marzyły mi się rzeczy dziwne, napróżnom chciał odpędzić zmory. Niewiem, czy to był sen proroczy, czy zburzonej wyobraźni widziadła, ale tak mi się to wraziło w pamięć, że jeszcze się uspokoić nie mogę!!

Nie można było zbyt nalegać widząc cierpienia Adama. Wszakże powoli on sam zaczął sen swój opowiadać.

— Zdało mi się, że byłem na rynku jakiegoś

wielkiego polskiego miasta; nie mogę oznaczyć, w Wilnie, w Krakowie czy w Warszawie; wieczór pochmurny, mglisty, powietrze ciężkie, niebo ołowiane, gmachy białe i puste, a wśród wielkiego placu nieszczęśliwa ludność gnana i pędzona przez dzicz kozacką, pastwiącą się nad nią ze wściekłością. Na wschodkach przed gmachem jakimś siedziała brzemienna niewiasta, kozak przyskoczył do niej. rozplatał wnętrzności, dobył z nich dziecię i rozbił je o bruk, dobył drugie i zdeptał nogami, dobył trzecie i cisnął, aż gdy jeszcze sięgnął w rozkrwawione wnętrzności, ręka jego wyciągnęła z nich straszną poczwarę z zaiskrzonymi oczyma, z ostremi pazury i paszczą roztwartą, i poczwara ta pożarła naprzód kata, potem rzuciła się na innych pastwiąc się nad nimi.... I była noc, i krzyki okropne... Moskwy konającą w męczarniach.

— Tak, rzekł po chwili Mickiewicz, oni narreszcie okrucieństwem swém dobędą z naszego łona tę straszliwą potworę która ich zadławi...

Opowiadanie to jest historyczne, nie ważyłby się pewnie nikt na rachunek poważanego w narodzie męża utworzyć nic podobnego; dowodzi ono, jak on jasno widział przyszłość dalszą może jeszcze niżeli dzień dzisiejszy. Jeszcze z nas téj

potwory nie dobyto, ale zaparcie wszystkich praw ludzkości gdy o nas idzie, ale odmówienie nam wszystkich swobód które się ludziom należą, ucisk bezmierny i bezprawny, mogą wreszcie z wnętrzości narodu, dobyć tę zrozpaczoną istotę, tak wściekłą i okrutną, jak wrogowie nasi.

Wróćmy teraz do bohaterki naszej, która po chwili walki samćj z sobą, podniosła się, odzyskawszy męztwo, z uśmiechem na ustach. Nad nią stała ciotka z załamanemi rękami, wylekła, niespokojna.

— Widzisz, widzisz Jadwisiu, ot do czego to przyszło, ja się o ciebie tak lękam, a ty żadnćj rady mojęj usłuchać nie chcesz.

— Ciociu, mateczko, nie martw się, nie się straszego nie stało. Cóż robić? pojedziemy na wieś, a na wsi znajdzie się także dużo do roboty.

— Otóż masz, przerwała ciotka, na miłość bożą, dajże ty już pokój wszystkiemu. Oni cię jeszcze gotowi na Sybir pochwycić! Jadwisiu, serce moje, ten niepokój skróci mi życie; ulituj się, jeśli nie nad sobą to nademną!

— No, dobrze ciociu, już nie nie będziem robiły, odpowiedziała uśmiechając się Jadwiga, będę szyć na kanwie, kwiatki podlewać i Choch-

lika nauczę przez kij skakać. Tylko niech się ciocia nie martwi...

Ciotka zaczęła ją ścisnąć, Jadwidze także łzy w oczach stanęły i pod pozorem wyboru w drogę wybiegła zaraz na górę do swego pokoiku. W istocie miała bardzo wiele do czynienia. Stosy papierów potrzeba było co najprędzej rozesłać, całą drukarnię gdzieś przenieść, a co więcej wyszukać takiego miejsca w któremby ona bezpiecznie czynną być mogła. Jadzia musiała natychmiast posłać po kogoś z młodzieży aby się z nim naradzić. Wolałaby była widzieć się z Karolem jak z kim innym, ale ostatnia przechadzka nappełniła ją trwogą a rozkaz wyjazdu zmuszał do jak największej ostrożności.

Nakręśliła więc kilka słów dając do zrozumienia, żeby do niej ktoś przyszedł niewzbudzający podejrzeń; tymczasem zajęła się pakowaniem i zdziwiła mocno gdy po godzinnem oczekiwaniu zastukano do jej drzwi a w progu ukazał się mundur moskiewski i brzęknęła w stalowej pochwie szablica.

Pierwszą jej myślą było, że policja przychodzi robić poszukiwania, ale przybyły był bardzo młody człowiek, blady, wyrazistej twarzy, szlachetnych rysów, wcale nie wyglądający na

połicjanta; nieśmiało i cicho wymówił nazwisko panny Jadwigi i wyszeptał że jest przysłany przez Karola.

Dziewczę długo na niego spojrzało a w jej wzroku mimowolnie przebiło się wrażenie które na niej mundur uczynił.

— Widzę, rzekł nieznajomy, że pani z obawą, ze wstrętem patrzysz na to moje nieszczęśliwe niewolnicze ubranie; niech ono pani nie zraża. Po między tymi którzy je noszą, znajdzie się wprawdzie kilku którym ta skóra przyrosła do ciała, którym jad swój w krew wsączyła, ale to są wyjątki; tysiące nas co chodzimy w tych obróżach moskiewskich, cośmy od dzieci wychowani byli w ich szkołach i zakładach, wynieśliśmy z nich przecie całą, nietkniętą, gorącą miłość ojczyzny, pragnienie ofiary, nienawiść uścisku. Wierz mi pani, wstrętliwy ten mundur nieraz wielkie oddał przysługi sprawie naszej.

Uśmiechnął się i dodał:

— Mam tu z sobą dwóch żołnierzy i furgon wojskowy dla zabrania drukarni; mogę ją w dzień biały wywieźć, potrzeba tylko upakować i postawić gdzieś w pustym pokoju aby się żołnierze nie skrytego nie domyślali; ujdzie to dobrze za własność sztabową.

— A jeśli pana z tém złapią? spytała strwożona kobieta.

— To mnie rozstrzelają, rzekł oficer zimno, myśmy już oswojeni z tą ostatecznością która prędzej później spotkać nas musi. Ale jak ze wszystkim tak i z tą groźbą śmierci człowiek w końcu obyć się musi.

Jadwiga z uwielbieniem spójrzała na młodego chłopaka, który był tak wesół, przytomny i rzeźki jak gdyby przybył na zabawę. Oddadzą nam kiedyś tę sprawiedliwość nieprzyjaciele sami, że żadna może ze znacznych epok nie wydała tyle charakterów, tyle poświęceń, tak bohater-skiego zaparcia się, jak obecna.

Przed wieczorem jeszcze prasa i czcionki wyjechały na furgonie razem z wszystkimi papierami które ukryć było potrzeba. Jadwiga wyręczając ciotkę zajęła się pakowaniem, rachunkami, całém tém uciążliwem przygotowaniem do podróży które się staje nieznośnem, gdy na nie zabraknie czasu. Wśród téj pracy jedna myśl ścisnęła serce i lży napędzała do oczów. Wiedziała ona, że na wsi potrafi być użyteczną, że w mieście ktoś ją zastąpi, ale ten nagły wyjazd oddzielał ją od Karola kto wie na jak długo, może na wieki. On pozostawał wśród niebezpieczeństwa, a ona ani go

z nim dzielić, ani nad nim czuwać nie mogła. Gdybyż choć go pożegnać, choć ścisnąć dłoń jego i oczyma powiedzieć: Do zobaczenia na tym lub na tamtym świecie.

Domyslała się Jadwigę że dom ich i mieszkanie musiały być pilnie strzeżone, lękała się nawet aby Karol nie nadszedł mimo zakazu, byłaby wybiegła, gdyby wiedziała gdzie go szukać.

Godziny płynęły a każda uchodząca chwila coraz cięższą była do przeniesienia. Myśl, że go nie zobaczy, brzemieniem niecznośnem uciskała jej piersi. Tak nadszedł wieczór, a że w mieście nie wiadano wcale o rozkazie wyjazdu, jak zwykle w porze herbaty, zaczęli schodzić się goście. Jadwiga byłaby wydała rozkaz nie przyjmowania nikogo gdyby nie ciotka. Wiedziała ona z doświadczenia, że w tym stanie niepokoju i rozżalenia ciocia potrzebowała koniecznie dystrakcji, ludzi, rozmowy! nie podobna jej było tej ostatniej pociechy pozbawiać. Pospiesznie więc, pokonczywszy co było najpilniejszego, Jadwiga zbiegła do salonu z twarzą tém weselszą im bardziej chciała pokryć nią smutek jaki w duszy jej panował.

Z wielkiem podziwieniem spostrzegła przy ciotce kogoś zupełnie nieznanego z ogromną czarną fryzurą na głowie, wąsami i brodą kruczą;

nieznajomy ten siedział przy niej i cicho ale poufale rozmawiał. Nieśmiało zbliżała się Jadwiga, mężczyzna powstał, krzyknęła z zadziwienia poznając w nim wybornie przebranego Karola.

— Na miłość bożą, zwołała czerwieniąc się cała, już się téż tego robić nie godzi! Jakkolwiek serdecznie pragnęłam pana widzieć, ale nie mogę znieść, abyś pan wolność i życie narażał dla nas. Wiesz pan jak rozmaite towarzystwo bywa u nas! to się nie godzi! to się nie godzi!

— Nie gniewajże się pani, rzekł Karol, z gości nikt mnie nie zdradzić nie może, szpieg, który stoi przy bramie nie jest wcale niebezpieczny, a na wypadek, żeby jeszcze drugiego postawiono, przyjechałam karetą, w której miałem minę łopuchu posadzonego w chińskim wazonie. Nikt się pewnie, nawet policja, domyślić nie może, żebym ja tak paradnie jeździł.

— Wszystko to dobrze, odpowiedziała Jadwiga, ale ja się boję, a pan powinienbyś mieć litość nademną, powtarzam panu, że się strasznie boję. Jestem szczęśliwa, że raz jeszcze mogę panu powiedzieć do widzenia: miałabym tysiąc rzeczy do mówienia z nim jeszcze, ale ten nieszczęśliwy strach myśli mi mąci, przytomność odbiera, prawie się gniewam na pana.

Gniewu jednak w oczach wcale nie było, patrzała nań Jadwiga, jakby chciała nasycić wzrok ulubionym obrazem i pamięć jego wywieźć z sobą.

— Powtarzam pani, że nie mam najmniejszej obawy o siebie...

Na te słowa jakby na przekorę wszedł szybko do salonu znany nam już Micio. Poczciwy chłopak, który wcale do panieczkowskiego towarzystwa nie należał, ale w nie przypadkowo był wmieszany, przychodził z oznajmieniem i przestrogą, że w czasie wczorajszej przechadzki Juliusz poznał Karola, że o tém mówił głośno, i że to grozić mogło niebezpieczeństwem. Poczciwy chłopiec tak był przerażony zobaczywszy Karola, tak nastawał na to, aby natychmiast ztąd wyszedł, sama Jadwiga tak go o to prosiła, iż Karol musiał choć niechętnie uchodzić.

Nazajutrz rano obie panie z ciocią miały być na mszy u Karmelitów na Krakowskiem. Jadwiga więc szepnęła tylko Karolowi, że go jeszcze pożegna i zobaczy przed posągiem Chrystusa.

Wieczór upłynął na dosyć dziwném rozpytywaniu przybyłych o przyczyny spieszego wyjazdu, ciocia chciała ukryć wydane rozkazy, ażeby się uzalaniem i rozgłosem nie narazić rządowi.

Jadwiga przeciwnie żartowała sobie z tego prześladowania nie bez pewnej goryczy, ale nader dowcipnie. Pomiędzy przybyłemi był i Edward milczący, zamysłony, stroskany oddaleniem celu swych zapalów. Zdziwiony był jak inni wydanym rozkazem, chciałby się był gniewać na sprawców swojej niedoli, ale nie śmiał. Wszystkie jego rachuby zostały w ten sposób wywrócone, nie mógł wyjechać na wieś za panną Jadwigą, a z góry przewidywał, że wszystkie jego zasługi zapomniane zostaną. Inni pretendenci jawniej niż on okazywali swą niechęć przeciwko rządowi, który im srogim tym rozkazem wydierał uwielbioną, a co gorzej, tak posażną pannę. Przewidywali oni, że się tam na wsi znajdzie jaki szczęśliwy adonis, który korzystając z nudów wiejskich serce i rękę pochwycić potrafi. Niektórzy z żarliwszych wielbicieli i mniej bojaźliwych postanowili nazajutrz odprowadzać Jadwigę i ciotkę do pierwszej stacji czyniąc dla nich rodzaj manifestacji. Mimo nadzwyczajnego wstrętu jaki miał ku wszelkim tego rodzaju objawom, pan Edward zmuszony został towarzyszyć innym, aby się zbyt tchórzem nie okazać. Dużo wcześniej niż zwykle, goście się rozbiegli roznosząc wiadomość po mieście. Resztę wieczora użyła Jadwiga na

wybór w drogę, a żegnając to mieszkanie pełne paniątek w którym prawdziwsze życie rozpoczęła, nie mogła się wstrzymać od uронienia kilku łez na myśl o niepewnej przyszłości.

Nazajutrz rano pojechały na mszę do Karmelitów, u posagu Chrystusa zastały Karola zamysłonego nad tém pięknóm dziełem rzeźbiarskiej sztuki; stał on tu przez całą mszę, a gdy po niej zbliżyła się doń Jadwiga, rzekła mu wskazując na posag Sosnowskiego.

— Patrz pan, na tego Chrystusa rozciągniętego w grobie jak Polska nasza, artysta polak rzeźbiąc to dzieło miał pewnie na myśli ojczyznę, widzieć w nim unęzione bóstwo przez ludzką złość i namiętności, trup to leży, ale czuć, że życie jest jeszcze w trupie, że on powstanie do nowego żywota, skruszy kajdany śmierci i wznijdzie z chorągwią tryumfu, a żołnierstwo rzymskie co strzegło zabitego padnie na twarze przed zmartwych powstałym. Tak, ten Chrystus, to Polska nasza, śpi ona jeszcze w grobie ale odżyje, kamień odwali i wstanie na nieśmiertelne istnienie. Miejmy nadzieję, dodała, wierzymy, a stanie się tak jako serca nasze zapragną. Nie żegnam pana, zobaczymy się prędko, gdzie i jak, nie wiem, ale widzieć się musimy.

To mówiąc podała mu rękę i siadły do powozu.

Karol długo za nimi powiódł tęsknemi oczyma.

Z południa powozy były gotowe, panie siadły i wyruszyły ku Wolskim rogatkom. Już w końcu miasta spotkały liczny zastęp oczekującej na nie młodzieży. Ciocia ledwie się wyprosiła, aby je dalej nie przeprowadzano, obawiała się wszelkiej oznaki współczucia nie tak dla siebie, jak dla Jadwigi, którą zdawała się już widzieć ciągnioną na Sybir.

Na drugiej stacji za Warszawą, gdy obie podróżne zotopione w myślach czekały przeprzegu koni, niespodzianie wsunął się do powozu ogromny bukiet ślicznych kwiatów jesiennych, który Chochlik siedzący na przedzie koczka powitał wesółem szczekaniem. Ledwie go można było utrzymać, żeby z powozu nie wyskoczył. Żywo uderzyło serce Jadwigi, domyśliła się wprzód nim zobaczyła Karola. Był to jeszcze raz on, wymknął się przodem z miasta, aby jeszcze raz ją pożegnać, jeszcze raz zobaczyć. Ciotce nie bardzo się to podobało, wprawdzie pogodziła się była nieco z Karolem, ale im bardziej zbliżał się do Jadwigi tém opiekunka była niespokojniejszą.

Czasem na chwilę zapomniała o jego pochodzeniu i towarzyskich przesądach, wszakże nigdy zwyciężyć ich całkiem w sobie nie mogła. To ostatnie pożegnanie trwało tylko chwilę, konie były zaprzężone, musiano jechać a Jadwiga do samego prawie domu była milcząca i głęboko zamyślona.

Ciotka postrzegła w krótkce, że mocno tęskniła za Warszawą i że zajęcia wiejskie, których było podostatkiem, ani jej zastąpić ani zapomnieć nie dały. Umiała się wszakże Jadwiga pogodzić ze swym położeniem i choć smutek na jej twarzy był widoczny rozrywała się pracą około ochrony wiejskiej, szkółki i t. p. Ciotka, która mniej daleko miała powodów żalowania stolicy, wpadła wszakże w rodzaj melancholji i niezdrowia bardzo zastraszającego. Całe dnie przesiadywała nad swojemi krosienkami, na których zwykle leżała jeszcze książka, ale ani haftować ani czytać nie mogła. Z oczyma wlepionemi w krośna spędzała w milczeniu godziny; po dwa i trzy razy pytać się było o jedno potrzeba, nim odpowiadała. Ilekroć się odezwała widać było, jak wszystko widziała czarno i rozpaczliwie. Uśmiech, dawniej częsty gość na ustach, teraz się prawie na nich już nie ukazywał, chudła, mizerniała a najtroskliwsze starania i

pieszczoty siostrzenicy nie na to poradzić nie mogły. Sprowadzeni lekarze radzili takie środki, które dowodziły, że choroby wcale nie rozumieli. Jak zwykle, gdy się chorego chcą pozbyć bardzo, życzyli podróż za granicę, zmianę klimatu, rozrywki i t. p. Ciotka jednak nie godziła się na podróż, potrzasała głową i ani sobie o niej mówić pozwalała.

Przeszedł tak miesiąc, począł się drugi a stan chorób ciągle się pogorszał. Potrzeba było Warszawy, nawet dla samego poradzenia się o jej zdrowie. Jadwiga więc zebrawszy świadectwa lekarzy napisała pokryjomu list do jednego ze swych krewnych, mającego rozległe stosunki, prosząc o pozwolenie powrotu. Odpowiedź przyszła nie rychło. Wyrażono w niej, że powrót ciotki był w każdym czasie możliwy, ale wzbroniony najzupełniej pannie Jadwidze. Ciotka znówu bez niej wcale jechać nie chciała. Napisano raz drugi, odpowiedź przyszła odmówna, Jadwiga ofiarowała się jechać przebrana za służącą ale na to ciocia zakrzyknęła nie chcąc nawet słyszeć o podobnym projekcie.

W krótko potem położyła się w łóżko: Symptomata choroby coraz bardziej były zatrważające. Sprowadzono najslawniejszych lekarzy war-

szawskich ale i ci okazywali, że nie wiele poradzić mogą; ciotka była gorzej a gorzej. Nalegała Jadwiga czując swe dla niej obowiązki o wyjazd za granicę i ten stał się już niemożliwy bo stan słabiej nie dozwalał myśleć nawet o podróży. Zaczęły się więc te dni ciężkie przedłużonego konania, w ciągu których wychowanka na chwilę nie odstępowała od swój przybranój matki. Niepokój o los siostrzenicy zdawał się najwięcej udręczać i trwożyć chorą, niekiedy wyrzywały się z jej ust wyrazy dowodzące jak dalece przyszłość Jadwigi przerażała ją, rzeczywiście nie było to marzenie dziwaczne ale przecucie przywiązanego serca. Łatwo było przewidzieć, że Jadwiga rzucić się musi tam, gdzie ją serce powoływało. Może niepokój ten przyczynił się nawet do przyspieszenia smutnego końca biednej staruszce, gdyż choroba jej wznowiła się nadzwyczajnie, w krótko wyczerpała wszystkie siły i jednego poranka okrzyki służki zwiastowały, że ciocię biedną, znaleziono martwą na posłaniu.

Zgon ten był od dawna przewidziany jednak silnie dotknął serce Jadwigi, która pokłękawszy przy łożu opiekunki nieruchoma spędziła tak w łzach kilkanaście godzin, aż ją prawie gwałtem od zwłok oderwać musiano.

Pogrzeb i wszystkie nieszczęsne formalności jakie śmierć wiedzie za sobą dużo czasu zabrały. Jadwiga nie mogła pomyśleć o sobie, o tém, co się z nią stanie. Dopiero gdy po przykrój wrzawie głucha nadeszła cisza, gdy się poczuła sama panią swój woli, ale bez opieki, bez rodziny, zaczęła rozmyślać co pocznie i jak dalsze urządzi życie. Sama przyzwoitość wymagała przybrania nie młodej towarzyski. Napisała więc do Emmy, którąśmy już raz z nią widzieli, aby do niej na wieś przybyła.

Panna Emma, która stworzoną była na siostrę miłosierdzia i nie oblókwszy sukienki spełniała wszystkie jej obowiązki, z ciężkością teraz wyrwać się mogła z Warszawy, gdzie tyle miała do czynienia. Przyjechała wreszcie jak zawsze, wesółą, śmieszka, najpoważniejsze uczucia, i największe poświęcenie kryjąc tym pozorem trzpiotowości. Przyjechała z kieszeniami pełnemi odezw, proklamacji, wierszy, obrazków, medalików, broszurek, wszystkich tych owoców naszej walki w której tak czynną grała rolę. Musiała w zastępstwie po sobie zostawić dwie czy trzy panie mające chodzić do cytadelli, odwiedzać rannych kryjących się po domach jeszcze od kwietniowej rzezi, roznosić papiery, zbierać składki, i dawać

lekcje w wieczornych szkołkach dla dziewcząt. Panna Emma tak była przywykła do tego czynnego życia, że na wsi pierwsze dni wydały się jej niesłychanie długimi, zaręczała, że się z próżnowania rozchoruje.

Z jej opowiadań przekonała się Jadwiga, że w Warszawie istotnie i ona i Emma by się były przydały. Miały też wielką ochotę powrócić, ale nie wiedziała jak tego dokazać, jak to przedsięwziąć. Raz rzucona myśl utkwiała mocno w głowie Jadwigi. Wszakże pilnowano ją na wsi, a dłuższa jej niebytność musiałaby być postrzeżoną. Po długich naradach osnuto nareszcie projekt tak śmiały, że się nań tylko kobiety odważyć mogły.

Panna Jadwiga podała się o pasport za granicę wraz z Emmą, a że były już przykłady, że tym, którym Warszawa wzbronioną została podróż mogła być dozwoloną, pocieszano się nadzieją, iż przy staraniu i pieniądzach pasport się wyrobi. Mając go raz obie panie postanowiły wyjechać niby za granicę, a w istocie potajemnie udać się do Warszawy. Zdawało im się bardzo możliwem najawszy gdzieś mieszkanie pod cudzím imieniem ukryć się w mieście, i do wspólnej pracy przykładać. Zresztą pannie Emmie pobyt nie był zabroniony, a Jadwiga pochlebiała sobie, że pod

skromniejszą postacią ukryć się potrafi i zmylić czujne szpiegów oko.

Pisano list za listem do Warszawy przyspieszając ów pasport, rojono już o przyszłym życiu gdzieś w kątku w alejach, na Pradze, koło Tanki lub w podobnym miejscu. Pasport opłacony sowicie nadszedł nareszcie. Radość była bardzo wielka. Postarano się, schowawszy go, o inny wójta sąsiedniej gminy do Warszawy i panna Jadwiga pod imieniem Heleny Pruchnickiej w skromnej bryczce wyruszyła wraz z Emmą ku stolicy. Ale mimo, że spełniało się najgorętsze jej serca życzenie była smutną. To położenie kłamane przykrém jej było, przeciwnie Emma, która wracała do zajęć swych ulubionych, do swego, jak je nazywała, gospodarstwa, okazywała jak najżywszą niecierpliwość, żeby jak najprędzej do Warszawy dojechać. Śmiała się, płakała, usiłowała odgadnąć, co się tam przez czas jej niebytności stać mogło, szczebiotała i niekiedy dziecinném swém roztrzęsaniem byłaby może znecierpliwiła Jadwigę, gdyby ta dla jej wielkich cnót nie miała wysokiego szacunku.

Kilką dniami wprzody napisano już do Warszawy o mieszkaniu, znalazło się bardzo wesoło, niedaleko ogrodu Hauzera w alei, gdzie obie pa-

nie razem zamieszkać miały. Jadwiga postanowiła wyrzec się dawnych swych znajomości i stosunków, zerwać z próżniaczym światem i rozpocząć razem z Emmą życie poświęcenia i pracy. W tych myślach pięknego jesiennego wieczora przejechały rogatki i puściły w ulice Warszawy witając w nich i groźne patrole i ruchawą ludność na przekor im wesoło kręcącą się wśród tych przygotowań złowrogich.

Z pewnego względu możnaby ludzi na dwie wielkie klasy podzielić, na tych co tak miłują prawdę, że w życiu swém, nawet w formach zewnętrznych, fałszu i złudzeń znieść nie mogą, i na tych, którzy bez komedji udawania i błyskotek żyć nie umieją. To co nazywamy pańskością całe się składa z drobnych formulek, z pospolitego człowieka czyniących niby wybraną istotę. Ci, którym zbywa właśnie na przymiotach stanowiących wybrańszą naturę, starają się je zastąpić pozorami, które wyglądają jak wysokie korki u trzewików. Człowiek przez nie wyższym się nie staje, ale wydaje się nieco wzroslejszym. Iluż widzimy w życiu ubogich ludzi, którzy w koło siebie udają państwo, małuczko jest takich, co się tą komedją brzydzą i jak tylko mogą ścierają co najprędzej róż i bielidło.

Z osób wchodzących do naszej powieści wy-

bierzem dwa przykłady dla dowodu, chociaż dowody naszego twierdzenia w życiu się codziennie spotykają. Pan Edward, syn ubogiego szlachcica udawał panicza strojem, obyczajem, stosunkami, które zawierał. Ten chomał towarzyskich konwencji, w którym innym tak chodzić trudno, dla niego był bardzo przyjemnym naszyjnikiem.

Panna Jadwiga urodzona w dostatkach, spokrewniona z najpięszszemi rodzinami, rada była i szczęśliwa, gdy ze sznurówki salonowej wyzwolić się mogła, naturalny jakiś pociąg czuła do tego świata, w którym mniej kłamać potrzeba a więcej sobą być wolno. Gdy się ujrzała teraz swobodną w skromnem mieszkaniu, z wolną wolą wybrania sobie towarzystwa, jakie jej najwięcej do smaku przypaść mogło, czuła się w nowym sposobie szczęśliwą. W drodze już cały plan nowego życia osnuły z Emmą, obie nie miały rodziny bliższej nad wszystkich nieszczęśliwych, których sieroctwo braćmi ich czyniło, postanowiły więc poświęcić się na posługę tym, którym nikt nie służył. Panna Emma wracała tylko do dawnych zatrudnień, Jadwiga musiała więcej obmyślić własne, aby się nie narażać i dłużej istotnie być pożyteczną.

Zaraz nazajutrz dowiedziawszy się o jej przy-

byciu, nadbiegł Karol, którego Jadwiga po kilku miesiącach niewidzenia znalazła przykro zmienionym. Znać było na nim tę nieustanną codzienną troskę, ten nawał pracy, który często w jednym dniu zapas sił na lata przeznaczony pożera. Pomimo odwagi i przywyknienia do niebezpieczeństwa, nieustanna potrzeba krycia się i to stanie nad przepaścią, silnój jego nawet naturze czuć się dawało. Chmurny był i smutny, w przeddniu stanowczej walki z tak nierównemi siły, z takim brakiem wszystkiego co jój dać mogło nadzieję zwycięstwa, samą energją i ofiarą bez granic, potrzeba było zastąpić wszystko czego nam nie dostawało. Nie dziw też, że ta energja, nawet w ludziach wielkiego hartu, w końcu się po trochu wyczerpywać musiała. Coraz bliżej widać było dzień stanowczy, dzień wybuchu, którego nie powstrzymać nie mogło, a od którego pierwszych nawet początków przeważnie zależała przyszłość cała. Nieuchronną więc była troska, bo się tu wszystko stawilo na kartę, a wygrana była więcej niż niepewną. Karol wtajemniczony w całe działanie mimowolnie wyrażał sobą ciężki niepokój téj chwili oczekiwania, straszniejszej może nad walkę samą.

Jadwiga znalazła go smutnym, zrezygnowa-

nym, milezącym jak człowieka, na którego sumieniu wielka ciążyła odpowiedzialność. I on także widział w niej zmianę, którą wyrobiło długie cierpienie i tęsknota.

— No, rzekła podając mu rękę, jestem tu znowu, przychodzę po rozkazy i komendę. Wiem, że wiele uczynić nie mogę, ale jak najgoręcej służyć pragnę, przewidując przyszłość zebrałam wszystkie fundusze, jakimi tylko w téj chwili rozporządzać mogą. Są one dosyć znaczne, macie je do dyspozycji. Oprócz tego, mam w ręku pasport, w najgorszym razie choć jako posłaniec przydać się mogę. W Warszawie jestem kontrabandą, ale mieszkanie moje jako kobiety może wam służyć za bezpieczny skład do umieszczenia drukarni lub odbywania narad, które tajemnicy potrzebują. Wybrałam umyślnie dom na ustroju z wyjściem osobnym, oddzielony od innych, tak aby tu niełatwo szpiegować było, powtarzam panu, że bardzo będę szczęśliwą, jeśli się na co przydać potrafię.

— A! pani, rzekł Karol, prawdziwie uwielbienia jesteś godną, że i wśród własnych strapień myślisz tylko o sprawie publicznej, przybywasz tu narażając się, zapominasz o sobie chciałabyś tylko, być jak najużyteczniejszą krajowi, przy-

wykliśmy już teraz do poświęceń, ale takiego jak pani, ja nie znam.

— Nie mówmyż sobie komplementów, odpowiedziała zarumieniona Jadwiga. Karminy niemi, jeśli potrzeba, tych co się tém żywić przywykli, a sobie kochany panie, mówmy szczerą przyjacielską prawdę. Cóż to znaczy ta cała moja gotowość do usług, kiedy te ręce, które wam wyciągami wielkiego ciężaru nie dźwigną?

— Otóż, rzekł Karol uśmiechając się, bez żadnego pochlebstwa powiem pani, że przybywasz nam bardzo w porę. Rządy margrabiego coraz stają się cięższe, wzmacniają policją, urządzając ją to na wzór pruski, to na sposób angielski, klika otaczająca pałac Brühlowski, pełna jest dyletantów szpiegów, którzy te obowiązki pełnią, wmawiając w siebie, że to czynią przez miłość ojczyzny. Odkryto już kilka drukarni, coraz trudniej staje się ukryć, każdy więc nowy posiłek który nam przybywa, bardzo jest pożądany. Margrabia z tymi co go otaczają jest dla nas niebezpieczniejszym może od wielu najokrutniejszych Moskali. W jego orszaku znajdują się ludzie, których dawne położenie w społeczeństwie i stosunki czynią dla nas strasznymi. Oni nas znają lepiej, i gdy Moskale naoslep idą, oni dzia-

łają napewno. Zbliżają się chwile bardzo stanowcze.

— Mówże mi pan co mi dasz do czynienia?

— To potém, rzekł Karol, samo się znajdzie.

— Marłam z obawy, dodała Jadwiga, o pana. Niewiem jak potrafiłeś wytrwać i uniknąć dotąd pogoni, ciągle będąc pod ich ręką.

— Przekonany jestem, odpowiedział spokojnie Karol, że w tém wszystkiem nie fatalność, ale rozumne losów kierownictwo więcej czyni niż ludzie. Myśmy tylko narzędziami w ręku Boga według Bosueta, losu według filozofji, a mówiąc po polsku Opatrzności. Dopóki jestem na coś potrzebny, ta dłoń wyrwie mnie z wszelkiego niebezpieczeństwa; gdy skończę mój zawód a krwi kropelka mojej, na użyznienie pola sprawy stanie się konieczną, naówczas zginę i inny mnie zastąpi. Wszystko dotąd w tém cudnem dziele naszym idzie tak, jak nigdy rozum ludzki przewidyć nie mógł; niektóre nawet omyłki nasze, przerażające na chwilę, Opatrzność unie na korzyść téj sprawy obrócić. O sobie nie ma co myśleć. Nigdy egoizma poczwarniej się nie wydawał jak dzisiaj.

— Tak, rzekła uśmiechając się Jadwiga, ale

jakże to mało ludzi na wysokości tych zasad stanąć potrafi?

— Wierzaj mi pani, odpowiedział Karol wesoło, że jest tysiące, a co najdziwniej, prostych i skromnych robotników w tej winnicy, którzy duchem stoją może wyżej od nas. Tysiące tych ludzi wmieszanych jest w pracę naszą; jest to czeladź, rzemieślnicy lud niewykształcony, a z wyjątkiem zupełnie zepsutych, którzy też stoją na boku lub dają się ciągnąć rządowi, wszystkie te mrówki pracują cudownie, co więcej w razie niebezpieczeństwa w obec śmierci pod groźbami katuszy, stają jak chrześcijańscy męczennicy. Zdrada jest prawie niesłychaną, instynkt w działaniu cudowny, posłuszeństwo niewysłowione. Nie wiem, czy który naród z tych, które się najwyższą chlubą cywilizacją byłby zdolny do takiego poświęcenia. Zobaczysz to pani sama gdy, jak nie wątpię, przyjdzie jej się zetknąć z ludem.

— Miałożby to być prawdą? spytała Jadwiga, że rząd widząc takie rozdrażnienie kraju, tak wysoki nastrój ducha myśli o proskrypcji; o brance, która naturalnie jeszcze je do wyższego stopnia podniesie?

— Zdaje się, że branka jest już postanowioną, margrabia obrachował wszystko aż do

możliwości powstania, myli się tylko może sądząc, że je łatwo zgnieść potrafi, że ona mu da w ręce wszystkie żywioły ruchu, i że postrzygłszy i w mundur ubrawszy czerwonych, nad resztą groźbą i grozą panować będzie. Wiemy z Petersburga, że tam się trochę opierają temu projektowi branki w zupełnie wyjątkowych warunkach, ale margrabia obstaje przy swoim, utrzymując, że tylko w ten sposób kraj uspokoi, mówi, że wrzód narwał i pęknać musi.

— Ale to będzie niechybnie hasłem do powstania?

— Oni właśnie na to rachują; sądzą że bez broni, bez wodzów, wśród zimy, powstanie będzie kilkodniowem, że wyłapią i żołnierzy i dowódców, wszystko to wyślą na Sybir i erę rewolucyjną tryumfem zakończą.

— Wszystko to być może, mówił dalej Karol, ale równie téż może być, że powstanie przybierze rozmiary daleko szersze niż się spodziewają, że to co garścią być sędzi margrabia okaże się tysiącami....

— A więc, przerwała Jadwiga, zbliżamy się do chwili stanowczej.

— I dla tego wszystkiemi siły sposobić się do niej potrzeba, korzystać z każdej chwili, z ka-

żdego ich błędu, organizować się, skupiać, pracować tak, jak gdybyśmy jutro wystąpić mieli.

Rozmowa w ten sposób poczęta długo się jeszcze na tém tle rozwijała. Jadwiga przywoziła nowiny z prowincji o usposobieniach włościan, duchowieństwa, ludności miasteczek i fabrycznej, natomiast dowiadywała się co chwila rzeczy dla siebie nowych, bo kilka miesięcy spędzonych na wsi w czasie tak gorącego życia już ją wielu rzeczy nieświadomą czyniły. Zaczęła potem rozpytywać o dawnych swoich znajomych, z przestrachem dowiadując się, że jój pretendenci wszyscy prawie weszli do służby rządowej i służyli usilnie margrabiemu. Nawet pan Edward spodziewał się wicereferendarstwa, hrabia Albert już był referendarzem mianowany, inni pozajmowali stanowiska w rozmaitych dyrekcjach, wydziałach przy radzie stanu i tym podobnie. Stosunki ich czyniły teraz spotkanie z niemi niebezpiecznem dla panny Jadwigi, musiała unikać wszelkimi sposobami, aby nie być poznaną i zdenuncjowaną przez dawnych swoich przyjaciół. A ponieważ jedna z drukarni zaraz nazajutrz miała się przenieść do jój mieszkania i od losu jój zawisły czynności, które jój powierzyć miano, trzeba więc było bardzo się pilnować, aby nie zostać odkrytą.

Kilka godzin spędzili na żywej rozmowie, a choć oboje spragnieni jęj byli, choć w sercach silne wrzało uczucie, nie powiedzieli słowa, któreby je zdradzić mogło. Czuli, że w tęj wielkiej chwili grzechem istotnie była nawet najczystsza miłość, która odrywać mogła od miłości ojczyzny, i nie oni jedni, ale cała niemal młodzież w tęj uroczystej godzinie była jakby w świątyni, w czasie mszalnej ofiary, gdy nikt stojąc przy ulubionej nawet spojrzeć na nią nie śmie, a wszystkie oczy są na ołtarzu, a wszystkie dusze w modlitwie, a wszystkie serca w Bogu. Takiego oderwania się od ziemi, od wszystkiego co na niej jest nam najdroższem, nie pokażą nam dzieje nigdy i nigdy, kochankowie, rodziny, małżeństwa, zapominali o sobie, aby tylko służyć ojczyźnie. Postrach, ten wielki środek w innych czasach, tu był raczej bodźcem niż hamulcem, nie wstrzymywały niebezpieczeństwa, ale nęciły.

Pośród rozmowy wbiegła panna Emma wlokąc szal za sobą, gubiąc chustkę, w kapeluszu, który jęj na ramiona spadał, cała rozogniona tem co widziała i słyszała w mieście. Oblediała już ona wszystkie swoje znajome, była pod cytadelą, wiedziała kogo wywieźli, kogo wzięli, nawet kogo dzisiejszćj nocy szukać miano. Żadna z prawd

i plotek krążących po Warszawie nie uszła jęj ucha. Spisała ile uczennic było w szkółkach, ile zebrano składek, słowem była już *au courant* wszystkiego, a po jęj uśmiechu, wesołości, zaprzątnieniu, widać było że się czuła w swoim żywiole. Zaczęła wydobywać ze wszystkich kieszeni papiery, które poprzynosiła, śmiała się. śpiewała, ścisnęła Jadwigę, chciała pocałować Karola, który ją za to w rękę pocałować musiał i usiadła, nakoniec oznajmując, że dwie swoje przyjaciółki zaprosiła na wieczór, bo nie miały jeszcze czasu dosyć się nagadać z sobą. Jadwiga uścisnęła ją z uczuciem szacunku dla tak poczciwego i niezmożonego serca. Wkrótce téż nadeszły dwie panie, przybył Młot, który się już dowiedział o powrocie Jadwigi i wieczór do późna upłynął na gorących domysłach téj zakrytéj przyszłości, której zasłony każdy się silił podnieść choć małą częścią, ale nikt dosięgnąć jęj nie mógł.

Głuche wieści poprzedziły pewniejszą wiadomość o rozkazie cesarskim wydanym dnia 1 Września ażeby królestwo, przez siedm lat wypoczywające po Mikołajowskich brankach, dostarczyła podatek krwi zaborcom. Czem dla polskich żołnierzy była służba moskiewska jużśmy o tem mówili. Z małym wyjątkiem był to dekret powolnej śmierci, gdyż na tysiące zaledwie kilkuset miało niepewną nadzieję powrotu. Wyrachowano, że w Piotrkowskiem od 1831 r. do 1862, na jedenaście tysięcy zabranych ledwie czterystu powróciło kaleków, zniekanych i do pracy niezdatnych. Były więc tylko dwie drogi dla uniknięcia tego losu, albo tłumna za granicę emigracja lub rozpoczliwe powstanie. Branka, w chwili tak wielkiego rozdrażnienia, sama przez się była jakby wywoływaniem wybuchu, charakter jej czynił ją, jak słusznie wszyscy uznali, bezwstydną proskrypcją. Pomimo

że rekrutowanie w całym państwie i w królestwie miało się odtąd odbywać losowaniem, branka ta z 1863 roku najzupełniej arbitralnemu wyborowi władz zostawioną została. Starano się to bardzo zrećcznie ubarwić, ale nikogo nie oszukały wyrazy cesarskiego rozporządzenia. Pod pozorem, że uregulowanie stosunków właściańskich wymagało oszczędzenia ludności wiejskiej postarano się wyjąć ją z proskrypcji aby nie drażnić i rządowi pozyskać. Co do reszty ludności, wybór z niej poruczono władzom administracyjnym, dając jak najszersze pole dowolności gdyż wszystkie dawne prawa stanowiące wyjątki uchylono.

Rząd więc mógł opierając się na tem rozporządzeniu brać kogo chciał, ile chciał i tych którzy mu się wydawali najmniejbezpieczniejszymi skazać na służbę która w Rosji nie jako zaszczyt ale za karę się uważa. Ukaz ten zwracał szczególniej uwagę na klasy społeczności, które żywszy udział brały w ruchu, na drobnych właścicieli, dzierżawców, officialistów, rzemieślników i w ogóle ludność miejską. Margrabia sądził, że się tym sposobem najłatwiej pozbędzie, jeśli nie samego żywiołu rewolucyjnego, to najdogodniejszych mu narzędzi. Przypuszczano nawet małe zamieszki, wybuch jakiś, ale ogromne siły skupione w kró-

lestwie i przedsięwzięte środki ostrożności, kazały się spodziewać rychłego stłumienia oporu. Nie wszyscy jednak, nawet z tych co otaczali naczelnika rządu cywilnego, dzielili jego złudzenia, prawie powszechnem było przekonanie, że branka wywoła powstanie. Niektórzy, jak margrabia sam, znajdowali je potrzebnem i niemiuniknionem, w Petersburgu przypuszczano, że do niego przyjdzie ale przeszło sto tysięcy wojska, działa, szubienice i kaci zdawało się, że pokonają łatwo ten ruch konwulsyjny.

Na samą wieść o rekrutowaniu ludność miejska widząc się wystawioną na proskrypcję, której możniejsi różnemi środkami uniknąć mogli, poczęła już szemrać widząc w tém zdradę i wystawienie jej na s tych. Dla tych którzy stali u steru ruchu niemiuniknionem się prawie stało iść z nimi, dać się pozabijać, ale w każdym razie los ich dzielić, aby na wieki wiary u ludu nie stracić.

W atrybucjach nowo ustanowionych rad powiatowych, które kraj choć niechętnie przyjął, stało urzędowe wyznaczanie komisarzy do branki. Rady jednomyślnie atrybucji się téj wyrzekły nie chcąc w najmniejszej części należeć do téj ohydnej roboty. Wiedziano już, że sekretne rozkazy wyszłe z kancelarji margrabiego, a ślepo jak

zawsze przyjęte i podpisane przez w. księcia, dobitnie tłómaczyły czém ta branka być miała. Jeden z nich był następującej treści:

„Zważając że osoby którym poruczony być ma wybór rekrutów z list na ten cel przygotowanych, powinny mieć nie tylko zupełną wiadomość o położeniu rekrutów, ze względu na ich stosunki familijne, ale także dokładnie znać postępowanie ich pod względem polityki, gdyż jednym z głównych celów niniejszój rekrutacji jest pozbycie się téj części ludności, która postępowaniem swem miesza spokój publiczny i t. d.“

Wyrażnie zresztą polecono osobom wyznaczonym do utworzenia list proskrypcyjnych aby bez względu ani na stosunek rekrutów do ludności, ani na liczbę jaką stan, który miał dostarczyć, ani na ogólną summę rekrutów pozbyli się wszystkiego tego co rządowi zawadzało.

Cel był jawny, ale oprócz tego zniesienie wszelkiego prawa, wszelkich restrykcji i granic, otwierało wrota jak najzupełniejszój arbitralności, nadużyciom, zemstom osobistym, nienawiściom prywatnym i t. p.

Urzędnicy nie potrzebowali się tłómaczyć dla czego ten lub ów był przez nich na listę wpisany,

dosyc było ich zdania, że w nim widzieli źle myślącego lub niespokojnego człowieka. Margrabia, który innych środków na powstrzymanie nad terroryzm nie widział, który wymagał od księcia Konstantego, aby Jaroszyńskiego powiesić kazał, który i swoim napastnikom nie przebaczył, myślał, że przedziesiątkowawszy Polskę, nad resztą panować będzie jak zechce. Nie rozumiał on aby inne jakiegokolwiek lekarstwo poradzić mogło i stał tak mocno przy swoim, z takim przekonaniem o nieochybności swego pomysłu, że uporem pokonał ludzi którzy równie jak on widzieli trudność położenia nie widząc zeń wyjścia.

Od chwili gdy po kraju rozeszła się wiadomość o grożącej mu brance, położenie stało się nadzwyczaj trudnem.

Nie był oznaczony ani czas, ani środki jakimi rekrutacją wykonać miano. Lud rwał się do broni, której nie było, obawiając aby się nie dostał w szpony moskali. Jednakże ci co kierowali ruchem całym, taką ufnością potrafili natchnąć większość, że się do ostatniej chwili spokojnie zachowała.

Ten pozorny spokój złudził i pana margrabiego i całą jego koterję, zaczynano tryumfować przedwcześnie zacierając ręce, że wszystko pójdzie

jak z płatka i naczelnik rządu cywilnego będzie mógł Najjaśniejszemu Panu tak rzucić Polskę pod stopy jak niegdyś Mikołajowi rzucono Węgry po poddaniu się Görgeja. . . .

Gdy w pałacu Brühlowskim już uplatano wieńce laurowe na czoło zwycięzcy, z drzewek pokonfiskowanych w botanicznym ogrodzie, w mieście praca była ogromna nad powstrzymaniem wybuchu, nad uregulowaniem go, gdyby był nieuchronnym. Wszyscy niestety widzieli, że godzina walki się zbliża, ale rozrachowując siły nikt jej na swą odpowiedzialność brać nie chciał. Do ostatniego momentu wahano się jeszcze jak postąpić. Wszystko co poprzedziło tę chwilę czyniło wybuch nieuchronnym, ale nikt, powiedzieć można, nie gotował go umyślnie, bądź co bądź był on napisany w przeznaczeniu. Jakkolwiek się on ukończy chciały go losy więcej niż ludzie.

Gdy policja pana margrabiego najczynniejszą była w poszukiwaniu niewidzialnych ruchów przewodzców, gdy omackiem chwytało kto się nawinał, sądząc, że zabierają podlegaczy, wszystkie usiłowania ludzi wpływu zmierzały jedynie do tego aby odroczyć wybuch i ludność uspokoić. Tyle w niej było pragnienia boju, choćby miał być najnieszczęśliwszym, że nikt nie potrzebował

zagrzewać do niego, że musiano tylko hamować i łagodzić. Wszyscy ci który się spodziewali, że ich branka dotknąć może, dopominali się gwałtem broni, dowódców, i gotowali się raczej na śmierć, niżby mieli znosić haniebną niewolę. Ostatnie miesiące roku 62 płynęły w złowrogięj ciszy okupionęj niezmierną pracą, niewidoczną ale nieustanną; musiano szkółkami, odczytami, zajmować ludność miejską aby ją oderwać od nieustannie przytomnego celu, od jedynęj jęj myśli — powstania. Pomimo najściślejszych poszukiwań policji na nic ona zdrożnego i zakazanego wpaść nie mogła, nikt nie podburzał, wszyscy starali się uspokajać. —

Świadczą o tém wszystkie druki ówczesne nakłaniające do pracy, usiłujące przekonać lud że sam bierny opór i bezbronne męczeństwo dla sprawy narodowęj mogą być wielką zasługą.

Dni biegły z nadzwyczajną chyżością a jakkolwiek miał być koniec, zawsze bardzo wiele do uczynienia pozostawało.

W ten lud w któren Bóg wlał tak cudowny instynkt, a który od 2 Marca cały jednym jakimś natchnieniem boskiem zdał się być ożywiony, w ten lud, długo pozbawiony wszelkich środków kształcenia się, potrzeba było wpoić wszystko na

co samym instynktem i natchnieniem trafić nie mógł. Na pokój czy wojnę trzeba go było zbroić w tę żelazną wytrwałość której całemu narodowi naszemu aż dotąd tak bardzo brakło. Trzeba było kosztem zapалу wyrobić słałość uczuć na których przyszłość spoczywała. Im bardziej zbliżała się chwila fatalna, tém żywiej u ludu dawała się czuć młodzieńcza niecierpliwość czynu. Wykształceńsi ludzie bawili się w rozumowania i rachuby, lud miał tylko serce którem czuł, i ręce któremi ono władało.

Było więc co robić dla bohaterów naszych, a Jadwiga rzuciła się z niezmiernym zapalem do pracy, wytęskniona za nią. Gdy Emma biegła od cytadeli do szkólek lub z posyłkami przejeżdżała tam i nazad granicę, Jadwiga pilnowała drukarni, trzymała kasę z której musiano zasilać prześladowanych przez rząd, i siedziała prawie ciągle w domu obawiając się zawsze spotkania z którym z dawnych swych znajomych.

Na przechadzki wychodziła wieczorem pieczo, i tak skromnie ubrana, że niktby w niej świetnej niegdyś panny Jadwigi poznać nie mógł. Obawiając się aby znany bardzo w mieście Chochlik jój nie zdradził, panna Jadwiga musiała go zamykać, a biedne psisko w czasie

jēj niebytności siedząc na oknie straszliwie się nudziło.

Nadszedł już Grudzień, ale zima zdawała się zbliżać leniwo, trafiały się jeszcze dnie piękne; po długim siedzeniu nad robotą czuła czasem potrzebę wybiedz w aleje aby się trochę rozruszać.

Jednego poranka wysunęła się tak zamyślona, i nie bardzo zważając na to co się około niej dzieje, znalazła się już za dworcem kolei żelaznej, gdy nagle z zamyślenia wyrwał ją głos znajomy.

— A! być że to może? jakim trafem?...

Słowa te wyszły z ust hr. Alberta, który szedł także pomaleńku na przechadzkę. Z początku chciała udać Jadwiga, że go nie poznaje, ale był tak blisko, że uniknąć go już było nie podobna. Zarumieniła się mocno, ale miała nadto dobre wyobrażenie o ekonomistcie aby się obawiać zdrady z jego strony.

— Na Boga, cóż pani tu robi? Wszyscyśmy sądzili, że oddawna za granicą!

— Jestem za granicą, odpowiedziała Jadwiga podając mu rękę z uśmiechem trochę przymuszonym, to znaczy żeś pan mnie ani widział, ani mówił ze mną.

— Ale ponieważ chodzi mi wielce o opinią pańską, daję mu najuroczystsze słowo, że pobyt mój

w Warszawie tajemny, żadnych osobistych nie miał i nie ma pobudek. Jestem tu bom tu być powinna.

Ostatnie słowo wymówiła z przyciskiem.

— Niech pani będzie pewną, rzekł Albert, iż przyczyn jej pobytu nigdy bym nie szukał tam gdzie one być nie mogą. Nadto panią znam, abym śmiał posądzić; zresztą przyczyn łatwo się bardzo domyślić, dodał smutnie. Obawiam się abyś kiedy nie żałowała pani tych wielkich poświęceń dla pięknych, ale niestety, tylko urojeń...

— Mój hrabio, odpowiedziała Jadwiga, mogłeś się tego nauczyć z całej historii umysłu ludzkiego, że wszelka rzeczywistość w sferze prawdy, wprzódby nim rzeczywistością się stanie jest długo urojeniem, marzeniem, utopją. Napróżno byśmy, zimniej patrząc na świat, zaprzeczać temu chcieli.

— Tak pani, odparł Albert, ale losy pojedynczych narodów, jak los pojedynczych ludzi, to rzecz zupełnie oddzielna. Co dla dziejów ludzkości znaczy ten lub ów naród, losom ogółu wszystko jedno kto wielką prawdę wypiastruje?

— A mnie się zdaje, że nie; zgodzono się na to, że narody mają posłannictwa, że z wiadomością czy bezwiednie spełniać je muszą, do ostatniej życia godziny. —

Albert nic nie odpowiedział, zamyślił się i dał po chwili:

— Mam największy szacunek dla pani tak, że radbym się z nią sprzeczać i nawrócić, ale stojemy od siebie tak bardzo daleko, że wątpię czy byśmy się zrozumieć mogli.

— Ja jestem kobietą, odpowiedziała Jadwiga, więcj czasem wierzę uczuciu niż rozumowaniu, więc nie sprzecajmy się, kochany hrabio, nie myślmy o nawracaniu a daj mi słowo, że nikomu o mnie nie powiesz.

— O! czyż na to słowa potrzeba? żywo rzekł hrabia.

Pani sobie tego życzysz? Ślepo będę posłusznym, więc się z panią i widywać nie można??

— Nie, cicho odrzekła Jadwiga.

— Mój Boże! tyle straconego poświęcenia!

— Mylisz się hrabio, nic w świecie nie ginie, ani pyłek ani proch który wiatr unosi, ani najcichsze ludzkie westchnienie. W sprawach ducha wszyscy tak nawykli nie rachować lub za nic mieć co myśl i serce wydaje, ja jestem pewną, że w tym tak rozumnie urządzonym świecie ani jedno słówko nie uleci marnie.

— W tém to się zgadzam z panią, rzekł

Albert, ale wielu rzeczy my skutków nie widzimy i mamy je za stracone.

— Więc to my tylko mamy, odpowiedziała Jadwiga, i znowu zamilkli.

— Jestżeś pani szczęśliwą? zapytał Albert po chwili.

— O tyle o ile kto dziś nazwać się może szczęśliwym. Przed parą laty każdy z nas myślał tylko o sobie; dziś szczęście ogólne jest dla nas koniecznym warunkiem własnego.

Rozmowa nie szła, Albert czuł się natrętnym a nie mógł jęj pożegnać. Jakieś uczucie prawie litości, uwielbienia razem i podziwu, trzymało go przy niej. Widział ją bezbronną, rzuconą w świat, wiedzioną sercem, które często omylić się może, przeczuwał nieszczęście i choć z natury zimny, bolał nad nią. Im weselszą zdawała mu się twarz Jadwigi tém przykrzejszego na widok jęj doznawał uczucia.

— Ha! rzekł nareszcie, jakkolwiek mi przykro rozstać się z panią nie chcę jęj być natrętnym. Muszę pożegnać.

Ale gdzie i jak, do widzenia?

— Nigdy człowiek tego przewidzieć nie może, dziś, mój hrabio, mniej niż kiedy, idziemy zupełnie różnemi drogami, które gdzie się skrzyżują

Bóg wie jeden. Życzny sobie aby nas wiodły nie do szczęścia ale do prawdy.

Podala mu rękę i tak się rozstali.

Albert długo zadumany patrzył na nią i od dwudziestu lat zapomniany gość, Iza jakaś, niewypłakana resztką młodości, stoczyła mu się na twarz bladą.

Poszedł z tą wprost do kancelarji rady stanu.

W ciągu tych kilku miesięcy w życiu Jadwigi mi było prawie żadnych wypadków i to jedno spotkanie za coś nadzwyczajnego liczyć się mogło; zresztą dnie płynęły szybko, najczęściej w samotném a nie bez niebezpieczeństwa zajęciu. Gdy zadzwoniono do pierwszych drzwi, zawsze wprzód trzeba było wyjrzyć oknem czyto nie żandarmi i policja, w nocy najmniejszy ruch uliczny budził też samą trwogę. Na bardzo skromny obiad przybywała Emma czasem z którą z swych towarzyszek, dopieroż wiadomości sypały się jak z rękawa, bo na tych nigdy pocziwój wszędy bylsi nie zbywało. Wiedziała nawet, co wielki książę pisał, mówił i myślał. Po obiedzie wyla tywała znowu zostawując samą Jadwigę aż do herbaty. Przychodziło czasem parę osób z tego sa-

mego kółka na rozmowę i naradę, która niekiedy trwała do późna. Karol przybywał często, ale choć osamotnienie Jadwigi mogło go czynić swobodniejszym, był teraz może mniej śmiałym i trzymał się z uczuciem na wodzy. Owszem krył je starannie pozorem chłodnym lub roztargnieniem. Wyjątkowych dni parę osób więcej zapraszano na obiad. Niekiedy Jadwiga towarzyszyła panie Emmie w jej dobroczynnych wycieczkach, gdy się poznaną być nie obawiała.

W końcu Grudnia musiano wynieść drukarnią z powodu, że złapano młodego chłopaka, o którego się lękano aby nie wskazał, z kąd brał druki do sprzedaży. Chłopak, mimo że go bez litości ćwiczano, nie pisał ani słowa, ale gdy go nareszcie puścili, najpierw przyszedł się żalić do Jadwigi. Policja śledziła widać jego kroki i téjże nocy około godziny drugiej zadzwoniono do bramy. Panna Emma wyjrzała, dostrzegła żandarmów i policję, miała czas jeszcze pod spód wazonika rzucić swoje notatki i papiery, tak że gdy bramę otwarto i żandarmi weszli dla rewizji, już nie było w domu coby te panie zdradzić mogło. Moskał, który przewodniczył temu obrzędowi miał już dosyć wprawy, bo niemal codziennie się eksercytował. Pokazało się, że panie

miały pasporta jak najregularniejsze, że były mel-dowane w policji i t. d. . . .

Pułkownik nim przystąpił do poszukiwań za-dał kilka pytań dosyć niedyskretnych, na które obojętnie ale jasno mu odpowiadano, gniewać się na niego nie godziło, bo taki służalec nie wart był nawet gniewu.

Jadwiga siadła w krzesło z książką, dozwala-jąc im dom do góry nogami przewrócić. Szczę-ściem dosyć znaczna summa, którą miała w go-tówce była u bankiera. Przystąpiono do naj-szczelniejszej rewizji, popruto poduszki, porozrzy-nano krzesła, zaglądano za obrazy, oddarto w dwóch miejscach podłogę. Szczęśliwy tylko wazonik panny Emmy uszedł jakoś baczności.

W pokoju, w którym znajdowała się drukar-nia teraz było zupełnie pusto, zrzynki nawet pa-pieru pozamiatano i spalono, ale pozostał zapach farby drukarskiej nadto charakterystyczny, aby się na nim nos policjanta nie poznał. Żandarm wahał bardzo długo, przyzywał do pomocy dru-giego jakiegoś znawcę, ciągal nosami i kiwali głowami, bardzo znacząco.

Postanowili oderwać podłogę i pod podłogą pył tylko znaleźli. Wezwana panna Emma dla wytłomaczenia zapachu bardzo naiwnie odpowie-

działa im, że właśnie z powodu téj przykréj woni, którój sobie wytłómaczyć nie umiały, pokój ten stał pustkami.

Gdy to mówiła oko jéj padło na okno, na którem nieostrożnie zostawiono kilka liter drukarskich mogących wydać wszystko. Błyszczały one jasnymi końcami, a patrząc na nie panna Emma aż bladła. Żandarm stał zwrócony do niéj tyłem do okna, policjant użyty do wachania przechadzał się po pokoju. Emma dostrzegła, jak się on za żandarmem przybliżył do okna, zgarnął ręką zręcznie litery, schował je do kieszeni, a patrzącój nań kobiecie pogroził tylko na nosie ruszając ramionami. Pomimo że widoczném było, iż poczciwy faryzeusz wcale o zdradzie nie myślał, panna Emma wyszła ztąd przerażona, a wyraz jéj twarzy dał do zrozumienia Jadwidze, iż się coś złego stać musiało. Dopiero gdy wszystkie kąty obejrzano, przewartowano książki i nuty, przeszukano kufry i składy i gdy nadedniem cała czereda wyszła przepraszając za omyłkę, panna Emma mogła się przed towarzyszką wytłómaczyć ze zmiany fizjognomji.

Litery, jak się okazało, rozsypane były po podłodze a służąca zamiatając, zamiast je wrzucić do pieca, starannie zachowała na oknie. Zda-

wało się, że z łaski uczciwego policjanta kobiety były ocalone, ale niemniej przez cały dzień następny zostawały w trwodze i oczekiwaniu.

Nad wieczorem już gdy Emma wracała do domu, zszedł się z nią u drzwi ów wczorajszy policjant.

— Moje dobre panie, rzekł, gdy go wprowadzono na górę, jak bo jesteście nieostrożne, żeby też izby nie wykadzić a tych nieszczęsnych liter nie sprzątnąć. No żeby był pułkownik spojrział wprzód niż ja? ot dopiero jakieby to lichy było!

Panna Emma chciała mu wytłomaczyć, że te litery nic nie znaczyły, że je tam ktoś dawniej położył i t. p., ale się żołnierz uśmiechnął i machnął ręką!

— Daj bo pani pokój, rzekł, albo to ja jaki zdrajca czy co? czy to ja jak drudzy na wierność ojczyźnie nie przysięgałem? Przyszedłem was tylko ostrzedz, że taki zawsze bezpieczniej mieszkanie porzucić, na kilka dni wyjechać, a potem się do innego przenieść. Już ja to wiem, dodał, jak się kto raz weźmie do takiej roboty, to ona go korci i ciągnie. Panie tam nie wytrzymacie żebyście czego w domu nie miały, a już jak raz była rewizja i zanotowano, zawsze

oni będą podejrzewali. Nawet jakieśmy wyszli pułkownik bardzo głową kiwał i ciągle taki powtarzał. — Nie darmo tam w téj izbie śmierdziało!!

Jadwiga chciała pocziwego policjanta wynadgrodzić, ale się na to bardzo oburzył, iż mu płacono za spełnienie obowiązku; skończyło się tedy na ładnym zegarku, który go Jadwiga przyjąc zmusiła na pamiątkę i na dobrą butelkę wina, którą wyciągnął ze znakomitym talentem. Jakkolwiek uczciwy człowiek, czego dał dowód, widać że do flaszki miał słabość wielką. Przychodził potem często na podobne poczęstowanie, i nie żał go było traktować, bo zawsze jakąś ciekawą wiadomość przyniósł. Przez niego dowiedziały się panie na kilkanaście godzin wprzód o kilku rewizjach, które miano odbywać. Pokazało się później, że Karol znał go bardzo dobrze — i że w istocie żołnierz ten należał do garstki pocziwych Polaków, co ten ohydny mundur i ciężkie obowiązki przyjąc musieli, aby najniebezpieczniejszem z poświęceń służyć ojczyźnie.

Zginął on później biedny ofiarą denuncjacji, rozstrzelany na stoku cytadeli.

Pierwszych dni Stycznia 1863 r. pogłoski o zbliżającej się brance, nabierały coraz prawdopodobieństwa, zdawało się zrazu że rząd w skutek przestroóg i przedstawień doświadczeńszych ludzi, odłożyć ją lub powstrzymać zechce, lecz Margrabia stał przy swoim i nalegał, ręcząc za skuteczność tego środka. Straszliwe było oczekiwanie téj chwili, listy proskrypcyjne tajemniczo się układały, starszy syn Margrabiego miał nad nimi nadzór główny, wpisywano w nie wszystkich którzy się z bliska lub z daleka dali poznać w ciągu wypadków, jako gorliwsi Polacy. A że nie obraniało ani ożenienie, ani jedynactwo, ani sieroctwo, nikt nie mógł być pewien że nie zostanie żołdatem. Ludzie wpływu starali się w téj ostatniej chwili utrzymać zrozpaczonych w spokoju i wlać w nich rezygnację. Potrzeba było nadzwyczajnych wysiłków aby się to udać mogło,

wszysey oczekiwali rychło ten piorun uderzy. Z dnia na dzień, z nocy na noc, odkładano brankę, przygotowując listy i starając się na razie zapobiedz wzburzeniu.

Nakoniec z dnia 14 na 15 Stycznia w nocy wojska zaległy ulice, obsaczono domy i zaczął się ten gwałt niecný. Żołnierze wchodzili do domów, brano kogo znaleziono, brata za brata, ojca za syna, wyciągano z łózek, przetrząsano mieszkania, i nikt prawie od tego ciemństwa się nie bronił. W kilku zaledwie miejscach przyszło do starć, ran, a nawet zabójstw ze strony żołnierzy, którzy mieli widać wydane rozkazy jak najsurowsze. Noc pokryła tę scenę przemocy dzikięj nad bezbronnym narodem, ale pamięć jęj ciężyc będzie wiecznie na imieniu tego człowieka który takich środków potrzebował aby Polskę opanować i ujarzmić. Nazajutrz rano nic się nie zmieniło w życiu stolicy, kobiety zapłakane biegły tylko ku ratuszowi, gdzie tymczasowo pobranych osadzono.

W mieście panował spokój i nic nie zapowiadało groźnego wybuchu. Ukazały się nawet wkrótce plakaty w formie odezwy do tych których los za ofiarę wyznaczył, zachęcano w nich do rezygnacji, zapewniając że kraj cały weźmie

w opiekę ich rodziny, przedstawiając apostołowanie między wrogami, jako cel przyszły ich poświęcenia.

Po nocnej brance, która w pierwszej chwili tak zdawała się szczęśliwie poprowadzoną, że naczelnik cywilny już się zwycięzko uśmiechał, reszta operacji, powoływanie wyznaczonych do wojska a dotąd kryjących się, łapania po domach, cząstkowe napady, zajęły dni kilka. W Brühlowskiim palacu winszowano sobie powodzenia, a tryumfujący Mentor uznał za właściwe popelniewszy bezkarnie ten gwałt, dodać do niego rzucone w oczy narodowi drażniące go szyderstwo. Czy to że mu zausznicy usłuźni tak rzeczy odmalowali, czy że przed Petersburgiem i sceptykami chciał się pochwalić, dnia 19go Stycznia Margrabia kazał w Dzienniku wydrukować ten sławny artykuł, który uważać było można lub za niepoczeiwą obelgę rzuconą w twarz bezsilnym, lub za prowokację do rewolucji.

Jeśli branka nad podziw przeszła spokojnie, artykuł ten niesłychanie zrobił wrażenie, Margrabia wychwalał się w nim, że operację odbył nader szczęśliwie, że pobrani do wojska cieszyli się iż mieli służyć Najjaśniejszemu Panu, że byli w najlepszym humorze i narzekali na stronnictwo bezrządu!!

Wrażenie artykułu tego było przynajmniej tak wielkie, jak pokrewnego mu arcydzieła o cylindrach, była to iskra rzucona w prochy. Wieczorem miasto całe drżało oburzeniem, niepodobienstwem już było powstrzymać rewolucją, kilka dni jeszcze brakło do końca Stycznia, mieliśmy jeszcze kilka miesięcy zimy do przetrwania, nie było broni, pieniędzy, planu, ci sami co zgodzili się na nieuchronne już powstanie, opiekę nad nim Bogu i losom powierzyć musieli.

Dnia 20 Stycznia, dwie nasze panie siedziały pogrążone w myślach na nowem swem mieszkaniu na Lesznie, gdy wszedł Karol blady, pomięszany i pomimo męztwa które go nigdy nie opuszczało, widocznie uciśnięty na duszy.

Jadwiga ujrawszy go poznała i przeczuła że cierpi boleścią wielu, podała mu rękę. ścisnęła ją w milczeniu i nie śmiała nawet o nic zapytać. On siedział jakby zdrętwiały od silnego wrażenia, oczy miał pełne łez, a ręka konwulsyjnie targała włosy.

— No, mów pan, mów, rzekła Emma, wszak dla nas sekretów nie ma, co się dzieje?

Karol wskazał ręką na okno przez które widać było w szarą pomroce polatujące płatki śniegu, pędzone wichrem północnym.

— Wracam, rzekł, ze zgromadzenia pocziwój naszej czeladzi, kość rzucona, jutro i następnych dni wychodziemy w lasy, a połowa tych ludzi na tę porę na którą psa wygnać trudno, idzie bez grosza, bez odzieży, bez jadła, bez kija w ręku nawet, na prawie pewną zagubę!

Westchnął.

— Ha! dodał, nie może być inaczej, dobrze ktoś z nas powiedział: „z kijami na bagnety, z bagnetami na działa.“ Czego nam brakuje zastąpi męstwo i poświęcenie bez granic. Żaden z nas nie boleje nad sobą, ale patrząc na zapal tego ludu, na tego cudownego ducha który zeń tryska, chciałby mu dać do czego każdy żołnierz ma prawo, choć broń w rękę... Nie mówmy o tém lepiej, dodał, a co przyszłość wyrzeczemy przyjmujemy z pokorą. Jutro, rzekł, rozpoczyna się powoli wychodzenie do lasu, jutro po kościołach zobaczycie panie, mnóstwo młodzieży spowiadających się na drogę, a za dni kilka i krew się już pewnie lać będzie — krew! powtórzył kilka razy — krew! rozleje się jój dużo, ale to będzie deszcz który nasze pola na przyszłe urodzaje użyźni.

— Kochany panie Karolu, odparła Jadwiga, niespodziewałam się abyś na tę wielką chwilę tak

jakoś smutno poglądał. Powinnibyśmy jedni drugim dodawać serca i męztwa.

— Tak, to prawda, odpowiedział zapytany, ale się czasem oprzeć nie można jakiemuś boleśnemu wrażeniu. Gdybyś pani jak ja była przytomną téj scenie, gdybyś widziała tych ludzi z których większa część jutro porzuca żony, dzieci lub starych i niedołężnych rodziców, możebyś doznała także tego ucisku serca który mną na chwilę ośwładnął, a w ostatku, dodał ciszej, może w tem jest troszkę brzydkiego egoizmu, boim przyszedł panią pożegnać.

— Jakto pożegnać? spytała Jadwiga.

— Przecież, nie sądzisz pani aby, gdy ci ludzie wychodzą, jam mógł pozostać?

— Więc pan.....

Niedokończyła i błędniejąc zbliżyła się ku niemu.

— Jest że to koniecznem? spytała.

— Nieodzownie, jutro w lasach zaczynają się gromadzić wychodźcy z miasta. Mało przygotowań dało się uczynić, musimy być z nimi, aby im dodawać męztwa, kierować, a w potrzebie ginąć razem.

Jakkolwiek boleśnie dotknięta tém niespodzianem oznajmieniem, Jadwiga mówić nie śmiała,

pojmując że się nie godziło hamować, gdy szło o spełnienie najświętszego obowiązku, siadła zamysłona i nie rychło spytała słabym głosem.

— Więc kiedyż?

— Ja, zapewne pozajutro, rzekł Karol, młodzień sypie się cała, wszystkimi drogami w nagle jeszcze lasy, zapal niesłychany. gdyby przynajmniej uformować się nam dano, skupić trochę, nabrać siły.

— Ale mnie się zdaje, przerwała Jadwiga, że moskale o wszystkim już wiedzieć muszą, przedsięwzięli środki i samo nawet wychodzenie z Warszawy utrudnią.

— W tem się pani mylisz, rzekł Karol, nie wiem czemu to przypisać czy lekceważeniu, czy podstępowi, czy głupocie, czy zarozumiałości, ale wiemy z pewnością że rząd nic nie przedsięwzię, że roгатki są otwarte, że albo nie wierzą w powstanie, albo sądzą iż je natychmiast zgniotą. Bądź co bądź trzeba z téj chwili korzystać.

Rozmowa nie trwała długo, gdyż Karol od początku trzymał czapkę w ręku i kręcił się niespokojny.

Jadwiga była milcząca, posępna, a gdy przyszło do pożegnania, powiedziała mu tylko: Do widzenia.

Już był w progu gdy go zatrzymała pytaniem.

— W którą pan pojedziesz stronę? wszak wiedzieć mogę?

— Ale ja sam nie wiem jeszcze! odpowiedział Karol.

— Przecież, gdy wiedzieć pan będziesz przyslij mi oznajmić, bo i innie wiadomość ta potrzebna, abym choć myślą pogoniła za wami.

— Wbiegnę jeszcze jutro, rzekł Karol, żegnając ją.

Spojrzeli na siebie z wyrazem niepokoju i czułości.

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, Jadzia przyszła Emmę pocałować w czoło i szepnęła jój cicho.

— Słuchaj, nic nie mów, nie sprzeciwiaj się, nie nudź, rzecz jest postanowiona, ja jadę.

— Jak? dokąd? po co?

— A! no, tam gdzie wszyscy! odpowiedziała spokojnie Jadwiga. Powstanie się zbiera, będą obozy, znajdą się chorzy i ranni, potrzebne jest staranie kobiece, może się zda posłaniec w czepeczku, gdy innego wyprawić nie będzie można, ja tam być powinnam, przygotowuję się, wybieram, jadę.

— Na miłość bożą, odezwala się Emma, przynajmniej w tej chwili ja ciebie nie puszcę, to być nie może, nie pozwolimy ci.

— Jeżeli mi nie pozwolicie? odpowiedziała Jadwiga z uśmiechem, smutno mi będzie, ale pójdę bez pozwolenia.

Ostatnie wyrazy wymówiła tak stanowczo, iż towarzyszka jej poznała że walczyć z nią byłoby próżno. Ile razy w ten sposób odzywała się, powstrzymać jej nikt nie mógł. Niespokojna w najwyższym stopniu Emma, szukała tylko sposobu jakby zwlec, a że się dawno domyślała uczuć Jadwigi dla Karola, postanowiła po cichu użyć jego wpływu, aby ją od tego powstrzymać.

Herbata przeszła w milczeniu. Jadwiga wielkimi krokami przechadzała się po salonie, Emma wzdychała, a w głowie szukała jakiegoś pozoru aby wybiedz z domu zobaczyć się z Karolem i z nim wejść w spisek przeciwko Jadwidze.

Łatwo jej to przyszło wykonać, bo chwili nie zwlekając mężna owa istota, stojąc przy raz powziętej myśli, natychmiast zaczęła się gotować do jej wykonania. Siadła do listów i rachunków, a Emma pod pozorem interesu który sobie przypomniała chwyciwszy szal i salopę, porwała do różkę i puściła się w miasto. Z gorącym sercem

a roztargnień pełną głową, dopiero gdy dorożkarz spytał gdzie ma jechać, panna Emma przypomniała sobie iż nie wiedziała gdzie Karola lub Młota szukać trzeba była: jedno tylko miejsce w którym się schodzili przyszło jej na myśl, tam jechać kazała.

Wdrapawszy się na trzecie piętro, nie bez kilku sińców na wschodach otrzymanych, Emma zapukała do drzwi, ale po kilkakrotnie powtórzyć musiała i pukanie i wołanie, nim jej otworzono. Drzwi uchyliły się na wpół, nieznana jakaś głowa wyjrzała niemi i głos obcy o coś niezrozumiale zapytał.

Niecierpliwa Emma która czuła się w prawie wchodzenia wszędzie, całą siłą odparła drzwi, popchnęła nieznajomego jegomości i narobiła w przedpokoju takiego hałasu, że ją po głosie nareszcie poznano, Wyszedł Młot zdziwiony i przestraszony tém zjawiskiem.

— Na miłego Boga, zawołał, co pani tu robisz?

— Przecież widzisz, że was szturniem brać muszę, tchórze jacyś! pozamykali się, wartowników ponastawiali i jak wielcy panowie każą się sobie meldować...

— Chodź pani, chodź, rzekł Młot, ale cóż się tam stało? czy co złego?

— Poczekajcież aż odetchnę.

To mówiąc Emma weszła do pokoju w którym ciemno było od dynu. Ze sześciu mężczyzn w rozmaitych dosyć zaniedbanych strojach, zaskoczeni niespodziewanemi odwiedzinami kobiety, cofnęli się w głąb, więcej może zmięszani niż Emma nieładem kawalerskiego mieszkania. Pierwszy raz w życiu pocziwa siostra miłosierdzia zajrzała do podobnego mieszkania; chciała usiąść na kanapie ale natrafiła na parę ogromnych butów. a posunawszy się dalej siadła na rewolwerze z którego porwawszy się, już widząc że miejsca nie znajdzie, pochwyciła za krzesło, z krzesła posypały się kule gradem po podłodze . . .

— Czy tu u was nie ma gdzie usiąść? zapytała.

Młot śmiejąc się przyniósł jej jedno wolne krzeselko na którem dopiero odetchnęła.

— Jest pan Karol, spytała, bo za dynem nikogo nie widzę?

— Stoję przy pani, odezwał się głos z tyłu.

Nie byłaby go poznała, bo miał w tej chwili siwe bakenbardy i perukę.

— Co pani rozkaże?

— Chodź no, to ci coś powiem.

Przybliżył się, a Emma szepnęła mu do ucha:

— Wiesz, wiesz, wszak Jadwiga zawarjowała, wybiera się z wani do powstania na markietankę czy co? Złitujcież się, wyperswadujcie jej to, wybijcie z głowy szaleństwo, bo, przysięgam Bogu, jak mówi tak zrobi.

— Ale to być nie może! rzekł Karol.

— A ja ci mówię, że jest.

Młot który słuchał z boku, podniósł ręce do góry z krzykiem.

— To mi dopiero kobieta! to mi bohaterka! klękać przed nią!!

— Milczałbyś odpowiedziała Emma, nikomu nie z tego nie przyjdzie jak biedne dziewczysko zginie.

— Droga pani, odparł Młot, ojczyzna nieczyjej ofiary nie odrzuca; jakbyśmy wszyscy zaczęli sobie tak tłumaczyć, że się na niewiele przydamy niktby nie poszedł i kwita.

— Ale na miłego Boga, na cóż ona się tam przyda?

— Zważ tylko pani, odparł Młot, gdyby nie więcej nie robiła tylko stanęła patrzeć jak my się bić będziemy, to już z chęci popisu przed tak piękną panną każdy by musiał wściekle się z Moskalem borukać.

— Eh, bałamut jesteś, rzekła Emma. dając mu klapsa po rękach, tu nie pora żartować.

— No, to mówmy serjo, przerwał Młot, kto ma męztwo i ducha, mężczyzna czy kobieta powinien iść, bo go wlewać będzie w drugich, bo zastygłe serca rozgrzeje, bo swoją odwagą doda męztwa. Niema dla nas nikogo nie potrzebnego, komu serce bije niech idzie, niech będą tłumy, niech będą tysiące, krocie, nigdy nadto...

Emma odwróciła się do Karola.

— A pan, co na to?

— Ja, rzekł Karol, dotąd nie znajduję abyście nam panie mogły być potrzebne. Wolałbym ażeby panna Jadwiga została tu gdzie będzie bardzo wiele do czynienia, gdzie może wkrótce mężczyźni staną, a praca wyprawiania ludzi, zbierania funduszków, przesyłania wiadomości, zostanie na was, panie moje.

— O ten to z sensem mówi, rzekła Emma, i więcej nie proszę tylko, żebyś to Jadwidze jutro powtórzył.

— Powiem, odezwał się Karol, ale czy to ją powstrzyma, nie wiem, może mi odpowiedzieć, że inne zostaną, które spełnią te obowiązki.

Emma ręką machnęła, kiwnęła głową i dodała:

— Zrobiłam com była powinna, przyleciałam z raportem jak warjotka, doniosłam co się święci, a jak się co złego stanie, umywam ręce.

— Niech się pani nie boi, rzekł Młot, żart na stronę; zacna panna Jadwiga nadto tu jest potrzebną, żebyśmy ją z miasta wypuścić mieli.

— A nadto jest upartą żeby w mieście chciała zostać, przerwała Emma. Trzeba użyć bardzo gwałtownych środków, dać jej zajęcie, przykuć ją tu, bo inaczej uciecze, ja wam powiadam. Teraz zaś, dodała zbierając spadającą i osuniętą salopę, poświęćcie mi na schody, bo idąc na górę natłukłam sobie guzów, a wracając na dół niezawodnie kark skręczę.

Karol wziął świecę ze stołu i pospieszył za nią; rada była że w sieniach się jeszcze sam na sam z nim rozmówić mogła, nalegając gorąco, aby całego swego wpływu użył do powstrzymania Jadwigi od tego kroku mogącego mieć następstwa bardzo smutne. Widziała po Karolu, że wiadomość ta dziwne jakieś i przykre na nim zrobiła wrażenie, zeszła więc spokojniejsza i powróciła do domu prawie pewną, że Jadwigę potrafi, z pomocą Karola, przekonać.

Nazajutrz przyszedł z rana wezwany adwokat i udając, że nie wie o postanowieniu Ja-

dwigi, poczał od tego, że jęj tłómaczył jak wielkie i ważne obowiązki spadają na nią, teraz gdy miasto się powoli wyludni a tyle w nim zostanie do czynienia.

— Panie Karolu, przerwała mu nieśmiało, zdaje mi się, że zacna i poczeiwa Emma lepićj odemnie potrafi sobie dać z tem radę, ja zaś... być może... nie wiem... mogłabym wyjechać.

— Czy by pani interesa wymagały tego?

— Ale nie, jednakże nie jestem pewna, czy się mogę podjąć...

— Niezmiernie szacuję pannę Emmę, ale ona już ma tak wiele do czynienia, że więcćj trudno jest jęj narzucać. Gdyby pani nie nie przeszkadzało, potrzeba by koniecznie zostać na miejscu i wziąć na siebie ten ciężar.

Jadwiga w jednęj chwili domyśliła się spisku.

— Szczerze bądźmy z sobą, rzekła, pan mnie posądzasz, nie prawdaż? że chcę wyjechać z miasta. Musielście się z Emmą naradzić, radbyś mnie powstrzymać; więc powiem panu stanowczo: gdy się tylko rozpocznie powstanie, gdy będą ranni potrzebujący usługi, postanowiłam i dotrzymam tego, że do obozu pojadę; żadna siła ludzka nie powstrzyma mnie od spełnienia tego, co za obowiązek uważam. Nie chcę jak panna Plater

siąść na koni choć dobrze konno jeżdżę, wiem że ręka kobiety słaba, a pomoc z niej nie wielka; ale jej miejsce u łoża chorych, u wezglowia umierających razem z lekarzem i kapłanem. Wiem, że wielką można przynieść pociechę tą kroplą poświęcenia, bo już ciż nas za to moskale na Sybir nie wygnają?

Myliła się w tem, gdyż za mniejsze daleko winy, za najlżejszą oznakę współczucia pędzili i pędzą w syberyjskie stepy, okute... odarte, na łasce żołdaków piętnastoletnie dziewczęta. Neron chyba mógł się targnąć na coś podobnego!

— Tak pani święcie mówisz, rzekł Karol, iż na zabicie jej nie znajdę argumentów. Zgoda więc, ale pozwól, abyśmy my byli sędziami, kiedy pociecha i pomoc od was będzie istotnie potrzebną. Nie będę pani wstrzymywał, ale proszę byś sama zaczekała póki cię wiadomości z pola bitwy nie powołają ku nam. Chcesz pani być tam razem z nami? niech się stanie jej wola; nie spiesz się tylko, bo zawsze czas będzie przyjść z dłonią liściową w pomoc biedakom.

Enma szpiegowała za drzwiami i z kwaśną miną weszła do pokoju.

Jadwiga uściśnęła ją w milczeniu, zrozumiały się obie.

— Lepiej byś zrobiła, rzekła Emmie, gdybyś się razem ze mną wzięła do szarpi; ale co z tobą gadać, byłabyś święta, gdybyś nie była jak kozioł uparta.

Jeszcze chwila a już Karol miał odejść i téj nocy może odjechać. Oba serca drżały tym niepokojem rozstania, który najczęściej otwiera długo zamknięte usta; ale i on i ona czuli, że o sobie mówić nie mogli w obec tych strasznych wypadków, które burzą groźną wisiały nad ich głowami.

Cicho szepnęli — do widzenia, uścisnęły się ich dłonie, pobiegły oczy, szukając jeszcze tego co już znikło, a gdy za nim zamknęła się brama, Jadwiga z długo wstrzymywanemi łzami rzuciła się na kanapę.

Emma porwała się ratować i orzeźwiać, odsunęła ją z lekka i rzekła cicho: daj mi się wypłakać!!

Po ucieczce Karola z więzienia dwaj żołnierze, którzy mu do niej dopomagali, nie zaraz wydobyć się mogli z cytadeli. Nadzwyczaj ściśle badanie zarządzone natychmiast podało w podejrzenie Tomaszka, który zdołał uniknąć. Nikifor dopiero w tydzień później wydobył się i został do Prus wywieziony. Jadwiga chcąc bezpieczniej osadzić Tomaszka zakupiła dla niego grunt we wsi krewnych swoich pod Żółkwią, ale biedny chłopiec wydobywszy się na wolność nim się do Galicji skierował, wyprosił sobie pozwolenie odwiedzenia rodzinnej wioski pod Płockiem. Na próżno starano się mu wmówić, że podróż ta była dlań dosyć niebezpieczną, że go tam mogli poznać i wydać przez nieostrożność samą. Tomaszek całując po rękach błagał; prosił, aby mógł pójść na grób ojca i matki, których już więcej nie spodziewał się odwiedzić, przyrzekał zachować

wać się ostrożnie, a pragnienie jego zwiedzenia stron rodzinnych, tak było serdeczne i gorące, że odmówić mu, stawało się niepodobieństwem. Postarano się więc, przebranego jak było można najlepiej, aby nie był poznany, wyprawić na wieś. Na dni kilka Tomaszek pojechał, zabawił dłużej niż przyrzekł, a wrócił rozmarzony dziwnie i rozkochany w swojej ziemi. Gdy przyszło jechać do Galicji, chociaż mu tu groziło wielkie niebezpieczeństwo, bo go lada spotkany żołnierz mógł jako deztertera pochwycić, wyprosił się, żeby zostać w Warszawie.

Nie wiem czy współnictwo losu czy węzeł jakiegś tajemnej sympatji przywiązał go do Karola, wprosił się do niego na mieszkanie, posługiwał mu, we dnie się chował, wieczorami wychodził śmielej, a że zatrzymał mundur i cały swój rynsztunek wojskowy, bardzo bywał użyteczny do posylek i przenoszenia papierów, które na innym pochwycione by być mogły.

Naprawdę Jadwiga starała się go przekonać, że na Rusi dobrze mu być może, iż go tam czeka chata, ogród i grunt dziedziczny; Tomaszek podróż odwlekał, a wreszcie przebąkiwać zaczął, że jeśli by się ludzie ruszyli swoje wojsko formować, i ónby poszedł z niemi. Nikt mu téj myśli

nie poddał, sam jakoś do niej przyszedł; a że mógł być bardzo użytecznym jako żołnierz, na wierność zaś jego rachować było można całkowiec, pozostał więc przy Karolu i tak się ze swém położeniem oswoił iż się już w końcu przestał prawie obawiać, aby go nie pochwycono.

Nie mu nie mówiono o zamiarze wyjazdu Karola, ale z przygotowań łatwo się go domyślił. Młody człowiek ukrywał się naówczas w małym domku przy ulicy Ogrodowej, zajmował dość niewygodne mieszkanie na piąterku, które miało to tylko za sobą, że w razie niebezpieczeństwa drugimi drzwiczkami można się było z niego wymknąć na strych a przez strychy aż do czwartego domu i w ogrody.

Izdebka dosyć zimna, wiejąca, ciasna, tuliła wszakże przez parę miesięcy biednego zbiega, który już był do niej przywykł i teraz gdy się mu z nią rozstawać przyszło, smutném ją zegnał okiem. W tym samym domu na dole u kowala, któremu czasem w robocie pomagał, mieszkał Tomaszek.

Właśnie wieczorem zeszło się kilku nłodzięzy do Karola, który miał wyjeżdżać o świcie, i jeszcze go powstrzymać chcieli przynajmniej na dni kilka, gdy drzwi skrzypnęły i Tomaszek po cy-

wilnemu ubrany, trochę od węgla czarny, pokazał się w progu. Zwykł się on był oznajmywać chrząkaniem i tą razą zakaszłał, aby swą przytomność objawić. Karol podszedł ku niemu domyślając się interesu.

— Co chcesz, mój kochany? zapytał.

— A cóż, proszę pana, odparł Tomaszek, i zatrzymał się nagle przerywając pytaniem cichem.
— Czy to wszystko swoi? proszę pana, można mówić?

— Mów otwarcie.

— Bo ja widzę, kończył Tomasz, że się pan wybióra w drogę, cóż ja tu sam będę robił?

— A cóż myślicie?

— Myślę, że najlepiej by było jakby mnie pan ze sobą zabrał.

Mnie tu zostać nie potém, do téj Galiej, czy tam jak, jakoś się nie chce, tu się coś na wojaczkę zbiera, toby człek z drugimi poszedł ginąć. Już to proszę pana, dodał skłaniając się do nóg, ja z panem choéby do śmierci zostanę.

Spójrzał mu w oczy, a znać było z wejrzenia, że się niepokoi czy ofiara jego zostanie przyjętą.

Karol zaczął go serdecznie ścisnąć.

— Jeżeli ci tak serce mówi, rzekł i jam nie

od tego, ale mój Tomaszu pamiętajcie, że to nie przelewki, zwłaszcza tobie. Gdybyś się dostał w ręce moskiewskie, doszliby ześ dezterter i kula by nie minęła — Tomaszek westchnął.

— A cóż proszę wielmożnego pana, ono to się wie, że moskale nie pardonują, ale cóż na świecie lepszego robić? Nie mam ci nikogo, ani ojca ani matki, ani z pozwoleniem kobiety, ani dziecka ani żywego ducha, człek jak palec sierota, ano mu raz umierać, więc co ma lepszego robić? Czy pan myśli, że oni mnie się w skórę nie nabili te moskaliska? Toć jakby im człek oddał po trosze, lżej by się zrobiło na sercu. Kiedy panisko idziecie to i ja.

Karol niezmiernie był rad z tego postanowienia ale Tomaszek szczęśliwszy jeszcze może, że go przyjęto.

— Choćby ten moskiewski język, którego się po trosze wyuczuło teraz się nam przyda, a na wszelki wypadek i mundur téż zabrać można.

— Ale jak cię z nim złapią?

— Jak złapią, proszę wielmożnego pana, to czy z nim czy bez niego wszystko jedno. A kiedyś wyruszamy?

— Jak dzień, rzekł Karol.

— A kim ja proszę pana będę? spytał Tomaszek.

Rozśmiali się wszyscy, słysząc to pytanie, i przypominając sobie ile to razy każdy z nich musiał być nie sobą, ale kimś tam innym. Pomyślano więc o pasporcie dla Tomaszka o której w istocie w téj chwili było trudno. Gdyby szło tylko o przejście rogatek mundur by je był ułatwił, ale na wszystkich już drogach patrolowali kozacy, chwytając przejeżdżających i potrzebując od nich świadectw, należało więc dla Tomaszka dostać jakiegokolwiek, aby się w ręce moskali nie popadł nim by na oznaczonej punkt zborny nie doszli. Noc pozostawała na wyszukanie świadectwa wójta gminy. Karol miał także podobne i udawał obywatela powracającego w Podlaskie.

W téj chwili wychodzenie z Warszawy zaledwie się rozpoczynało. Wypuszczano na rogatkach łatwo chcąc później znudzonych wychodzców na gorącym uczynku w lasach i po drogach polapać. Kupki pierwsze zbiegów z Warszawy źle odzianych, prawie niezbrojnych, bez pewnego planu co z sobą począć miały, gromadziły się w lasach najbliższych, a przewodzczy sami nie wiedzieli jeszcze jak pokierować uienii; czuli tylko, że los ich podzielać byli powinni. Styczeń w tym roku, jak cała prawie zima, był dosyć łagodny, nie mieliśmy zbyt mrozów, ani śniegów, ale

były sloty, deszcze, wilgoć, mgły, które dla ludzi wystawionych ciągle na nie przykro się czuć dawały. Dodajmy, że większa część zbiegów wyszła pośpiesznie nie mając ani obóvia ani stosownego okrycia, trzeba było pośpieszać z obmyśleniem schronienia dla nich, przeżywienia nawet a nadewszystko broni, bo w razie napadu, kijmi się tylko moskalom zasłaniać mogli. Dla tego i Karol niespokojny o los ich spieszył, jeśli nie ze środkami, których brabło, to ażeby im dodać męztwa i wytrwałości. Cała noc zeszła na ciężkich naradach i przewidywaniach przyszłości.

Pomimo najgorętszych pragnień, mało kto rokować mógł takie trwanie powstaniu, jakie mu poświęcenie wszystkich nadało, szło się z uczuciem obowiązku a nadzieją nie wielką, opieka Boża miała dokonać reszty.

Młot i dwóch innych towarzyszków Karola dotrwali z nim do rana. Przededniem przyniesiono i świadectwo dla Tomaszka, zaszła bryczka pocztowa, trzeba się było żegnać i puścić na łaskę i nielaskę losu. Karol był swobodnój myśli ale nie przesadzał w nadziejach, gotów był na wszystko.

Dzień szarzał gdy siedli na bryczkę i popustych ulicach, zagrzmiała pocztarska trąbka, Ka-

rol czuł jeszcze ciepły ucisk dłoni towarzyszków on pierwszy z nich spieszył na plac boju, a widok tego spokojnego miasta, które opuszczał, miejsc pełnych wspomnień i groźby niepewnej przyszłości, tęskno pierś mu uciskały. Nie wiedział czy tu kiedy jeszcze powróci, czy tych ludzi i te stare znane sobie mury zobaczy. Ranek był smutny, miasto jakby wyludnione, w kościołach tylko ranne cicho brzmiały dzwonki; znaczna część stolicy usypiała tym ciężkim snem poranku z którego się przebudzić tak trudno. Na rogatkach wszakże gorzała już świeczka łojowa i urzędnicy, rozgrzani parą kieliszkami kninkówki, siedzieli za stołem sprawdzając pasporta podróżnych; Karol, bojąc się wysłać Tomaszka, aby go mowa lub układ żołnierski nie zdradziły, poszedł sam ze świadectwami.

Siedział już tam i żandarm mający spis osób zapewne podejrzanych, ale śmiała postawa młodego człowieka, świadectwo wystarczające, wreszcie powierzchowność jego wszelkie podejrzenia uchylily. Podniesiono rogatkę i dwaj podróżni potoczyli się drogą ku Miłośnój. Krążące patrole miały jeszcze na ówczas poszanowanie dla poczty i jadących nią osób, nie zaczepiono więc ich nawet, i w krótkce na stacji stanęli. Tu już Karol

musiał wziąć konie, na bok zjechać z traktu i dostawszy się do wskazanej mu wioski ubocznemi z niej drogami szukać ukrytych w lasach dzieci Warszawy.

Na poczcie nie chciało mu dać koni, potrzeba więc było szukać we wsi, przenieść się do austrii i czekać, aż by ich dostarczono.

Była to chwila dosyć dla podróżnych ciężka do przebycia; traktem przejeżdżało mnóstwo wojskowych, kręcili się ludzie podejrzani, uwijali się kozacy, bądź co bądź należało za jakąkolwiek cenę, dostać koni, aby się z tąd wydobyć. Przepłacając zaś je i nie targując jak należy, zwrócić można było podejrzenie w chwili, gdy za nikogo zaręczyć nikt nie mógł.

Tomaszek dostrzegł kilku żołnierzy znajomych i musiał się skryć w karczmie, aby go nie zobaczyli. Karol więc sam chodził po konie i to go naraziło na wcale nieporozumienie spotkanie.

W chwili, gdy do izby karczemnej powracał, zetknął się w progu z oficerem polakiem, który w początku po uwięzieniu jego, jakiś czas był na straży w cytadeli. Z tego powodu obchodził razem z innemi cele więźniów, a gdy byli sam na sam, parę się razy do Karola przyjaźnie odezwał. Nadto mu się w pamięć wraziła fizjognomja

więźnia, żeby jej teraz nie poznał, widocznie uderzony nią zatrzymał się, na twarzy jego odmalaowało się zdziwienie, po ustach przeleciał uśmiech. Karol udawał że go nie poznaje, przeszli mimo siebie parę razy. aż oficer przystąpił do podróznego.

— Czy mi się zdaje, rzekł językiem ruseznaną połamanym, czy pan jesteś numer czternasty?

Karol bystro mu spojrzał w oczy.

— Nie rozumiem, rzekł, ale gdyby tak było?

— Gdyby tak było? odparł oficer, życzyłbym panu z serca szczęśliwój podróży. A choć się nie znany, możebyś i pan powinien odwdzińczyć mi podobnem życzeniem, bo widzi pan i ja nie po służbie jadę, ale także no, do domu. . . .

— Daleko? spytał Karol.

— Ha! na Białoruś, odpowiedział oficer.

— To pan jesteś Atanazy? zapytał Karol po cichu.

— A tak. Nie widzieliśmy się w Warszawie, rzekł wesoło, a ot przyszło się nam spotkać na drodze, więc pan już wiesz z czem jadę?

— Wiem, rzekł Karol.

— Nie mamy się więc, wesoło przerwał oficer, czego siebie lękać —

I podali sobie ręce.

~~Suby~~ — Co Bóg da to da, dorzucił po chwili, ~~wszystek~~ kraj, co składał dawną Polskę da znak życia. Nie odegnęła, spodziewam się, żadna część jego, nie przyjdzie nam może łatwo, ani targnąć kajdanami, ani je rozkruszyć, ale szarpniemy je. W chwili téj nie ja jeden biegnę do domu, aby tam święte obowiązki przypomnieć. Na Wołyń, Podole, Ukrainę, na Litwę, Białoruś, Inflanty, pospieszyły wierne dzieci, aby i ztamtąd ozwał się echem głos wtórujący waszemu. Nie bójcie się, nie może zrobić nie potrafimy, ale jak niegdyś Bolesław bił żelazne słupy na granicach Polski, tak my je szubienicami naszymi i krwią poznamy. . . Garstka nas tam może będzie, ale wierna obowiązkowi. . .

Szarpnął na sobie mundur.

— Radbym tę liberję niewolniczą co najprędzej zrzucić, ale ona mnie broni i osłania od napaści, muszę ją dźwigać, abym się cały na miejsce dostał.

Widok tego człowieka głębokie na Karolu uczynił wrażenie. Byli już jak bracia i gdy się rozstać przyszło nie wiedząc, spotkają li się gdzie na ziemi, obu im oczy się zwilżyły.

Oficer czekał jeszcze na konie gdy furka Karola zaszła, a trzeba było z niej skorzystać,

aby co najprędzej uciekać. Zdziwił się bardzo nie postrzegając nigdzie Tomaszka, aż po długiem poszukiwaniu zjawil się on nareście ale tak obwiązany chustami, jakby go nagle najokrutniej zbito. Nie można się było jednak przyczyny dowiedzieć, bo głosu nie puszczał, a twarz zakrywał staraniem. Gdy oficer z siedzącym już Karolem zegnał się na bryczce, oczy Tomaszka dziwnie wytrzeszczone pełne były przestachu. Łatwo to sobie wytłomaczyć tem, że oficer dowodził rotą, w której on służył; ztąd i ta gwałtowna fluksja i te chusty, któremi się obwiał.

Po bardzo złej drodze, gdyż rzadko gdzie zamróż trzymał, a miejscami grząsko było, pod wieczór dostali się do małego szlacheckiego dworku, przed którego bramą Karol, udający lekarza, woźnicę swego odprawił.

Ustronie to, w dosyć zapadłym kącie, którego oznaczyć nie możemy, przytulone było do lasu, otaczającego je ze wszystkich stron do koła, mała wioseczka czerniała opodal z kościółkiem i wysokimi jodłami, dworek był schludny, ale ubogi, dach kryty słomą, dwa białe nad nim kominy, ganek na słupkach z ławami, studnia w dziedzińcu, zabudowania gospodarskie po bokach, zacisznie, smutno, ale jeszcze ze staroświecka po

polsku. Ani w budowach, ani w ich ozdobie nie tu nie było przywoźnego, wszystko tak jak to przed wieki u nas bywało.

W czasie, gdy przybyli rozrachowywali się z woźnicą przed wrotami, psy podwórzowe zbiegły się na ich przyjęcie i stanęły w szeregu, szczenie ich wywabiło w ganek naprzód sługę w kurtce szaraczkowej, następnie jegomości w czapeczce czerwonej z fajką na długim cybuchu. Od zamku do wrót nie było tak daleko, i, nim Karol odprawił furmana, głos się dał słyszeć z zapytaniem.

— A kogo to tam Bóg przynosi?

— Doktora, odparł Karol spiesźnie.

— O! to chwała Bogu... witamy, witamy, odpowiedziano z ganku... Tymczasem wóz odjechał a Tomaszek wziął niewielkie tłumoczki i zabierał się z niemi wniść na podwórze, ale psy zajadle puścić go nie chciały, musiał ów w kurtce sługa przywieść je do upamiętania i pozamykać na folwarku.

Przez cały ten czas gospodarz oczekiwał na ganku, niecierpliwy by gościa poznać. Był to już podżyły mężczyzna, z fizjognomji znać albo stary żołnierz, albo myśliwiec, bo się krzepko

trzymał, mimo siwego włosa i gęsto rozsiaanych zmarszczek po twarzy.

Karol zbliżywszy się doń szepnął mu coś na ucho, poczem szlacheć go przywitał bardzo grzecznie ale z miną trochę zakłopotaną i weszli do domu. Wewnątrz było ubogo ale chędogo, od progu czuć starego kawalera nawykłego do wielkiego porządku i zaniłowanego w swém życiu cichem, do którego długiemu laty nawykął; gospodarzowi pilno było ugościć przybysza, ale temu pilniej jeszcze coś się od niego dowiedzieć.

— Powiedźcie mi naprzód, rzekł Karol, wiele tu już jest w lesie i jak tam z niemi?

Szpakowaty chwycił się za głowę.

— Jużbym wolał nie gadać, rzekł, gdyby my byli tak w trzydziestym pierwszym roku rewolucją robili, toby ona dwóch tygodni nie trwała, Bóg tam was wie co sobie myślicie, ale to wygląda bardzo kiepsko....

— Czekajcie, przerwał przybyły, nie jest ci to koniec, to dopiero początek będzie może lepij, ale cóż wy w tém widzicie tak złego?

— A no, mój dobrodzieju, rzekł szlacheć jeszcze wojska nie ma a już marudery są, naciągało się to tego z miasta w jednych surdutiach, w cienkich cholewkach, wszystko lud przy-

wykły do mięsa, kasza mu śmierdzi, a nim się poprzywlekali już zaczęli chorować. W chacie u gajowego leży trzech w gorączce, u strażnika jeden co sobie nogę wywinął, a reszta choć tam baraki pokleciła i ciągle w dymie się wędzi, piszcza że im zimno.

— Widzisz pan, odparł Karol, gdybyście to z takimi ludźmi w 31 roku zaczęli, co umieli wyjść w Lutym prawie bosy i o jednych surdutach, aby z Moskałem walczyć, inaczej by się to może skończyło...

Stary podumał.

— Hem, hem, rzekł po chwili, a może to i prawda, ale zobaczycie sami na własne oczy, jak te chérłaki wyglądają...

— Mój poruczniku, przerwał Karol.

— Jestem dymisjonowanym kapitanem.

— Przepraszam, poprawił się uśmiechając Karol, więc szanowny kapitanie, z kandydatami na żołnierzy to tak jak ze źrebięty, dużo z nich na konie wyrośnie, ale część musi przepaść na zołzy.

Kapitan westchnął.

— Zeby choć nie w zimie przezozłowywali!

— Nie mieliśmy pory do wyboru, ale gdy

się tak stało, prowadźcież mnie do nich, abym im serca i otuchy dodał.

— Jużcić nie zaraz, rzekł kapitan, musicie się ogrzać i posilić, dość będzie czasu jutro rano.

— Nie, odparł Karol, co im to i nam; nie chcę aby mi lepićj było niż tym biedakom, dacie mi co przekąsić na prędcę to dobrze, a nie, pójdę z niemi do jednego kotła.

Kapitan zdawał się zdziwiony, słowa jednak nie rzekł, pobiegł na przeciwek przyspieszyć przekąskę i powrócił zaraz dopytując o człowieka, który przybył z Karolem, coby był za jeden.

— To mój towarzysz, a niedawno jeszcze żołnierz moskiewski.

— A! więc i on do obozu? zapytał kapitan.

— I ja i on, kochany kapitanie.

— Jakby się co porządniejszego zebrało, odparł stary, a było z czem, to i ja. Tylko przyznam się panu, dodał, pójdę tak jak na polowanie na upatrnego, bo żeby z tego co miało być, jakoś mi się w głowie nie mieści. Tam jest regularne wojsko, armaty, obozy wszystko, jak się należy, a u nas czterech szewców, dwóch krawców, kował, ot i po wszystkim. Cożmy z niemi zrobimy?

— Zrobim z nich żołnierzy, odpowiedział Karol, nie zapominajcie o tem, że moskale mają wszystko, oprócz tego co stanie za wszystko — prócz ducha. My się nie bojemy śmierci, i ci rzemieślnicy, pójdą z kijmi na bagnety...

Kapitan popatrzał; znać w nim było niedowierstwo, przecież się nie sprzeciwiał.

— Co tam z tego będzie, rzekł, to panu Bogu wiadomo; ale zapolujemy na moskali i ja także, zamawiam sobie żebym choć jednego żółto-brzucha powalił. Zawsze to wysoka satysfakcja!!

Sługa w szarój kurtce i dziewczyna w sinym gorsecie zaczęli nakrywać do stołu. Szlachcie dobył wódki z szafy, i mieli usiąść do zawieszego krupniku gdy Tomaszek wpadł do izby z okrzykiem.

— Kozacy o dwadzieścia kroków!

Kapitan nie strwożony wcale, odezwał się tylko.

— Idźże ty się gdzie zaszyj w słomę a już zresztą jak Bóg da. Jegomość jesteś doktor z Mińska, siadajmy do stołu.

To mówiąc założył sobie serwetę pod brodę i gdy krzyk się dał słyszeć w dziedzińcu, wyszedł z nią i z łyżką w ręku na ganek.

Na koniu siedzący oficer kozacki, za nim z dziesięciu żołnierzy zajmowali całe podwórko.

— Ty gospodarz? zawołał oficer.

— Ja, rzekł powoli stary.

— Ty wiesz co u ciebie w lesie?

— Gdzie, w lesie? co w lesie? zwierzyna?

— U ciebie pewnie zbiegli rekruci się kryją? he?

— A kto ich wie? rzekł kapitan.

— Niby to ty nie wiesz?

— Albo ja w lesie siedzę?

— Ty buntowczyk!

— Jeszcze nie, odpowiedział kapitan, ot dajlibyście pokój, chcecie się wódki napić?

— Dawaj wódki, ale trzeba w twoim dworze przeszukać?

— Czego? owsa dla koni?

Oficer kozacki zaczął się śmiać.

— Wódka wódką, rzekł gospodarz, niech tam konie popasą a wy z nami zjedcie krupniku.

Z początku zawahał się oficer, ale z siadł z konia i wydawszy rozkazy żołnierzom, złagodzony jakoś, wszedł do dworu.

— To pan doktor z Mińska, odczwał się, prezentując gospodarz, ale kozak ani spójrzył na gościa, westchnął, otarł czoło, napił się wódki i ochoczo siadł do jadła.

— Kogo wy tu u licha szukacie? spytał po chwili gospodarz.

— Oj mądry ty mądry, palcem grożąc na nosie rzekł kozak, niby to wy lepićj odenmie nie wiecie co się w Warszawie dzieje i na co to się zabiera!

— Co ja mam wiedzieć, mówił śmiało powtórnie wódką częstując kapitan. Widzicie, że ja tu w dziurze siedzę i tyle mam świata co w oknie, a z Warszawy ledwie mnie tu raz we dwa tygodnie wieść doleci.

— A! wy polaki! polaki! poczał kozak z uśmiechem, wam się zdaje, że wy świat zdurzycie, a tobie stary jak by tak głęboko w oczy zajrzeć toby zobaczył i nie to co się dzieje w Warszawie ale i to co się za dwa miesiące dzieć będzie!!

Ty filut stary! gospodarz zaczął się śmiać.

— Byłem to ja kiedyś w wojsku, rzekł i muszę mieć minę co więcej obiecuje niż dotrzyma, ja sobie w kącie siedzę, i nic niewiem, hreczkę sieję.

— A wojował ty z moskalami? spytał kozak.

— A jakże!

— A zabił ty którego?

— Albo ja wiem.

I cicho znowu krupnik jedli. Kozak napił

się miodu, który przyniesiono, powzdychał, podumał i rzekł.

— Bestje polaki, siebie i nas zgubili. Pili by my inaczéj ten miód na zaporozu, gdyby wy się byli umieli rządzić, a kozactwem nie pomiatali, héj, héj! wiem ci i ja coś, ale teraz po wszystkim, to też jak się nam który z was pod kańczuk dostanie, tłuczem z całego serca żeby się pomścić za nasze zaporozie! oj wy to nas panki zgubili! wy!

— Bałamucicie ojcze, odparł kapitan, zawsze to swoje grzechy dobrze zwalić na cudze ramiona, gdybyście byli inaczéj polsce służyli i ona by też dla was inną była.

— No, no, cicho, nie gadaj . . . młoczy stary.

I jedli smażoną kielbasę a wzdychali, kozak miód popijał ale już milezał.

— Podła służba, rzekł pod ostatek, była kiedyś wolność ale ją psy zjadły, powiedz ty stary, ty może trochę wiesz, powróci to ona kiedy czy nie??

— Ba! odpowiedział kapitan, jak przyjdzie rozum będzie i swoboda!

Karol wcale się nie odzywał, spoglądając to na oficera, to na kapitana i badając obu, kozak

widocznie nie był zły człowiek, widać wnuk tej kozoczyzny co od polski miłość swobody przejęła, ale już w żelaznej obróży przechodziły dwa pokolenia i skóra im na szji pogrubiła. Kiedy niekiedy tylko odzywało się wspomnienie lepszych czasów nie na to aby siły dodać, lecz by porównaniem z teraźniejszością zasmucić.

Długo jeszcze gwarzyli za stołem chociaż już skromny obiad szlachecki prawie był skończony, kozak podpił dobrze miodu i wstał podochocony, miało się ku wieczorowi, zapalił fajkę i zabierał się do odjazdu, a gdy już miał odchodzić rzekł przy pożegnaniu do kapitana.

— Zdaje mi się stary żeś ty dobry człowiek żal by mi ciebie było gdyby cię powiesili, a tobie się to może przytrafić, jak swego lasu nie będziesz pilnował i broń Boże, w nim jeszcze jakim zbiegom dusz przytułek. Ja naszych znam, oni się siwego włosa nie ulitują, siedź ty stary cicho! chcesz być cały.

— Ha! odparł kapitan życie ludzkie w bożym ręku, raz ginąć panie bracie, i tyś mi się zdał jakimś dobrym człowiekiem powiedziałbym ci też coś, ale na ucho.

Kozak nic nie mówiąc ucha nastawił.

— Co wam za potrzeba, rzekł kapitan po

cichu, tak bardzo służyć serdecznie tym co was w kajdanki zakuli?

Oficer machnął ręką, kiwnął głową i kazał sobie podać konia.

— Bywaj zdrow stary, rzekł, a pamiętaj lepiej co ja tobie mówiłem. . . .

To mówiąc klusem wyjechał z dziedzińca a cała gromada za nim. Tomaszek jakoś nie-rychło ze słomy się wydobył i na świat boży powrócił.

Chociaż już nieco zmierzchało Karol naglił ażeby w las jechać. Osiodłano więc konie, bo bryczką się tam nie było dostać, i choć zimny deszczyk mżył, ruszyli zaraz wzięwszy parę psów z sobą, jak gdyby na polowanie.

Kto zna nasze lasy tylko z tego co zwykł, widzieć na drogą, a nie po myśliwemu, ten o głębi ich wyobrażenia mieć nie może. Las ów stary, odwieczny, taki jak go Bóg stworzył nie jakim go ludzie robić zwykli, zaczyna się tam dopiero gdzie się wozowe drogi kończą, gdzie ścieżki pieszych zrazu wyraźne giną i przepadają w zarosłach. Na mniej dostępnych miejscach, rosną niebotyczne drzewa, i owe gąszcze nierozwikłane których wnętrza zna tylko zwierz dziki co się w nich chowa. Nie widać tam jeszcze ręki czło-

wieka, są gdzie niegdzie tylko ślady burz i uraganów, które całemi lany obaliły puszcze i obróciły w stos gnijących kłód, pokrytych w następnych latach gęstą młodą zielenią. W tych niedostępnych uroczyskach płyną gdzieś ospale gnile ruczaje, kiśnie woda w szerokich brodach nad których wodami zwieszają się zewsząd szukające napoju drzew i krzewów gałęzie, i obraz tych borów z którymi tylko amerykańskie puszcze porównać się dają, powietrze którym się tu oddycha, wonie rozlane w około całe są różne od tych lasów, które już ręka ludzka przetrzebiła. — A kto nie słyszał wielkiego hymnu, który szumem swym nucą drzewa i szalonych rozhovorów ich w czasie burzy, ten nie zna jeszcze jednego z głosów najuroczystszych stworzenia. — Da on się tylko porównać z szumem zburzonej fali morza, pluszczącój się na piasku lub rozbijającój o skały. Takimi są te bory w czasie lata i jesieni, gdy pełném życiem dyszą, inne całe w zimie, gdy z nich liście oberwą wiatry, gdy śniegi zawisną na gałęziach, szron oszkli ich korę i sen ciężki, ołowiany, uciśnie je w swych objęciach. Smutne naowczas nad wyraz są te lasy w których już nie żyje, gdzie ledwie zielenią się odmłodzone mchy i niedowarzone mrozem liście poziomych

roślinek. Obbrzynie drzewa zdają się stać jak owe trupy po jaskiniach zaschłe i skostniałe, nawet wichher przedzierający się przez suche gałęzie, nie gra na nich muzyką życia, ale świstem szyderskim zniszczenia i śmierci. I słyszeć wśród ponurego milczenia, uroczystego jak nicość, spadającą obłamaną gałąź, lub nagle z łoskotem pierunu odbitego ech tysięcem, walące się stoletnie drzewo, które druzgocze młodsze krzewiny i kładnie się znużone w proch i zgniliznę. Po tym wielkim trasku znowu cisze długie, przerywane krakaniem ptastwa, które lasy omija lub łoskotem przebiegającego ze strachem to cmentarzysko zwierzęcia. Jeszcze śniegi i szrony bardziej malowniczymi czynią lasy, lecz w długich mgłach i slocie nie posępniejszego nad nie.

Takimi one wyglądały teraz gdy kapitan z Karolem w głębie się ich puścili. Zrazu droga była szeroką, potem zmieniła się w ścieżynkę wąską, a na ostatek znikła zupełnie, ponachylane tylko drzew gałązki znaczyły miejsca którym ludzie przechodzili.

Naostatek potrzeba się było przedzierać przez zarośla nietknięte wśród których kapitan jadąc przodem torował drogę instynktem, niekiedy stając i rozglądając się do koła. Pomimo zimy która

las z liści огоłociła, gąszcz przejeżdżali tak wielką, że na kilka kroków przed siebie głębi lasu widać nie było. Konie nawykłe do tego rodzaju wycieczek ze spuszczonei głowami przedzierały się przez splątane często krzewy, przeskakiwały kłody, brnęły przez strumienie i uniały sobie dać radę wśród tych bezdroży najeżonych przeszkód tysiącem. Im dalej wjeżdżali w las tem podróż stawała się trudniejszą, a zwiększający się mrok wieczora jeszcze ją niebezpieczniejszą czynił. Dla człowieka przywykłego do miasta było to rzeczą całkiem nową, cięższą niż dla wieśniaka. Na ostatek musieli już z siąść z koni i prowadzić je w rękach brnąc po kolana w grząskim błocie i koniom dopomagać do wydobycia się z niego. Zmierzch wkrótce stał się nocą, ale przebywszy ruczaje i zawały kłód, wędrowcy nasi stanęli na suchszym nieco gruncie i znowu dosiadłszy koni, rzadszym niepodszytym borem, jechali ku niedalekiemu już schronieniu pierwszej gąsieni powstańców. Późniejsze obozy ich, jakkolwiek urządzone, weselszą miały postać; ten przytułek leśny smutny był i wśród lutowych slot i mrozów ledwie mógł biednych ochronić.

Z zagęstych pni mignęły drobne światełka ognisk, od których ani gwar ani weselsze i szum-

niejsze nie dochodziły głosy. — Cisza wielka panowała do koła. Nie było rozstawionych straży, ani wysuniętych naprzód placówek, zbliżyli się więc niepostrzeżeni i Karol zatrzymał nieco, rzutem oka, boleści pełnem, mierząc ten obraz posępny.

Wśród nagich drzew na obmokłej ziemi, stało kilka na prędcie niewprawnie z suchych gałęzi ukleconych szałasów. Przed niemi pały się skwiercząc mdle ogniska, które deszcz gasił, a wiatr rozrywał. Na pierwsze wejrzenie ludzi prawie nie było widać, leżeli na ziemi znużeni, chorzy, zboleli na ciele i duchu. Ledwie się tam coś zwolna gdzieniegdzie ruszało wśród nroku. Przystąpiwszy bliżej, Karol dostrzegł kilka garnków jakby zapomnianych przy ogniskach, milczenie znamionowało i brak sił i jakieś odrętwienie w znużonych zbiegach.

— Gdyby to byli wieśniacy, rzekł po cichu kapitan, prędzej by sobie dać umieli radę, poczciwy to lud, nie przeczę, ale mieszczuchy, przywykłe do gotowego, wzwyczajone szukać wszystkiego w sklepie, a nie samemu nie robić. Nasz wieśniak na pół jeszcze dziki zna się z naturą jak z matką, w lesie jest jak w chacie, tysiące ma środków na ochronienie się od głodu, chłodu

i niewygody. Ale wprost z miasta, przeżywszy tam całe życie, dostać się do puszczy, co dziwnego że człek głowę straci?

Chociaż rozmawiali po cichu, ktoś przecie z obozu głos usłyszał, z szalasu najbliższego wysunęła się postać wysoka i ochrypło spytała:

— Kto tam idzie?

— Swoj, brat, rzekł Karol. —

— Czy świeży?

— A no, dopiero przybywamy. —

— To witamże panów, odparł pierwszy, i bardzo przepraszam że nie mam ani kanapy, żeby prosić siedzieć ani samowara do herbaty, jeżeli łaska na mokrej ziemi jest miejsca dosyć, a z drzewa kapie gotowiuteńki napój, który głowy nie zawróci. —

To mówiąc rzucił garść suchych gałązek w ognisko, i gdy ogień buchnął poczał się przypatrywać kapitanowi i Karolowi, który stał przy nim.

— A to wy, szanowny panie, odezwał się poznając Karola, dobrze żeście tu do nas zawędrowali, zobaczycie co się to tu dzieje, straszna bieda jakiejś człek wyobrażenia nie miał! Wczoraj już i chleba było zabrakło, a do wioski pójść nie można, bo wszędzie się Moskaliska włóczą,

i chłopstwo coś nie bardzo pewne. Bylibyśmy może z głodu pozdychali, gdyby się jeden z nas do bliskiego tu domu nie dostał.

Na odgłos rozmowy kilku ludzi zbliżyć się poczęło do kapitana i Karola.

— Na miłego Boga odezwał się drugi, odzieżyśmy z sobą nie pobrali, w nocy człek na deszczu i zimnie ze wszystkim kostnieje, kilku już z gorączką leży, a reszcie nie wiele ducha zostało. —

— Kochani bracia, rzekł Karol, źle tu czy dobrze przyszedłem z wami i los i biedę dzielić, nie wszystko można było przewidzieć, nie tyle zrobić ile by się pragnęło, ale, da Bóg, powoli się to wszystko poprawi i jakoś lepić będzie.

— Ale zlitujcie się począł inny, ratujcież prędkiej, bo tu się kości nasze zostaną.

— Wieleż tu was wszystkich jest?

— Będzie bédz mała do stu, co chwila nowi przybywają, a tu ani budy, ani chleba, ani garnka, ani żadnej rzeczy która jego jest.

— O wszystko się postaramy, dodał Karol, tylko co nie widać, jak nam chleb, kaszę i mięso przywiozą.

— A co gorzej, mój dobrodzieju, krzyknął inny z daleka podnosząc głos, jakby ta psia wiara

Moskal przyszedł chybabyśmy z kijami na niego wystąpili, bo na sto ludzi nie wiem czy dziesiątek strzeleb się znajdzie, kilkanaście pałaszy i coś tam nożów rzeczniczych.

— Broń nadwiozą także, rzekł Karol głośno, jest do téj pory źle, ale musi być lepiej, tylko widzę panowie bracia, darujcie mi że wam to powiem, trochęście téż ręce opuścili; możnaby tu i z tego lichego obozu lepszego coś zrobić, a pokładłszy się na deszczu i czekając zmiłowania bożego, człek gotów zamrzeć z saméj desperacji.

— A cóż tu proszę pana robić, odezwał się słuszny mężczyzna? pokażcież z łaski swojej?

Karol zamiast odpowiedzi, przywiązał konia do drzewa dobył oplatanéj fiaszki, których z kapitanem cztery z sobą przywieźli, i począł od rozdania po kieliszku wódki, ile jéj stało.

— Musicie, rzekł, mieć kilka siekier!

— Jest tego dowoli, odezwało się kilku.

— Więc proszę o jedną, zetniemy trochę drzewa, aby łabszych lepiej od słoty i wichru ochronić. Kapitan nam nie pożałuje.

To mówiąc, i zachęcając przykładem, jął się sam do roboty. Ochotniejsi poszli za nim trochę ożywieni, drudzy wzięli za rydle, bo w niedostatku ścian ziemia, która nigdy nie przemaka

głęboko, a w najdłuższe sloty, tam gdzie jest zsiadła i niespękana, nad parę cali nie bierze wody, użycza ciepłego schronienia. Wykopanie takiej ziemiłanki, którą odrzucona ziemia broni od ściekania deszczu, nie wiele czasu kosztuje, pokrywa się ona gałęzmi i weale nie złym jest przytulkiem. Trochę suchego liścia i mechu jest nie złem posłaniem. Tak sobie niegdyś człowiek radził w dzikszym stanie, a ilekroć wypadki zmuszą go zerwać stosunki z cywilizowanym światem, powrócić mu trzeba do tego pierwotnego stanu i tradycji wieków. Utrzymały się one więcej po wioskach, gdzie człek wielu miejskich, do życia pomocy jest pozbawiony, pokolenia mieszkańców miast zaponmiały o tym bycie, od którego już prapradziadowie ich odwykli.

Karol z kapitanem wzięli się oba do roboty i nauczycielstwa, nie obawiali się trochę rąk podrapać, byle ludziom tym dodać ducha i ochoty do pracy. Zaraz też wionęła jakaś nadzieja na wszystkich, jaśniej rozgorzały ogniska, gwarniej rozmawiać zaczęto, gdzieniegdzie nawet uśmieszek i żarcik wleciał na zbladłe usta. Wykopano parę obszernych ziemiłek, a robota około nich poszła tak szybko, że można było na noc wygodniejsze chorem dać schronienie. Karol postanowił poło-

żyć się tymczasem w szalacie, byle słabszych poratować. Kapitan który o ile mógł pomagał, w prędkie się jednak znużył, założył ręce w tył, splunął i rzekł po cichu do Karola.

— Wszystko to bardzo pięknie, ale ja com nieraz na koniu sypiał w marszu i biedy się dosyć najadł, takiej wojny na jaką się tu zabiera, ani rozumiem ani chwale.

— Z wojskiem regularném na kule i spisy mężnie pójść, na to się piszę, ale o głodzie w ziemi dziury kopać i z kijem maszerować na uzbrojonego soldata! w głowie mi się nie mieści.

— Kochany kapitanie, odpowiedział mu Karol, taka wojna o jakiej mówisz to monarsza zabawka; wojny ludów przeciwko swoim ciemieżcom, muszą mieć weale inny charakter. — Ludy pozbawione wszystkiego, stworzyć sobie muszą broń, zastąpić to czego im braknie poświęceniem, wytrwałością, przebiegłością, jakiej uczy niewola. Wojna dwóch wojsk pięknie umundurowanych, opatrzonych we wszystko, jest to rodzaj gry w szachy z tą różnicą, że zamiast pionków wywracają się ludzie. Dobrze to jest dla dynastycznych interesów i dystrakcji wielkich monarchów którzy się bawią w żołnierza jak drudzy w teatr i inne fantazje, ale nam wrócić trzeba do tych

zapasów dzikich w których człowiek walczył z człowiekiem często pazurami i zębami. Gdyby nam wilecy w pomoc przyjść mogli przyjąłbym ich za sprzymierzeńców, lub jak Samson puściłbym liszki z zapalonemi żagwiami u ogonów.

Kapitan wzruszył ramionami, a że się robiło późno, miał się do odwrotu, bo nocy w obozie z niemi przepędzić nie myślał. Ów słuszny mężczyzna, z powołania podobno jakiś teatralny sługa, który z sobą przywiózł zapas dobrego humoru, widząc żegnającego się kapitana jął go na noc zapraszać.

— Już panie dobrodzieju, dwa salony wyporządzone, dywany rozesłane, gdybyś pan raczył zanocować, znalazłoby się gdzie pomieścić; pobiegłbym po kolacyjkę do Poziomkiewiczowej, po buteleczkę wina do Kijasa i takbyśmy sobie przegwarzywszy godzinkę, chrapnęli potem i ucieli szpaka aż do rana.

— Nie chcę wam ani miejsca zabierać, rzekł kapitan, ani zbyt do tych waszych rozkoszy nawykać, powlokę się do domu, a że mi tu przez swoich trudno co posłać, bo by zaraz we dworze gawędy poszły, ze dworu na wieś, a ze wsi gotowe dolecieć do moskiewskich uszu, dajcie mi tu którego coby sobie w lesie drogę dobrze rozpa-

trzył, to wam przez niego przysłę choć wódki, chleba, wędliny i na co mnie stanie.

— Jeżeli po wiktuały jechać, rzekł teatralny sługa, ja jestem jedyny, umiem z przyzwoitym uszanowaniem chodzić około butelki i jadła, wiem które rzeczy zamoknąć mogą, a którym wilgoć jest szkodliwą, zaufania zbytecznie nie nadużyję, co się tyczy szukania drogi w lesie, przypominam sobie ową bajeczkę o chłopczyku, którego zbój w las prowadził, rzucał on za sobą ziarnka fasoli, po których później nazad do domu trafił. Mam w kieszeni zabranych na pamiątkę cztery czy pięć afiszów, jeszcze z tej sławnej reprezentacji kiedy to na zjazd w Warszawie prześwieatnych gości grano balet „Trzech złodziejów“. Już dla miłości moich towarzyszków poświęcę pamiątkę, podrę afisze na kawaleczki i drogę niemi poznacę.

— Bardzo by to było dobre, rzekł ktoś z tłumu, ale jak po tych świstkach gdyby po nitce moskale tu do nas trafią, dopiero się nam przysłużysz!!

— Przecież do dnia powrócę, a mój papier wybieram po drodze. Ho! ho! nie takim ja głupi!

Śmiano się z tego środka pokierowania w lesie, ale on się on okazał jednak praktycznym, bo eksufler mimo że dotąd widział tylko te lasy które na kulisach malowane spotykał, jednak cały izdrów

nużad do obozu się dostał. Kapitan wsadził go na konia na którym był Karol przyjechał, a choć i konnej jazdy pierwszy raz w życiu próbował, raz tylko w ciągu podróży przez łeb koniowi spadłszy, utrzymywał iż był stworzony na kawalerzystę. Przez całą drogę rozmawiał ze szkapą.

Razem z Karolem zawitała do obozu otucha, trochę ładu i nadziei; dwóch czy trzech rozesłano w różne strony dla zakupienia żywności i dla dowiedzenia się o przyrzeczoną broń. Pomimo nadziei dostania jej nie można się było łudzić; ta która w tej chwili nadejść mogła, nie starczyła dla wszystkich; trzeba więc było myśleć o pikach i kosach. Karol od świadomszych miejscowości dowiedział się o kowalu, którego kuźnia była we wsi pobliskiej. Tam należało koniecznie przysposobić piki, posprawić kosy, a że obojga jeszcze nie było wiele, nawet szerokie noże na tymczasowe żeleźca przydać się mogły. Kłopot też był z chorem o których pomyśleć należało, gdzie ich bezpiecznie umieścić. O innych co się po drodze rozproszyli i pokładli, należało się choć dowiedzieć. Karol więc był zmuszony nazajutrz rano, powierzwszy straż obozu jednemu z roztropniejszych towarzyszków sam na tę niebezpieczną puścić się wyprawę.

O białym dniu smutniejszy jeszcze miał pozór ten pierwotny obóz powstańczy. Tym co go składali brakło jeszcze doświadczenia, były to pierwsze chwile najtrudniejsze do przebycia, wszystko stworzyć trzeba było z niczego: szczęściem moskale także rachując na swe siły, żartując sobie z tego zuchwałego porywu, nie spieszyli się z wystąpieniem przeciwko niemu. Nie było stanowczych rozkazów, ani planu do ścigania, oczekiwano ażeby się to widoczniej uwydatniło, rachując na wielką przewagę sił kilkadziesiąt miljonowego państwa. Z drugiej strony do tój opieszałości w działaniu, która dla nas była bardzo szczęśliwą, przyczyniła się w najważniejszych nawet kraju okolicznościach, nie odstępująca nigdy moskiewskiego urzędnika i żołnierza, chciwość. Wszyscy generałowie, oficerowie aż do żołnierzy, dobrze widzieli że powstanie będzie dla nich zyskowną

gratką. Nie chcieli mu tak prędko końca położyć, bo spekulowali na niém. Każdy miał innego rodzaju obłów na widoku: żołnierz rabunek, oficer i rabunek i złodziejstwo na żołnierskim żołdzie, i wydzierstwo po dworach i podwójną płacę. Jenerałowie którzy nigdzie za nic nie płacili, a za wszystko ogromne rządowi podawali rachunki, wiedzieli dobrze, że przy dłuższej kampanji fortunki sobie porobią. Nie było więc na rękę moskalom nagle ukończenie powstania. W ich chciwości mieliśmy doskonałego sprzymierzeńca, wprowadzie za pobicie jakiego oddziału mogli dostać krzyżyki lub gwiazdę na szlifie, ale ścigając go pakowali tysiące rubli do kieszeni. Kto zna ducha moskiewskiego wojska, wie że najwściekleszy patrijotyzm nie zawadza mu do pamiętania o sobie. Cała ta wyprawa trwająca już rok blisko, nacechowana jest najpodlejszą rachubą owój junaczěj armiji, którój cesarz tak słodko za jēj męztwo i poświęcenie dziękuje. Bohaterowie moskiewscy uciekają przed najmniejszóm niebezpieczeństwem, były przykłady że bezbronnego chłopca pchali przed sobą na kule, aby sami ściśniętego nieprzyjaciela wziąć mogli gdy się już bronić nie będzie, osaczyć, podejść, w dziesięciu napaść na jednego, rozbrojonych mordować, nad bezbronnym się pa-

stwić, rabować, odzierać, to były czyny, któremi się oni odznaczyli w ciągu całej téj wojny. Z równemi siły nigdy nawet nie probowali się mierzyć szanując drogie swe życie. Każdy z jenerałów rachował co mu wycieczka przyniesie i naturalnie nie życzył sobie aby im prędko położyć koniec. Smutno jest to wyznać, aleśmy w istocie wiele winni przekupstwu i sobkostwu a jaśniej mówiąc demoralizacji sług carskich; w czasie pokoju żołnierz traci całą swą ważność, siedzi w koszarach, mrze głodem, a chude oficerki biędę klepią; gdy w wojnie wszystko to panuje, rządzi, szumi i puszcza sobie cugle za wszystkie czasy. Cesarz Mikołaj powiadał, że prócz niego i syna za nikogo nie ręczy żeby państwa nie okradał, znał doskonale Rosję, dodać by należało, iż szlachetna armja nie ustępuje w tym względzie nikomu. Ów Lüders, któremu szczękę przebito w Warszawie, sądzony był za złodziejstwo nim został namiestnikiem w Królestwie, a bohater Rosji Murawiew, stracił był miejsce w zarządzie dóbr cesarskich, za wielką miłość cudzego grosza. Zbyteczny to jest może ustęp, ale on poniekąd tłómaczy, dla czego w pierwszych chwilach przez szpary na powstanie patrzano.

Karol który spał okryty płaszczem w szale się, obudził się znowu bardzo wcześnie, nie było chwili do stracenia. Wśród nocy przybyło znowu kilkadziesiąt ludzi z Warszawy, część z nich w lakierowanych butach i letniem prawie ubraniu, spodziewane i przyobiecane zapasy, żywność, broń, odzież, obówie, nie nadchodziły; należało więc co najprędzej pomyśleć o zaopatrzeniu się w najpierwsze potrzeby życia. Nim jednak Karol rzucił obóz, musiał w nim pewien zaprowadzić porządek. Nie spodziewano się wprowadzić rychłego napadu moskali, ale licho ich przynieść mogło jakim wypadkiem. Przewidując to Karol musiał rozstawić placówki, rozdać broń jaka była na podoręczu, wyznaczyć dowódców oddziałowi i ściśle w nim zaprowadzić posłuszeństwo.

Z żywnością którą kapitan nadesłał, trzeba było także pewien uczynić porządek. Ranek cały zbiegł na tych przygotowaniach podrzędnych ale niezbędnych. Karol miał sobie dane wskazówki, gdzie w sąsiedztwie na pomoc pewną rachować może, wzięwszy więc przewodnika, wyruszył pieszo z obozu w stronę przeciwną téj z której przybył. Tą razą brnąć trzeba było pieszo przez błota i drzeć się przez zarośla. Trwało to jednak parę godzin nim trafili na ścieżkę która ich z lasu

wywiódł. Nad drożyną która biegła skrajem boru stała mała karczemka, do której przewodnik Karola spocząć na chwilę wprowadził. Znaleźli tam tylko szynkarza i szynkarkę neofitów, którym coś z oczów źle patrzyło. Ostrzegł też towarzysz Karola, iż ludziom tym spełna dać wiary nie było można. Udawali więc, on jeometrę, a tamten włościanina z wsi poblizkiej, który go do dworu prowadził. Upletli całą historję aby wytłómaczyć dla czego po słońcu szli pieszo, szynkarz jej słuchał ale z widoczném niedowierzaniem. Szło o to aby do jednej z wiosek poblizkich dostać koni, po długich targach zgodził się zawieść ich gospodarz; uważali wszakże że wprzód w alkierzu długą z żoną odbywał naradę. Milcząc siedli na wóz i ruszyli; oba byli tak znużeni że i Karol się zdrzemnął i przewodnik jego na ramię neofity pochyliwszy głowę, chrapał.

Nie dostrzegli więc jak ich woźnica, inną wcale niż potrzeba było powiózł drogą. Nagle obu ocucił krzyk moskiewski nad głowami i postrzegli że ich zawieziono do karczmy, którą do koła otaczali kozacy.

Przewodnik Karola zupełnie stracił przytomność, ale grożące niebezpieczeństwo dodało zimnej krwi młodemu człowiekowi, który zdradę

woźnicy postrzegłszy, miał nadzieję z rąk moskwy z nieco odwagi się wydobyć. Nie zmięszany wcale powoli zsiadł z wozu i zaczął pytać po co tu zajechali? Widząc go tak pewnym siebie furman, trochę się splątał i zaczął tłumaczyć, że musiał przystanąć w karczmie dla popasu. Kozacy już do koła wóz obstawiali, gdy pomiędzy niemi postrzegłszy wczoraj widziane twarze, Karol nabralł otuchy, zaczęli go pytać o papiery.

— Prowadźcie mię do oficera, to się mu wytłumaczę.

Właśnie gdy to mówił, wczorajszy współbiedak nadszedł i jako ze znajomym przywitał się z Karolem.

— Panie kapitanie, rzekł głośno podróżny udając wesolą minę, jedliśmy wczoraj obiad z sobą, możesz mi pan poświadczyć że nie jestem żadnym podejrzanym człowiekiem.

— Nu tak, odparł oficer. A cóż wy tu robicie?

— Potrzebowałem dostać się do sąsiedniej wioski, nająłem oto tego jegomości, który mnie tu wcale niespodzianie przywiózł.

— Chciałem popaść, wybąknął dając mu potajemne znaki, woźnica.

Ale kapitan tupnął nogą, pogroził i kazał żołnierzom odstąpić.

— Jeżeli pan każe to pojedę dalej, rzekł pomieszany szynkarz.

— Mój kochany, odpowiedział mu Karol, nie tłumacz się i nie bałamuć, dobrze rozumiesz coś zrobił; potrzeba mi było jechać w zupełnie przeciwną stronę, powiozłeś mię tu myśląc że jestem podejrzanym człowiekiem i że mnie sprzedasz za kilka rubli; każdy zarabia na chleb jak może, patrzaj tylko żeby ci to na dobre wyszło.

Złapany neofita począł się zaklinać i wyłgiwać niezręcznie. Karol nieodpowiadając mu nawet, rzucił parę rubli i stręczącą się już furmankę która w stronę wioski do której dążył jechała, wziął natychmiast.

Tak szczęśliwie uszedłszy niebezpieczeństwa, nie rychło, gdy już wsi widać nie było, odetchnął. Towarzyszący mu młody chłopak wylękniony okrutnie, ze wściekłością przygodę tę opowiadał wieśniakowi który ich powoził.

Był to podżyły już człowiek bardzo pocziwego oblicza, którego ta sprawa mocno zdawała się obchodzić.

— Widzicie, rzekł wysłuchawszy, ja tego szelmę propinatora dawno już znam że on z mo-

skalani trzyma, prawdę powiedziawszy umyślniem się ja wam prędej z furmanką nastreczył, ażebyście co rychlej z między tego kozactwa się wynieśli. Chciał was psia jucha sprzedać ani chybi. Ale mu się prędej czy później za to judaszostwo dostanie.

Odwrócił się do Karola i mrugnął oczyma.

— Paniczyku, jam stary polski żołnierz i czuję przez skórę kto co ma w sercu, ja zaraz jego-ności z oczów poznałem, że panisko musicie tu mieć jakiś poczywy interes. Dowiozę was bezpiecznie do dworu, ale proszę was, gdyby tego szelmę można było powiesić? Oczyszcilibyście świat z jednego paskustwa. Niechby też dyndał, to mu się słusznie należy.

Karol nie odpowiedział, ale gorąca sztuka Wojtek który z nim jechał, szepnął w ucho woźnicy.

— Już nie nie gadajcie, ja wam daję słowo że go oporządę.

I tak jakoś dojechali do dworu, ale już się wszystko nie szykowało; gospodarza nie było w domu, a natomiast jakiś urzędnik z miasteczka, a z nim burmistrz wielkie nie dobrego w dodatku. Karol nie był z gospodynią znajomy, która go bardzo zimno przyjęła. Nie wiedzieć co było po-

cząć, czy dalej jechać czy czekać? W téj niepe-
wności zmiarkował on że spieszny odjazd mógłby
go dać w podejrzenie burmistrzowi, który już
i tak bardzo go ze wszystkich stron zachodził.

Mimo chłodnego przyjęcia gospodyni, zape-
wniwszy ją że przybył w interesie jój męża, Ka-
rol pozostał, skromnie zasiadłszy w kątku, ale
z wielkim niepokojem w duszy. Każda ubiega-
jąca godzina stracona płaciła się zdrowiem, bez-
pieczeństwem, wreszcie powodzeniem, całej sprawy.
Po śmiertelnych dwóch godzinach rozmowy z bur-
mistrzem, który także na pana domu oczekiwał,
przybył nareszcie pan Zagłoba i postrzegłszy Ka-
rola w tak poufałych stosunkach z pierwszym
szpiegiem okolicy, prawie struchlał. Nie można
było o niczem mówić, dopóki się urzędników nie
pozbyto. Nowa zwłoka, burmistrz odjechał na-
ostatek, najmocniej przekonany że Karol był w ja-
kiejś służbie moskiewskiej...

Tymczasem gdy przyszło dowiedzieć się o wo-
źnicę i przewodnika, aby pierwszemu zapłacić,
a drugiego odprawić, obu już nie znaleziono. Za-
ledwie wysadziwszy Karola, puścili się z furmanką
niewiadomo dokąd jakby ich kto gnał. Wojtek
nie mógł darować judaszowi że ich chciał oddać
w ręce moskali. Zbrodnia była jawna, namówili

się ze starym wiarusem i drapnęli zanim się opatrzone że odjeżdżać mają. Pociągnęli oba wprost do obozu, gdzie przed wieczorem przybywszy Wojtek wlaź na pień i zgromadzonym towarzyszom całą historję opowiedział. Nie był on wymowny, ale mu serce dyktowało.

— Proszę Ich mościów mówił z zapalem, niechaj nas kto chce sądzi czego ten człowiek wart?

— Szubienicy, szubienicy! krzyknęło kilkanaście głosów.

W gromadzie ludzi otaczających Wojtka stał i ksiądz Bernardyn, pierwszy kapelan pierwszego powstańczego obozu.

— Słuchaj no, braciszku, przerwał uśmiechając się, powiedz no ty mnie co sobie ludzie pomyślą gdy nim się wojna zaczęła, my już ludzi wieszać będziemy? Daćby mu ze sto plag i puścić.

— Dobrodzieju, odparł Wojtek, to się psia jucha mścić będzie, okolice zna na wylot i moskali na nas naprowadzi, jak ma nas zginąć półtorasta, niechaj lepiej on dynda.

— Jest racja, jest racja, rzekł zażywając tabakę Bernardyn, ale wszystko jakoś nieładnie od stryczka poczynąć.

— Ojcie dobrodzieju, z przeproszeniem też nie my od stryczka poczęli, ale moskale. Znałem

sam tego nieboraczka Jaroszyńskiego, to był taki pocciwy chłopiec że rzadko, a jednak choć wiedzieli że był niewinny, choć tam temu wielkiemu księciu ledwie skórę drasnął, toć go obwiesili?

— Hem, hem, rzekł Bernardyn, brzydki to interes, ale jest racja.

Krzyk i wołanie:

— Na szubienicę zdrajcę! zagłuszyły księdza, który już próżno chciał przyjść do słowa. Zebrało się wnet kilkunastu ochotnika i obsiadłszy furmankę ruszyli ku karczemce.

— Czekajcie, w ukropie kapani, szalone pałki, krzyknął Bernardyn, toć to chrześcijanin, jeśli mnie nie weźmiecie nie będzie go komu wyświadczyć. Odbędzie się przynajmniej rzecz regularnie, ja z wami.

Wzięto tedy księdza, ale zmierzchno dobrze nim się do karczemki dostali, obstępiono ją po cichu, Wojtek wszedł pierwszy, poznawszy go szynkarz, struchlał.

— Nu bratku, rzekł chłopak, mamy z sobą rachunek.

Na te słowa i ducha niestało w zdrajcy, postrzegł on że okna i drzwi były obsadzone, nie próbując się nawet tłumaczyć, chciał przekupić ofiarując im wszystko co miał, ale się z niego

tylko naśmiano. Obawiano się go wieszać w pobliżu lasu, aby podejrzenia na schroniony w nim obóz nie ściągać, ale nazajutrz rano wisiał jak należy o dwie mile ztamtąd, a ojciec Łukasz miał tę pociechę że go na śmierć po chrześcijańsku przygotował...

W nocy wszyscy powrócili do obozu.

Rząd moskiewski nieraz się starał rzucić planę na powstanie nasze za doraźne dekreta śmierci, które broniąc się musiano wykonywać na niebezpiecznych kraju zdrajcach, zarzut to którym łatwo wojować było. Lecz sądy ludowe pewnie były, mimo braku form, daleko oględniejsze, nierównie sprawiedliwsze niż trybunały moskiewskie. Pomiedzy tymi których bez dowodów winy, bez obrony, prawie bez sądu poobwieszali i porozstrzeliwali moskale, było mnóstwo jawnie niewinnych ukaranych dla rzucenia postrachu;—pomiedzy temi których osadził głos powszechny, których skarala ręka niewidoma, wyzywamy, ażeby nam pokazano choćby jednego niewinnego. Co do form trybunały rewolucyjne nie ustąpią moskiewskim sądom wojennym, co do sprawiedliwości nie im zarzucić nie można. Stokroć w ostatku łagodniejszemi były one niż moskiewskie komisje i wyrozumialszemi daleko. Żadna rewolucja, w ta-

kich warunkach jak nasza, tak by się jeszcze łagodną nie okazała. Na nieszczęście nieprzyjaciele nasi, jako pierwszój broni używają potwarzy i oszczerstwa. Starczy im pozoru do obwinienia, a świat łatwo się pozorom uwieść daje, nie ma walki tego rodzaju jak nasza bez użycia gwałtowniejszych środków; ale aby je sprawiedliwie ocenić, potrzeba koniecznie porównać tę rozpaczliwą obronę uciśnionych, z gwałtami nierównie liczniejszemi rządu, którego siła wcale ich nie uniewinnia. Pomimo to znaleźli się głośni Moskwy obrońcy, którzy unęczonemu ludowi wyrzucali jako zbrodnicę, że się śmiał zdrajcom i zabójcom bronić. Wielopolski wieszal sam rękami kata, ale pugiwały i karę śmierci, rewolucji miał za zbrodnicę. Nie jesteśmy zwolennikami gwałtowności i przemocy, z kądkolwiek one idą, prędzej je wszakże darować można roznamiętnionym tłumom, niż któremukolwiek rządowi z łaski Bożej.

Dopiero po odjeździe urzędników mógł się Karol rozmówić z gospodarzem, który był wtajemniczony od dawna w sprawy krajowe, a żona jego przybiegła serdecznie przeprosić Karola za obojętne przyjęcie. Mnóstwo rzeczy było do zrobienia, broń do przewiezienia, żywność dla obozu, narzędzia kowalskie dla kucia pik i oprawiania kos, doktor dla chorych, wszystko to należało co najprędzej obmyśleć i wykonać, każda uchodząca godzina była nieopłaconą stratą. Wzięli się też wszyscy do roboty a naprzód gospodarz wysłał po lekarza, który miał o parę mil oczekiwać. Potém zwrócono się do spiżarni Jćjmościńej, pakując co tylko było można na fura, na ostatek przywołano kowala. Robotników wprawnych do pomocy było w obozie kilku, ale im kuźni i przyrządu brakło. Najdogodniej to strojenie kos i nożów mogło się odbywać w lesie, a kuźnie na-

leżało, jeśli nie na wojskowy sposób, to po cygańsku urządzić. Właściciel wioski wezwał na to kowala ale jeszcze nie bardzo był pewien jak go do roboty nakłoni. Był to człek stary, bardzo zamożny, majster dobry, ale przytém zawadzący i nie łatwy do użycia. Wsunął się do izby w swym skórzanym fartuchu, oczerniony od węgla, i nim się namyślono jak do niego przemówić, stanął w progu pytając o rozkazy.

Właściciel wioski był człowiekiem dobrodusznym i nieco miękkim, spojrzał na Karola, widocznie się wahał. Karol postrzegł, że musi na siebie wziąć wszystko i przystąpił do majstra śmiało.

— Panie majstrze, rzekł, ja tu jestem gościem i z daleka, zajechałem do waszego dziedzica pytając o kowala, mam robotę dużą; ile zarabiacie dziennie?

— To tam bywa różnie, ale ja się odednia nie najmuje, rzekł kowal.

— Wszystkoć jedno, odpowiedział Karol, najmiecie się jako zechcecie, ale pojedziecie ze mną.

— Gdzie bym ja zaś miał jechać? czy to ja cygan, żebym się za robotę włóczył, jest jój w domu, ledwie człek nastarczy.

— A ja wam mówię, że pojedziecie przerwał przybyły, sprawa pilna.

Kowal spojrzał bystro w oczy Karolowi, kiwnął nań ręką i cicho mu szepnął.

— Czy to kosy oprawiać?

— A no tak.

— To czemuż od razu nie mówicie, insza rzecz, szparko do dał majster, niech jegomość daje wóz, zabierze się co się patrzy i pojedzie się.

To mówiąc szeroką dłonią uderzył się w piersi i dodał:

— Jużcie to mospaneńku, od żołnierza się krew należy ojczyźnie a od kowala pot, mospaneńku, co się winno to się robi.

Karol aż go poskoczył go uściśnąć a dziecko który go wcale nie znał takim patrjotą, stał zdumiały. Kowal był wesół, po kręcał osmalonego wąsa i rzekł do swego pana!

— Jegomościuniu się na mnie patrzycie jakbyście się dziwili, a pozwólcie sobie powiedzieć jedną prawdę. Ot dziś jak przyszło do ważnej sprawy, toście nie wiedzieli, czy kowal szelma, czy poczciwy człowiek? A czemu tak? Bo nigdyście do kowala nie zagadali o czém inném jak o żelzie, a gdybyście mu byli do serca zastukali odezwałoby się ono, dobrodzieju.

To mówiąc pokłonił się i szparko wyszedł na wóz ładować. Tymczasem podano jedzenie, przyszły kobiety pełne ciekawości jak ten pierwszy powstaniec wyglądał, spodziewały się jakiegoś stroju wyrazistego, jakichś cech widocznych, i zdumiały wielką prostotą powierzchowności gościa. Rozmowa naturalnie toczyła się o Warszawie, o prześladowaniach moskiewskich, o rozpoczynającym powstaniu narodowym, ale nie mogła trwać długo bo czas był krótki, a tuż i doktor, którego posłane konie niedaleko od wsi spotkały, nadjechał.

Był to młody Izraela, Polak, który niedawno nauki ukończył w Berlinie, chłopak bardzo miłej powierzchowności, wykształcony, pełen talentu, ale utrapiona gorączka. Nigdzie na miejscu długo wytrwać nie mógł, potrzebował nużącego zajęcia aby zbytek życia jaki w nim był wyszafować. Leczył najczęściej darmo bo był sam z siebie dość zamożny, jedynie dla tego aby mieć praktykę, o prócz tego grał na fortepianie, śpiewał, rysował karykatury, bawił się chemją i mikroskopem, pisał wiersze i zakochiwał się co trzy dni. Wszystkie te zajęcia razem jeszcze go nie wyczerpywały, pełen był życia, a życie to w jego żyłach płynęło młodzieńczym weselem, z czarnych oczów

i ust rumianych zdawało się buchać i tryskać. To téż doktor Hensch pożądanym był w każdym towarzystwie i do każdego umiał się wybornie zostosować. Z uczonemi polemizował do upadłego, po łacinie, po niemiecku po francuzku, po angielsku, po polsku. Wsalonach arystokratycznych mówił o Londynie, Paryżu, modach i drobnostkach; ze studentami był burszem, a na wsi prawie udawał szlachcica, choć, prawdę powiedziwszy, to mu się najmniej dobrze udawało. Karol, który nie wiedział jeszcze, który z lekarzy przyjedzie pierwszy, niezmiernie się ucieszył ujrzawszy go, bo w istocie był to człowiek nieoszacowany w takich okolicznościach Hensch ledwie stanął na progu już się począł upominać aby co prędzej jechać do obozu, ale mu to nie przeszkodziło dowcipnie opowiedzieć przygody swęj podróży, uśmiechać się do siostry gospodyni, poznać z dziećmi, a nawet pobrzdakać ną fortepjanie. Chociaż tego miłego gościa radzi byli zatrzymać gospodarstwo, musiano go wszakże puścić bo i on i Karol spieszyli. Zaprzężono konie, przywiązano do wozu wierzchowca osiodłanego, którego gospodarz ofiarował i miano wyjeżdżać gdy w bramie zjawił się Wojtek zadyszany, na chłopskim koniku.

— A tyś to gdzie bywał? zapytał go Karol.

— Eh! nie proszę jegomości, ja tu za interesem jeździłem i powracam.

— Cóż to za interes?

— To z tym szynkarzem, proszę pana, mruknął, potrzeba go było powiesić to się go powiesiło.

Karol aż wzdrygnął się na bryczce.

— Gdzież? co? kto wam rozkazał?

— A proszę pana wszystko się wedle porządku zrobiło. W obozie go osądzili, że szelma zdrajca, potem my pojechali, ale nawet z księdzem co go wypowiadał, zawieźliśmy go o dobrych dwie mile żeby nie blisko obozu wisiał, a tam mu już sosnę dobrali jak się należy, postronek, proszę pana, nowiuteńki, i bardzo to porządnie się wszystko zrobiło.

Karol był w rozpacz, ale Wojtek ani mógł zrozumieć żeby się inaczej stać mogło, i powtarzał tylko.

— A kiedy mu się to należało!

Z tem przykrém wrażeniem dojechali do obozu razem prawie z kowalem, który zaraz kuźnię sztyftować zaczął. Zdala już las się rozlegał pieśnią „Boże coś Polskę“ ogromnym chórem nuconą, i weselszym niż rano gwarem. Mimo

złój pory jakoś teraz wszystko szło ku lepszemu, przybyły zapasy, nadeszło trochę broni, rozstawiono placówki i gdy wjechali w pośrodek, razniej było spojrzeć na dzielną tę młodzież, która wszakże podobniejszą jeszcze była do jakiegoś wyprawy lowieckiej, niżeli do wojska. Rozmaitość strojów, i uzbrojeń nadawała temu obrazowi barwę bardzo oryginalną. Przypomina sobie każdy co widział Warszawę w kilku swobodniejszych chwilach, jak dziwne stroje przybrała była młodzież wylamując się z długiej niewoli, która nawet odzieży dotykała. Wszystkie niemal te kontusze, żupany, pasy, konfederatki, jasnych kolorów czapeczki, klanry z orłami, godła polskie dawno nie widziane o białym dniu, występowały tu jako protestacja narodu po długoletnim ucisku. Każdy wdział na tę wielką uroczystość powstania, co miał najulubieńszego sobie, co mu najwięcej do serca mówiło. — Dobyto z starych kryjówek przyrdzewiałe szable, Janiny z godłem Sobieskiego, Augustówki, karabelle konfederatów Barskich, głównie z Kościuszkowskich czasów, pałasze spiące w pochwach od Grochowa i Wawra wychodziły teraz na świat znowu walczyć za tę Polskę za którą przeszli ich posiadacze poginęli.

Niektórzy mieli dubeltówki, rewolwery, lub

nawet czerkieskie szaszki. Wśród téj rozmaitości strojów, ukazywały się i na prędcie poszyte mundury i sukmanki; chłopskie uświęcone kociuszkowską pamiątką. Przypływ nowych wojowników ożywił bardzo obóz, liczba ich wzrastająca dodawała otuchy, a widok broni już rodził chęć do walki. Jednakże połowa prawie ludzi nie miała jéj jeszcze i właśnie dla tych potrzeba było choć piki przysposobić. Obóz rozdzielił się teraz na grupy wedle naturalnego powinowactwa, charakterów, powołań, koleżeństwa i sympatji. Prace bieżące zajmowały część większą. Czeladź kowalska urządziła już kuźnię na prędcę, inni ciosali drzewca do pik, inni gotowali jedzenie. Przy ogniskach lano kule, wyrabiano ładunki. Pod jednym z szalasów czeladź krawiecka z Warszawy przerabiała surduty na kurtki mundurowe.

Karol, który był obóz porzucił w chwili odrętwienia, uradował się dusznie widząc go tak gwarnym, ożywionym, wesołym, i zajętym pracą. Większa część twarzy biednych wychodzców była rozjaśnioną, kilka tylko między niemi tęsknotą powleczonej smutnie odbijało. W jednym kątku na pieńku siedział ksiądz Łukasz z tabakierką w ręku i zagrzewał ducha póhrubaszną, napół po-

bożą przemową. — Mimowolnie postać ta przypominała Schillerowskiego braciszka w obozie Wallensteina.

Ale było tam prócz niego mnóstwo figur oryginalnych zupełnie naszych, i nigdzie w świecie trafić się nie mogących. Wielu z nich najżywsza imaginacja poety stworzyć by była nie mogła takimi, jakimi ją utworzyło życie. Doktor Hensch wpadłszy w to ruchawe mrówisko ludzkie uczuł się aż do exaltacji rozplómienny widokiem młodości, która życie niosła na obronę i wyzwolenie kraju. Nie miał jednak czasu długo się rozpatrywać, bo go powołano natychmiast do chorych. — Leżeli oni w wykopanej wczoraj ziemlance tak niewygodnie iż pierwszą radą lekarza było przeniesienie ich do wioski.

Właśnie w chwili gdy się z Karolem wciśkali do téj smutnej jamy służącej biednym zbiegom za schronienie, wyszedł z niej blady i zapłakany mężczyzna, na twarzy jego malowała się boleść wielka. Na zapytanie Karola wskazał tylko ręką posłanie; w kątku na płaszczu leżał tam młody człowiek, którego Hensch rękę ująwszy upuścił smutnie. Był to już trup tylko, pierwsza ofiara przyniesiona ojczyźnie. — Dwóch ich braci, synów wdowy ubogiej, wyszli jednego

dnia w lekkiej odzieży grzejąc się sercami i zapalem. Starszy z nich, silniejszy, przetrwał kilka dni niewygód głodu i zimna, młodszy zasłabł przybył do obozu z gorączką i już z tego łoża suchych liści, nie powstał.

Widok tej zżółkłej twarzy z otwartymi ustami, leżącej jak ją śmierć pochwyciła, był w istocie przerażający. Jedną ręką trup jeszcze cisnął do piersi krzyżyk przez matkę dany przy pożegnaniu.

Nicopodał od niego drugi w gorączce majaczył, przysniwały mu się, niebezpieczeństwa, moskale, bitwy, zrywał się niekiedy i chciał biec na wroga, ale osłabły padał, to znowu w pośród szale jasną wstęgą przesuwały mu się przez głowę jego wspomnienia młodości weselszej, ukochanej, którą pożegnał przy wyjściu z domu, i zabaw młodzińczych. . . .

Hensch spoważniał przypatrując się tej poważniejszej stronie wielkiego obrazu, który w sobie wszystko od śmierci aż do śmiechu i wesela zawierał. Wezwany widać do umarłego za późno nadbiegł też i ksiądz Łukasz z brewjarzem i modlitwą, a gdy lekarz klękał nad chorem badając puls i przemyślając nad lekarstwem, drudzy tymczasem zając się musieli nieboszczykiem, którego zaraz z szalasu wyniesiono.

Nie można było odwlekać pogrzebu, aby tym obrazem śmierci nie osmucać obozu w którym swoboda ducha i wesołość były warunkami koniecznemi. Chciano nawet odniósłszy ciało na bok pogrzebać je na ustroniu po cichu, ale płaczący nad nim brat i otaczający do koła towarzysze jęli nalegać na księdza, ażeby się to odbyło z jakimś chrześcijańskim obrzędem. Należało oddać cześć pierwszemu, który umarł dla ojczyzny.

Trumny dostać było niepodobna, ani ją zrobić tak na prędce sam brat ułożył to ciało na spoczynek wieczny, z krzyżykiem macierzyńskim w rękach, obszyto je płaszczem jak całunem a kilku ludzi poszli przodem na wzgórkę pod starym dębem wykopać mogiłę.

Zmierzech już był dobry gdy się ukończyły przygotowania. Z kilku grubych gałęzi zrobiono nosze na które trup był włożony. Przodem szedł ksiądz z krzyżykiem w rękę, w komży i stule, odnawiając modlitwę za umarłych, za nim parami towarzysze i przyjaciele zmarłego; czterech z nich, a między nimi brat, nieśli na ramionach ciało, na czarnym płaszczu który je okrywał, przyszyto krzyż z białego płótna, zamiast świec, służyły trzymane w rękach rozpalone drzazgi łuczywa

do pochodni podobne. Powoli smutny ten orszak pociągnął na wzgórze, gdzie widać było mogiłę oświeconą wielkim stosem rozpalonych gałęzi sosnowych.

Dziwnie uroczo i fantastycznie malowało się to w mroku nocnym, przyémionym jeszcze mgłą gęstą. Spuszczono zwolna ciało biednego młodziana do grobu pod splecionemi starego dębu gałęzmi, a w téj chwili zwykłym wojskowym obrzędem, kilkadziesiąt wystrzałów rozległy się po lesie żegnając wojaka. Ksiądz ukląkł, odmówiono Anioł pański, sypnęła się ziemia garściami i wkrótce dół napelniła. Pierwszy brat który klęczał i modlił się dotąd, wstał nagle, otarł łzy z oczów, i niepewnym głosem zanucił „Boże coś Polskę“. Pieśń ta była jakby mową pogrzebową dla pocziwego chłopca który umarł dla téj Polski....

Cały obrzęd przejął jakimś wrażeniem smutku wszystkich co mu byli przytomni. Postrzegł to ksiądz Łukasz i gdy się pieśń skończyła a wszyscy już rozchodzić mieli, postawiwszy skromny krzyż w głowach grobowca, dał znak ręką, iż mówić pragnie.

— Bracia! rzekł oto pierwsza ofiara, którą pan Bóg wybrał z pomiędzy nas, ale żołnierzom

Chrystusa i ojczyzny smucić się i płakać nad nią nie przystało. Wszyseśmy się ofiarowali, jednego przyjęto tymczasem, aleć to kolój nasza żołnierska, a dalej i wszystkich ludzi. Umrzć to nie, ale pocziwie, jak on, to sztuka. — Cieścić się tedy nie płakać! Pan Bóg zadatek wziął, ale reszta długu na naszych ramionach. Więc bracia, nie do łez bo to babska rzecz, ale do roboty, do rusznic, do siekier i chwalić Najwyższego, że tego chłopczykę słabego prędcój wziął oszczędzając mu tego co my jeszcze mamy przed sobą!!

Otarłszy oczy, bracia, pomodliwszy się w imię Boże, każdy do swego, a kto nie będzie wesół, powiem, że jest małego ducha. Amen.

Tak wyrzekłszy nad mogiłą nie z wielkim krasomówstwem ale serdecznie i zrozumiale, sam pierwszy skierował się ku obozowi i odszedłszy kroków z piętnaście wysunął tabakierę z rękawa, a choć mu łzy na twarzy nie oschły począł unyślnie szablankować aby drugich rozerwać.

Brat ostatni powlókł się za wszystkiemi ze spuszczoną na piersi głową.

W karczemce na kraju lasu nazajutrz pod wieczór, odbywała się równie smutna, rozpaczliwsza jeszcze może scena. Tam przywieziono trupa powieszonego szynkarza, a młoda jego żona siedząc nad nim na ziemi, wyła z płaczu rwąc sobie włosy na głowie. Dzika ta namiętna istota, podnosiła się rozpaczą wielką aż do heroizmu prawie; żal jej po mężu wyrażał się tak przejmująco, że kilku ludzi stojących w progu, truchleli patrząc na nią. Chwilami zrywała się i z zaciśnionemi pięściami, z rozpuszczonym włosami biegła do progu, jak wściekła rzucając się na nieomych i chłodnych świadków swojej boleści, którzy pierzchali przed tą furją przelekli. Była to kobieta zaledwie dwudziesto-kilko letnia, twarzy wschodniego typu, namiętniej i bardzo pięknej. Z palającemi czarnemi oczyma, z których krew zdawała się zamiast łez wytryskać, z zmarszczonemi

brwiami, z usty rozdartemi krzykiem i pokąsaniem z bólu, podobną była do starożytnej Medei. Niekiedy przyklękiwała przy trupie całując go, mówiąc do niego, rzucając mu się na piersi zimną, to znów z podniesioną głową, ze złamanemi rękami, chodziła po izbie płacząc i sama mówiąc do siebie. W straszném jęj łkaniu był czasem dziki śmiech, to żałość dziecięca, to ryk zranionej wilczycy, która szczeniąt wydartych szuka. Chodząc tak, to biła się o ściany, to padała, to jak zdrętwiała stawała patrzeć na trupa milczącego i dwa długie łez strumienie lały się jęj z oczów na obnażone piersi. Chciano natychmiast pogrzebać zmarłego, ale kobięta zatrzasnęła drzwi, pogroziła ludziom i zamknęła się z nim sama. Chociaż obawiano się, aby w tę rozpaczę nie dopuściła się nad sobą samobójstwa, nie wiedząc co czynić, ludzie się rozeszli i musieli ją tak z ciałem wisielca zostawić. Do późnej nocy ciemno było w karezemce, ryk tylko płaczu chwilami wylatywał aż na pole, potem ucichło wszystko, drzwi się otworzyły, kobięta stanęła w progu, wyciągnęła pięść w stronę lasu i zawołała:

— Zemszczę się, zemszczę! Nikt nie tknie więcęj jęgo ciała, nikt się nie będzie urągał mogile!! nie! nie!

I zażegnawszy garść słomy wsunęła ją w strzechę, patrząc jak powoli płomyk rozdymany wiatrem pełzał po dachu i wjadał się w suche drzewo domostwa. Zamknęła drzwi, usiadła na kamieniu, podparła twarz na rękę przypatrując się z dziką radością pożarowi.

Ubrana była jak od święta, włożyła najnowsze suknie, strój, w którym jćj było najładniej, wszystkie bogactwo swoje, w kieszeniach brzęczały pieniądze, na palcach błyskały pierścionki. I była dziwnie piękną z tą wypłakaną rozognioną twarzą i zwierzęco uśmiechającemi się usty. Budynek gorzał powoli, pilnowała go, aby nic zń nie zostało, spadające wiązki słomy podkładała pod ściany, a gdy pułap przegorzawszy runął, porwała się na nogi, pobiegła do okna, pięścią wytłukła szyby, spojrzała. Belki, słoma, szczątki dachu pokryły całe ciało nieszczęśliwego, twarz tylko blada, jakby umyślnie aby ją raz jeszcze widzieć mogła, cała była odsłoniętą. Włos na głowie płonąć zaczął, potem w dymie i płomieniach wszystko znikło.

Kobięta odstąpiła od okna, poszła kilka kroków drogą, odwróciła się jeszcze ku pożarowi, popatrzała i nagle zanuciła jakąś pieśń wesołą,

szaloną, która buchala z niej jak płomień na zgłiszczach; urywała się, wracała, gasła!

Gdy ludzie z bliskiego dworu nadbiegli, postrzegliższy pożar, znaleźli już tylko gasnące pogorzelisko a w niém kupkę niedopalonych kości.

Nazajutrz rano w karczynie o milę ztamtąd, nieznajoma kobieta jakby obłąkana, jakby nieprzytomna, siedziała na kolanach moskiewskiego oficera i z jedną z nim szklanki piła herbatę z rumem. Szeptali coś do siebie po cichu, ona się uśmiechała do niego, a kapitan rodem Kałmuk, który jak był żyw, o takiej piękności ani marzyć nie śmiał, zdawał się gotów dla niej nawet carowi się sprzeniewierzyć. Wieczorem było wielkie u kapitana przyjęcie, na którym owa kobieta z wypłakanemi oczyma, ale uśmiechającemi się usty, pozawracała głowy wszystkim porucznikom, a stary nawet major ofiarował konia kapitanowi, żeby mu tę krasawicę odstąpił.

Rano moskale wysłali szpiegów pod obóz powstańczy, kobieta poszła sama z niemi przebrawszy się za wieśniaczkę. Znała ten bór przytykający do karczyny w której się urodziła, gdzie mieszkał dawniej jej ojciec, jakby jej był własnym. Nie potrzebowała ścieżek, aby się wedrzeć w głąb jego. Kilka razy stykali się w drodze

z przybywającymi do obozu i wysłanymi z niego. Kobięta im dopomogła ominąć i zmylić strażę. Gdy było potrzeba zbliżała się sama do placówek, zaczynała rozmowę, uśmiechała pokusą; a mru-gała na towarzyszków, aby tymczasem nie postrze-żeni się przemknęli, i doprowadziła ich tak aż do wzgórza i dębu u którego pogrzebiono pierwszą ofiarę. Tam ukryci o zmroku, patrzali długo w obóz i liczyli ludzi i rachowali broń, a śmiała kobięta wdarła się aż do środka, aby lepiej podpatrzeć co się tam działo.

W chwili gdy udając wieśniaczkę, przesuw-iała się między szalasami, Wojtek który na pniu siedział, postrzegł jęj twarz, poznał ją, i jak błyskawicą przeleciała mu myśl o szpiegach. Nie mówiąc nic nikomu, szepnął parę słów towarzy-szowi, aby ją mieli na oku, ukrył się sam, ale ją śledził niespokojnie: zaczepiono ją tu i owdzie biorąc za markietankę. Piękna jęj twarz obu-dzała ciekawość, wszakże umiała się przemknąć nie zatrzymana i wyslizgnęła się już z pośrodku szalasów, kierując ku mogile, gdy Wojtek, który ją miał na oku, ostrożnie za drzewy się kryjąc w ślad za nią iść zaczął. Było z nim trzech czy czterech uzbrojonych, którzy mu krzakami dołem przedzierając się, towarzyszyli. Po ruchach i wej-

rzeniu bojaźliwém nieznanomój kobiety, z kierunku jój kroków, Wojtek już był pewnym, że to była szynkarka której twarz raz widziana utkwiała mu w pamięci. Szedł więc ścigając ją i dojrzał ukrytych dwóch ludzi których z sobą przyprowadziła. Wskazał natychmiast tym co z nim szli, niechcąc alarmować obozu; był pewny, że ich osaczy i pochwyci. Ale gdy się zbliżyli, ludzie owi pierzchnęli, dano ognia, krzyk dał się słyszeć, zerwali się wszyscy w obozie, puściła się pogoń. Nie schwytano jednak nikogo, na ziemi i krzakach widne były ślady krwi przez kilkadziesiąt kroków, potem znikły. Napróżno najlepiej znający las trzęśli wszystkie jego zakąty, nikogo nie znaleziono. Ale przytomność Wojtka ocaliła od zagłady ten pierwszy oddział ledwie się przygotowujący do boju. Nie ulegało wątpliwości, że moskale wyszpiegowawszy go, korzystając z téj chwili nieprzygotowania, napaść zechcą jutro. Natychmiast więc należało myśleć o przeniesieniu się w inne lasy sąsiednie o parę mil odległe, które wązką szyją zarośli i błot łączyły się z puszczą. Chorych potrzeba było wziąć na nosze, kuźnie i rozpoczęte roboty zaniechać, a samym z północy, w ściśniętej kolumnie, którą poprzedzały ruchome strażę, puścić się na oznaczone miejsce.

Gdy to postanowiono, zaledwie pozostawało dosyć czasu, aby na naznaczoną godzinę wszystko było w gotowości. Ruch wielki powstał w obozie, ale nie było tam popłochu, ani pośpiechu zbytniego, który równie szkodliwym bywa jak lekko-myślna opieszałość.

Znalazło się kilku starych wojskowych, którym wspomnienia służby dozwoliły pokierować zwinięciem obozu i bezpiecznem posuwaniem się na miejsce wcześniej przygotowane i opatrzone.

Nie był to odwrót ale konieczne przesiedlenie się, nimby się siła ta, z tak różnych złożona żywiół, czas miała zorganizować się, skupić i uzbroić, zyskanie na czasie było wielką wygraną.

Nie dając się rozpraszać ludziom, jeszcze do posłuszeństwa i karności nie nawykłym, obwarowawszy się z przodu i zabezpieczywszy od napaści niespodzianej na tyle ciągnącego obozu, ruszono w nocy przez lasy pod przewodnictwem ludzi pewnych. Pochód ten przez puszcę nie był łatwym, ale nikt nie szemrał, bo wszyscy przygotowali się do niebezpieczeństw i znoju. Ostatni opuścił obozowisko, brat zmarłego pochowanego pod dębem, który pomodliwszy się na mogile, ujął strzelbę przysięgając pomstę na wrogach ojczyzny... Wkrótce w to miejsce tak przed chwilą gwarne,

znowu wróciło milczenie, niedogasłych kilka ognisk, wykopane doły, rozrzucone szalasy i szczątki drzewa świadczyły tylko, że je niedawno opuszczono.

Mimo najsurowszych rozkazów, trudno było kilkuset ludzi utrzymać w milczeniu i głuchy szmer leciał ponad tą zwolna poruszającą się kolumną... której księżyc wschodzący przyświecał. Lekki przymrozek wysuszył powierzchnię ziemi i pochód ten znacznie ułatwił. Chociaż łatwiej było przez pola dostać się na obszerne obozowisko nowe, postanowiono wszakże przedzierać się lasami, aby jak najmniej śladów po sobie zostawić... Kapitan służył za kwatermistrza...

Jeszcze nie ze wszystkiém wygasły ognie starego obozowiska, gdy, wiedzeni przez kobietę z ręką związaną krwawemi chusty, moskale otoczyli ostrożnie całą tę część lasu, którą niedawno zajmowali powstańcy... Czekał ich zawód wielki, gdyż pierwsi wysłani na zwiady, dostrzegli, że już powstańców tam nie było... Kapitan dowodzący, który był dotąd w tyle armji swój, dowiedziawszy się że nieprzyjaciela nie ma w domu, wyrwał się naprzód z kilku oficerami i przybiegł opatrywać obozowisko... Chodzili po nim długo, usiłując z zajętego miejsca obrachować siłę, ale rachuby

ich ściśle być nie mogły, gdyż obóz ochotników wedle stałych prawideł nie był urządzony.

Złożono radę wojenną przy mogile.

Dostrzegłszy krzyż, i domyśliwszy się w niej trupa, nie mogli wytrwać pijani żołdacy aby nie zbezczeszili grobu. Ludzie bez serca nie poszanowali nawet śmierci, obalono znak zbawienia, rozkopano miękką jeszcze ziemię, dobyto z grobu nieboszczyka, wywleczono, odarto do naga, a dzicz poczęła się pastwić nad nieszczęśliwymi zwłokami...

Kobieta z ręką postrzeloną, pierwsza przybiegła śmiejąc się nasycać tą igraszką bezbożną godną kannibalów.. jej szatański śmiech zachęcał do niej i podżegał...

Odartego do naga, zaczęto ubierać.. włożono mu na głowę kapelusz stosowany z sinego papieru, przybito szlify, obwiązano szarfę, w usta skostniałe wbito fajkę i tak strojnego przywiązano do pnia drzewa — kawałem postronka... Żołnierze i szynkarka, pobrawszy się za ręce, poczęli nucić piosnkę jakąś hulacką i tańcować. Najdowcipniejszy z bataljonu, postawił tymczasem nad rozkopanym grobów szczątków drzewa małą szubieniczkę, a dla wyrazistości zawiesił na niej minjaturowy stryczek ze sznura....

Naniecone ognisko oświecało tę scenę, która

dać może wyobrażenie o charakterze Moskali w całej téj wojnie ich z nami; jest to rys nie zmyślony, ale blado jeszcze i nieśmiałą ręką powtórzony z rzeczywistości. Ani wiek, ani boleść, ani stan, ani nawet ta śmierć, która zwykła przejednywać wrogów, nie powstrzymały nigdy rozwścieklonej tłuszczy, gdy miała do czynienia ze słabszymi. Nie jeden raz z rozkazu jenerałów tańcowali na mogiłach świeżo rozstrzelanych powstańców, dobijali rannych, cięli żywcem na kawały, darli skórę, obcinali nosy i uszy..... zadawali najprzemysłniejsze męczarnie. Ani suknia kapłana, ani świętość kościoła, ani majestat ołtarza i krzyża nie opamiętały téj dziczy pogańskiej, godniejszej imienia zbójców niż żołnierzy.

I tu téż kapitan pół pijany, ani młodzi porucznicy nie myśleli wzbronić profanacji grobu, której towarzyszyły dzikie śmiechy i skoki. Starszyzna nigdy nie śmiała sprzeciwić się wyuzdaniu żołdatów, nie mając nad nimi żadnej władzy — najnniejszą z ich strony oznakę ludzkości poczytywano za zdradę, i współczucie dla buntowników. Kapitan postanowiwszy ścigać powstańców, nie spieszył wszakże z pochodem za nimi, był mocno przekonany, że dosyć będzie

napaść ich by rozproszyć. Po wypoczynku i wypiciu herbaty przy mogile, dano rozkaz cichy do wymarszu... Na powozce kapitana jechała kobieta z ręką skrwawioną, z włosiem rozezochranym.. i patrzyła w dal oczyma chciwemi. Gdy mijali trupa stojącego u drzewa rozśmiała się dziko, klasnęła w dłonie i zaśpiewała...

Ciągnęły tak dwa owe oddziały jeden za drugim... ostrożniejszy Karol, gdy się choć na chwilę zatrzymać przyszło, wysyłał strażę po za siebie, aby się przekonać czy nie jest ściganym. Roztropny Wojtek nad ranem przybiegł mu szepnąć, iż Moskale ciągną nie w zbyt znacznej liczbie, znużeni i podobno myślą broń w kozły postawiwszy godzinę u skraju lasu odpocząć. Nowina ta pobiegła z ust do ust.. myśl jak błyskawica przeleciała po sercach wszystkich, aby nie dając im czasu na wypoczynek napaść pierwszym niespodzianie. Wyższość ma zawsze pewną, ten co śmiało sam uderza na nieprzyjaciela. Karolowi do serca przypadała ochota młodzieży, ale się po troszę obawiał jój narazić nie rozpatrzywszy się dobrze. Wojtek się kłął iż żołnierze byli bez dział, bez koni, piesi i nie przechodzili o wiele liczby powstańców. Wszakże kapitan i Karol postanowili, kazawszy się przysposobić

do walki, ponabijać broń i uformować — sami przekonać się o sile i pozycji zajętej przez Moskali.

Objechali cicho lasem ich stanowisko, znaleźli w istocie rozłożonych na ziemi, w większej części śpiących, bez placówek, bezpiecznych i nie w zbyt przeważnej sile.... Można więc było szczęścia spróbować. Żołnierz napity, zmęczony pochodem, był senny, nikt się nie spodziewał i nie przypuszczał napadu. Gdy z tego rekonesansu powrócili do swoich, wrzała młodź rwąc się do pierwszej próby, gorączka jej może była ze wszystkiego najstraszniejszą. Po kilkakroć więc wydawszy rozkazy i przypomniawszy potrzebę i obowiązek posłuszeństwa, Karol rozdzielił na dwoje oddział, rozporządzając nim tak, aby na nieprzyjaciela ze dwóch stron mógł uderzyć. Przodem szli orężni, z tyłu kosy i piki, a że to było pierwsze starcie, wszystko pałało żądzą niezmierną spotkania....

Ostrożnie, po cichu, podkradając się, szli z obu stron lasem, a szczęście chciało by im nad ranem ciężki sen żołnierzy i ich nieopatrność dozwoliły tak się przybliżyć, iż na pierwszy okrzyk: „Wiara! polska!!“ dopiero się Moskale rzucili do broni...

Broń stała w kozłach, szyku nie było, strach ośwładał niemi aż do starszyny, pomieszane głosy, komenderówki sprzeczne, hałas, klątwy razem buclnęły, a tuż i powstańcy rzucili się wystrzeliwszy tylko, na żołdactwo... Ledwie dziesiąty pochwycić miał czas za karabin, połowa na ziemi rozrzucona została, którą natychmiast porwali nasi.. Moskale pod pozorem formowania się, rozbiegli na pole i w las.. nie było prawie z kim się bić. Kapitan rozbudzony, z głową obwiązaną fularem, latał z szablą dobytą i łajał co wlało. Udało mu się przecie wśród tego zamętu jakąś garść skupić i z nią porządną rozpocząć odwrót.

Nasi powstrzymywani przez Karola, który ich nie chciał na zbytnie wystawiać niebezpieczeństwo, parli się wszakże za Moskalami, część w ich własne uzbrojona karabiny... Obóz moskiewski, w którym przed chwilą biwakowali, był teraz w ręku powstańców, nawet jaszczyk zielony, ta arka ruska, w której spoczywa artel, papiery, ładunki, dostała się naszym. Jedną tylko powózkę z kobietą sam kapitan, konia wiodąc w ręku, wyciągnął ze sobą. Z obu stron wymierzono jeszcze kilka strzałów.. kilku ludzi padło rannych.. a na przodku i szczęśliwie otrzymanym

placu boju trupy moskiewskie.. rusznicami myśliwców obalone pierwszymi wystrzałami...

Wyciągnąwszy w pole nieco, gdyż zasadzki z lasu obawiali się, Moskale skupili się, zbili w kwadrat, ale po chwili namysłu nie chcieli rzucić się na powstańców zajmujących ich stanowisko dla odbicia łupów, sądząc że napastnicy, których liczby ocenić nie mogli, muszą być znacznie silniejsi, gdy się ich napaść odważyli. Karol zaś zabrawszy porzucone karabiny, jaszczyk ów zielony z ładunkami, trochę pieniędzy, nieco rańców i inne łupy mniejszej wartości, nie sądził także roztropnem ścigać nieprzyjaciela.. szczęśliwy że pierwsze zetknięcie było zwyciężkiem, cofnął się w las, na dawniejszą drogę i w porządku poszedł, wśród radosnych okrzyków młodzieży tryumfującej. Wielu z niej rwało się na resztki Moskalów, nie można im było wszakże dozwolnić wycieczki niebezpiecznej i rozkazy wydano najsurowsze, do dalszego pochodu...

Trudno jest odmalować uczucia tych kilkodniowych żołnierzy po odniesionem tak łatwem zwycięztwie, które niemal całe winni byli roztropnemu kierunkowi starego kapitana. Z jakim zapalem idąc zaśpiewali znowu chórem tryumfu Boże, coś Polskę!

Trudno téż opisać, z jakim wstydem ów oddział piechoty począł powolny marsz do wsi, z której był wyszedł przed dwudziestoczwierema godzinami. Stracił on kilku ludzi w zabitych, miał kilkunastu rannych, postradał zielony jaszczyk i kilkadziesiąt sztuk broni. Żołnierze zwlekli się jakoś z lasu i rowów, szło jednak o to, aby porażkę utaić i postanowiono powracać aż w nocy, a zakazano rannym i zdrowym słowo pisać o całym tym wypadku. Kapitan, który czuł, że na nim największa ciężka odpowiedzialność lajał od ostatnich słów podkomendnych, porucznicy przeklinali unteroficerów, unteroficerowie zwalali winę na ospałość żołnierzy, słowem każdy siebie uniewinniał, a na drugich zrzucał odpowiedzialność. Postrzeżono że i ten, co pierwszy krzyż na mogile obalił, i ci co się nad trupem pastwili, wszyscy od pierwszych padli wystrzałów. Był to wypadek, ale w nim poczuli mściwą rękę Bożą. Nakazawszy jak najsurowiej milczenie, dowódzca rozbił tą razą obóz w czystem polu i postanowił doczekać nocy, aby po cichu wrócić do wioski.

Tymczasem nasi zajmowali pod szczęśliwą wróżbą miejsce na nowy obóz przeznaczone, a otrzymane zwycięstwo ożywiło ich, rozpromie-

niło i dodało otuchy. Zdobyty wóz, oprócz nieznacznej summy pieniędzy, zawierał zapas ładunków, który się przydał bardzo, proch kule i pistony. Same karabiny szacowniejszym jeszcze może były łupem. Cieszyli się też niemi, a nadewszystko bagnetami, ci co je pochwycili.

Nowy obóz otoczony także był lasem, a z drugiej strony obwarowany głęboką rzeczułką, do której przystęp nie był łatwy. Puszcza, na której brzegu się rozkładał, ciągnęła się daleko i pełna była tych osad leśnych chat gajowych i leśników, w których chorzy i ranni pomieszczeni być mogli. W tém pierwszym spotkaniu kilku otrzymało kontuzje od kul, ale straty w ludziach nie było. Ranni, między którymi i gorący Wojtek się znajdował, tak się chlubili i cieszyli swojemi ranami, jak czasem dzieci nową sukienką lub jakimś podarkiem, który w ich oczach dojrzałszemi je czynił. Rana jest chrztem żołnierza, czuje się już prawdziwym obrońcą ojczyzny, kto za nią choć kroplę krwi przelał.

Niedługo jednak wolno było spoczywać, musiano wrócić do tych samych prac, które pochód był przerwał, ustawiono ogniska i miechy dla kuźni, zaczęto szyć mundury, a starszyzna spisywała ludzi, dzieliła ich, wymustrowywała.

Tak upłynęło dni parę, w spokoju, trochę broni nadeszło różnemi drogami, ale zasilek ten nie był znaczny. W większej części myśliwska i licha, ledwie na pierwszy poskok służyć mogła, a że ludzi nienastannie przybywało, i dzień nie minął w którym by kilkunastu, nawet kilkudziesięciu nie zwiększyło obozu, brak więc jej coraz mocniej czuć się dawał.

Tymczasem moskale, po wstydliwiej dla nich porażce, przybywszy do wioski, choć milezeli przed obcymi, przed komendą utaić jej nie mogli. Dowodzący w okolicy pułkownik był w rozpacz; chciał koniecznie powetować klęskę nim by się o nią wyższe dowiedziały władze. Ściągnąwszy więc siły ze wsi okolicznych, wezwawszy secinę kozaków z miasteczka, wziąwszy dwa małe polowe działa, rozesłał szpiegów do koła dla wyszukania powstańców. — Nie było tak trudno o nich się dowiedzieć, ale zajęta dosyć mocna pozycja ostrożność nakazywała. Przez parę dni rozmyślano nad planem wyprawy, naostatek oddziały wyruszyły dwoma kolumnami. — Szeroka droga przecinająca las z tyłu, za obozem powstańców, dozwoliła jednej z nich tył im zająć, gdy druga rachując na to, że zaalarmowani cofać się będą przez rzeczkę na pole, ustawiła się tu z działami

aby więci we dwa ognie ująć nie mogli. Szczęściem ranny Wojtek naczelnik policji obozowej, bo go tak na śmiech zwano, miał konszachty i stosunki w sąsiednich wioskach, zwietrzył plan zawczasu i bądź co bądź wolano opuścić obozowisko niżeli w nim czekać sił przeważnych. Nim więc z tyłu drogę zajęła nieprzyjacielska kolumna, powstańcy w porządku przerznęli się na nią i wyciągnęli w pole pod las, w miejsce gdzie się ich wcale znaleźć nie spodziewano. Tym sposobem mogli mieć do czynienia z jedną tylko częścią oddziału, druga bowiem oddzielona dosyć znaczną przestrzenią i rzeczką gniłą do przejścia trudną, na której wcześniej popalono mosty, nie mogła tak szybko nadciągnąć. Pochód ten odbyto tak pośpiesznie, że nieprzyjacielski oddział w kilka godzin po przejściu drogi leśnej zaczął ją dopiero zajmować. Wysłani przodownicy w stronę obozu znaleźli tylko ognie, doły, trochę węgla i pustkę. Plan cały został chybiony, oznajmiono drugiemu oddziałowi, a nasi zyskali tym sposobem kilka godzin czasu. Nie na rękę było zapewne przyjmować bój z nieprzyjacielem gdy pilniejsze było zorganizowanie się i uzbrojenie. Wreszcie w partyzanckiej wojnie oddziały zawsze się tak poruszać powinny aby same niepokoiły, napadały nieprzy-

jaciela, ich rzeczą są utarczki a nie bitwy, powinni nużyć szarpać, ścigać, więcej niż walnego szukać boju, ale w téj chwili trudno było zetknięcia uniknąć. Oprócz dwóch wspomnianych oddziałów inne także moskiewskie kręciły się po okolicy, ażeby się przerznąć w głąb kraju musiano z jednym z nich walczyć.

W obozie powstańców ruch panował wielki, nie skrywano przed sobą niebezpieczeństwa. Wojsko to młode uszykowane było na polance pod lasem otoczonej zaroślami, szykowano broń, ostrzono pałasze, a ksiądz Łukasz włączszy na pień krzyżykiem błogosławił i urywanemi słowy ducha krzepił.

— Wszystkim mówił, *in articulo mortis*, daję rozgrzeszenie, kto umrze pójdzie prościuteńko do nieba, śmierci się niema co bać, daleko lepszy tamtem świat niż ta brudna kałuża, w której my tutaj jak żaby się pluszczem, a za ojczyznę umierać wielkie szczęście i nie każdemu je Pan Bóg dał. Wszak ci to za tę słodką wolność, której za naszego życia nie kosztowaliśmy, potykać się będziemy. I dodał zażywając tabaki, z moska-
lem, bracia kochani, to tak jak ze złym psem, jeśli podgiąwszy polę znykasz to ci lądki oberwie, ale popędź no go tylko to podtuliwszy ogona

będzie ci drapał aż się za nim zakureczy, na bezbronnego to oni chwaty, ale z mężnymi ostróżni.

Mówił to właśnie, a niektórzy się mu uśmiechali potakując, gdy z lasu ukazały się pierwsze strażę nadchodzącego oddziału. W tej samej chwili bez niczyjego rozkazu jakby prąd jaki ognisty przeleciał piersi wszystkich, i jednym głosem zanucili:

Boże coś Polskę...

O krzyk ten był hasłem rozpoczynającej się potyczki, chmura moskali, z dzikiem wyciem, poczęła się walić z lasu, a strzelcy rozsypani do koła ognia dawać ku powstańcom. Ze strony ich rzucili się także w krzaki ochotnicy lepić strzelający biorąc na cel moskali. Z obu stron zdawano się przez chwilę namyslać. Dowódcy naszego oddziału badali siłę przeciwnika i rozpatrywali się czy nie było z drugiej strony jakiej zasadzki. Zaledwie Bernardyn złazł z pieńka gdy gęsto świstać zaczęły kule, a Moskwa z wielkiem hura! puściła się na powstańców. Wytrzymali oni pierwszy wystrzał, przypuścili dość blisko i dopiero wzięwszy dobrze na cel, dali ognia całym szeregiem. Na przedzie stali najwprawniejsi strzelcy, to też prochu nie zepsuli

i z szeregu ubyto dużo ludzi, tak że szyk się zmieszał, i pochód wstrzymał na chwilę, ale ufając w liczbę, moskale zaraz ponowili atak, który znowu strzałem odepchnięto. Gorętsi z powstańców bez żadnego rozkazu wysforowali się naówczas pędem na część kolumny, ale wpadli na mur bagnotów nie mieli broni.

Zacięta walka rozpoczęła się i trwała długo. Widocznem było, że moskwa chciała otoczyć, od lasu odciąć i zmusić ich do poddania. Ale choć ze strony powstańców gorsze było uzbrojenie, lik mniejszy i niewielka wprawa, bo wszyscy niemal raz pierwszy walezyli, zapal był tak szalony, tak zuchwały, taka zjadłość w młodziży, iż moskale którzy raczej krzykiem i hukiem spodziewali się przerazić, niżeli walczyć zacięciem, poprobowawszy raz i drugi natarcia choć nie pierzchali, widocznem było, że szli miękko i jakby wątpiąc o sobie. Z téj chwili niepewności potrzeba było korzystać. Tłum cały w ściśniętych szeregach poczał od lasu wychodzić w pole, przebił słabo opierającą się kolumnę i powolnym marszem, w pośrodek wzięwszy wozy i bagaże, wyszedł na równinę.

Moskale, strzeliwszy kilka razy, ścigać go nie myśleli. Z ich strony ranny był major, który

wyprawą dowodził, ubitych kilkunastu, rannych bardzo wielu.

Ale i nasi ponieśli znaczne straty, po większej części w tych którzy zbyt zapalili i niedoświadczenie życiem opłacili.

Kilku wyrwało się tak naprzód, że ich skłuto bagnietami, innych mieli czas wzięść na cel. Wojtek dostał drugi postrzał w nogę nie niebezpieczny, ale bolesny. Doktor Hensch, który nie opuszczał obozu wyjął mu kulę, a poczeiwe chłopie, kulejąc się powlokło z uśmiechem na ustach.

— A już też ta bestja stary Jerzy, co mi wszystko oczy kłó, że ze mnie nigdy żołnierz nie będzie, nie powie teraz że nie żołnierz; jak święty Tomasz, kiedy mu jeszcze będzie nie do wiary . . . to niech palec włoży.

Bernardynowi choć stał na uboczu przestrzelono kaptur, ciągle się też dziwował dla czego nie głowę i powtarzał.

— A gdybym był choć odrobinę w tył się pochylił co by było?

— Był byś jegomość leżał w piasku, mówił Wojtek jak ten poczeiwy cyrulik z Warszawy, który i Jezus Marja nie krzyknął, stał bliźniutko przy mnie, kulka przyszła pocałowała go w same czoło i tak nieboraczek zadarł nogi, nawet się

zeniną nie pożegnawszy. Ażebys jegomość widział, mówił dalej jak się na niego moskale rzucili, tylkośmy się z tego miejsca odsunęli. Kolo żadnej panny tyle się garderobianek nie uwija co tam kolo niego bylo po śmierci przyjaciół.

Ja przystałem za krzaczkiem bo mi ta kula zawadzała okrutnie, patrzę, pełźnie jeden, macnał go, a że widać musiał być ciepły, dla bezpieczeństwa pełnał go jeszcze w samo serce bagnietem. Ale bestja z kalkulacją, bał się surduta podziurawić to mu go wprzód rozszpilił. Potém obejrzał buty czy warto zdejmować, dalej do kieszeni, do jednej, do drugiej jak go zaczął, padam jegomości, patroszyć, jak zaczął obracać, ten sobie, ten sobie, tak w kwadransik obrali go jak orzeszek z lupinek i leżał se jak go matka narodziła. Już co do tego to moskał sprawny jest jak nikt! Nie było kieszonki żeby nie zajrzeli. Jeden nawet gdzieś slyszal, że bywają w guzikach imperjały bo i te zaczął pruć, takie to bestyjstwo łakome...

Tak opowiadał Wojtek w czasie gdy ostrzeżliwani zdala szli powolnie w kierunku drugiego lasu po za którym spodziewali się połączyć z oddziałem o którym Karolowi dano znać rano. Stary kapitan wrócił był do swojej wioszczyny; w czasie bitwy instynktem wiedziony sam Gliński dowodził.

W znaczniej już byli od moskali odległości gdy siadając na podanego konia poczuł jakieś niezwykajne ciepło w prawej nodze. Wiedzą to wszyscy co bywali w boju, że otrzymana rana nigdy się w pierwszój chwili czuć nie daje chyba by była bardzo ciężką, dopiero krew płynąca zdradza ją swem ciepłem. Karol chwycił się za nogę i teraz dopiero postrzegł, że but miał pełen krwi, a ból przykry odezwał się nagle, Hensch jechał koło niego.

— Co to jest? zdaje mi się żem ranny, dopiero teraz spostrzegł? zobacz, no!

W surducie i reszcie ubrania okrągłe otwory świeczyły o przejściu kuli, ale w tój chwili nie podobna było opatrywać rany, potrzeba było czekać aż przyjdą na stanowisko, krew tylko zataimowano nieco, i tak posuwali się dalej. Ból był tak przykry, że na koniu usiedzieć prawie nie dawał, pieszo iść było ani myśleć, a marsz trwać musiał do późnego wieczora.

Chociaż drugi oddział moskiewski, który miał zająć stanowisko za rzeczką, obejrzawszy się, że powstańcy z obozu swego wyszli, dążył do połączenia z pierwszym aby razem z nimi ich ścigać, nie mogło się to jednak stać tak prędko.

Po potyczce moskale obdzierali trupy, pili na

pobojowisku czaj, opatrywali rany, zrucali jedni na drugich winę że co do nogi nie wybili buntowszczyków, wszystko to dosyć zabrało czasu. Drugi zaś oddział musiał przejść rzeczkę, której brzegi były przepaściste, tak że oba razem ledwie się zeszły nazajutrz rano. Moskwa otrzymawszy plac cieszyła się niby jakimś zwycięstwem. W raporcie do wyższych władz, napisano że dowódca został zabity, poległych podano prawie tylu ile było żywych, a o reszcie wzmiankowano tylko że się w bezładzie rozpierzchli. Zwycięstwo to wcale inaczej wyglądało na miejscu, ale ponieważ u moskalów o tem o czém oni nie chcą żeby wiadzano, mówić nie wolno, a w gazetach zagranicznych gdy kto prawdę napisze, nie nie kosztuje bezczelnie zadać kłamstwo, *Dziennik powszechny* głosił ogromny tryumf, kompletne rozbicie, a pan major z podpułkownikiem mogli bezpiecznie po tak wielkiem powodzeniu oręzą, trochę na laurach odpocząć.

Tymczasem oddział Głińskiego posuwał się dalej dla połączenia z drugim, o którym już wspomnieliśmy, pod dowództwem Berdysza.

Niewiem czy w którejkolwiek wojnie dowódcy tak jak w naszej umyślnie dowolne przybierali nazwiska, jakby dając do poznania że się wyrze-

kają nawet sławy i że nie dla próżnej chęci popisu czynić nie będą. Piękny to jest rys naszej epoki. Człowiek w ten sposób nie mogąc się podierać ani imieniem ani przeszłością, musi wysłużyć sobie i wywalczyć sam wziętość, zaufanie i uszlacheć to imię które dobrowolnie przyjął... Przyczyniło się może do tego obyczaju bezduszne prześladowanie, ścigające nie tylko ludzi ale niewinne rodziny, wszakże jest w tém coś więcej niżeli prosta obawa tyranji.

Berdysz, dowódzca drugiego oddziału, był równie młodym jak Karol, równie zacnym, ale daleko zapamiętalszym i namiętniejszym. W Glińskim przemagały zalety prawdziwego wodza pełnego odwagi, ale razem chłodnej krwi i poważnej rachuby; Berdysz był partyzantem szalonym, zjadłym, unoszącym za sobą żołnierzy, ale mogącym też w zapale ich i siebie pogubić.

O mroku po za lasem, który oddzielał ich od moskali, dwa bratnie hufce spotkały się w polu, oddział Berdysza z wielką chorągwią karmazynową, na której błyszczał orzeł biały, cały był złożony z młodzieży najgorętszej i dobrze zbrojnej. Na przedzie jego jechał dowódzca na dzielnym kasztanku, w pasowej krakusce na bakier, z szarfą przez plecy, pistoletami za pasem i szablą u nogi.

Wyglądał dziwnie malowniczo ze swemi ogromnemi wąsami i wyrazistą fizjonomiją. Niegdyś zawołany myśliwy, osobistego męstwa niezłomnego, rubaszny, wesół, ochoczy do wybitój i wypitój; Berdysz był z tego rodzaju ludzi, którzy w wojnie dokazują cudów, ale długo przetrwać nie mogą i czuć się zdają że ich rola świetna krótką być musi... Oba oddziały pozdrowiły się ogromnym okrzykiem: Niech żyje Polska!

Stanęły, zbliżyli się ku sobie dowódcy, zaczęli witać żołnierze, a gdy ujrzano pokrwawionych, zapal wzrósł do najwyższego stopnia.

W obu hufcach było mnóstwo znajomych z warszawskiego bruku, nie jeden z zadziwieniem witał tu kogoś którego się ujrzeć nie spodziewał. obu połączenie to dodało otuchy i było wielkim ducha zasilkim. Łały się lzy a uśmiechały usta, co kto miał dzielił z nowemi towarzyszami broni. ksiądz Łukasz wlaższy na wóz podniósł ręce, modlił się, błogosławił i płakał, tłumnie opowiadano szczegóły dwóch potyczek.

Korzystając z téj chwili wypoczynku Karol, który straszliwie cierpiał, krew tracił i dłużej na koniu utrzymać się już nie mógł — poprosił Henscha aby mu cokolwiek ranę opatrzył. Właśnie zbliżał się do niego Berdysz, a ujrzawszy

krew zamiast przywitania poczał go ściskać, całować prawie ze łzami.

— O! szczęśliwy ty człowiecze, patrzcie! dwa razy już się z moskalami starł, i ranny! Pozwól, krzyknął niechże ci tę ranę wyssam, niech skosztuję tej pierwszej krwi wylanęj za ojczyznę! Ale spodziewam się, dodał, że to mała rzecz.

Karol się uśmiechnął choć zęby miał zaciśnięte z bólu i rzekł cicho:

— Zapewne że to mała rzecz być musi: ale Hensch który w tej chwili ranę sondował chcąc kulę dobyć, która w niej została, podniósł głowę ku Berdyszowi, dając mu do zrozumienia że mogła to być rzecz nie tak mała jak im się zdawało. W istocie kula zgruchotała kość, weszła głęboko i na prędko tak z raną poradzić sobie było nie można. Hensch wniósł ażeby zrobić nosze, utwierdzić je między dwoma końmi i przewieść tak dalej Karola w miejsce bezpieczne. Sam Gliński który się ludził z początku że mu ta rana dowództwa nie odejmuje i do walki nie przeszkodzi, poczuł teraz iż na dłużęj niż myślał przyjdzie oddział opuścić. I Berdysz przypatrzwszy się z bliska ranie, posmutniał.

— Jeżeli chcesz, rzekł, dłużęj ojczyźnie być pożytecznym, potrzeba ci bracie poszukać gdzie

spokojnego kąta i wylizać się nieco. Ale o to nie będzie trudno, pierwszy dwór szlachecki jaki spotkamy na drodze, gościnnie cię przyjmie, a tym czasem ja ci twoich zuchów zachowam, i jak wydobrzejesz oddam ci ich, spodziewam się, w całości. Dziś, dodał żywo, wypada nam koniecznie posunąć się jeszcze ku miasteczku nie więcej ztąd nad milę oddalonemu, tam wnijdziemy jutro rano, bo trzeba i kasę zabrać i mieszczan rozruszać, i w żywność się zasposobić.

Stańło tedy że, korzystając z czasu, oba oddziały żywo posunąć się miały tak, aby na nocleg stanąć o kilka stai od K... Berdysz bardzo słusznie postanowił aby po nocy do miasta nie wchodzić, oddział nieco przybrać i wnijsć z pewną uroczystością, któraby na ludzie zrobiła wrażenie...

Miasteczko leżało w równinie nad rzeczulką płynącą niskimi łąkami. Z téj strony jego były wzgórzyste pola przecięte wesołemi gajami, z drugiej ciągnęły się łąki a za niemi w dali czerniały pasma lasów i świeciły szerokie stawy. Niewielka ta osada oprócz mieszczan katolików liczyła znaczną ludność izraelską. Trakt który wtedy przechodził dodawał jój życia; większa też część mieszkańców trudniła się furmanką, reszta rzemiosłami, wyrobem skór, rolnictwem.

Od obozu na wzgórzu widać było jak na dłoni całą mieścinę skupioną do koła rynku, przy którym stał starożytny murowany kościółek. Dalej nieco czerniała gątaniami kryta synagoga ze swemi oryginalnemi daszkami i przyczółkami. Jedną połac placu zabierały skromne drewniane kramiki, resztę dziedziniec kościelny obwiedziony murem i liczne zajezdne domy, między którymi

prym trzymał tak zwany „hotel warszawski“ i „hotel paryski“. Oprócz tego było kilka skromniejszych zajazdów rozmaitego nazwania, po za miasteczkiem w szeroko rozrosłym parku stał ładny pałacyk dziedzica do którego wiodła alea kasztanami wysadzana. Dziedzic, tytułujący się hrabią, od dawna był za granicą.

Już nocą gdy obóz pod miasteczkiem rozłożono u dwóch wielkich karczem, pilnując aby przedwcześnie nie dano wiedzieć w mieście o przybyciu oddziału, cudownym jakimś sposobem, wieść o nim doszła do miasteczka. Można by czasem sądzić, że u nas wiatry usługne nowiny roznoszą, w nocy wiedziano już o zbliżaniu się powstańców na probostwie, u burmistrza, u kilku znaczniejszych mieszczan. Pleban, zacny staruszek, który pamiętał dobrze rok 31, niespokojny był o swoich parafian, czy też godnie obrońców ojczyzny przyjąć potrafią, chodził po pokoju, łysinę tarł, ale tak już było późno, że nie wiedział jakby się ludzi poradzić. Już miał chłopca posyłać do burmistrza gdy zastukano do drzwi i po głosie poznał nadchodzącego.

— A to jakby wiedział, rzekł, że mi do niego było tak pilno! istny cud!

Burmistrz, wąsaty szpak otyły, zażywny; choć

się nie przyznawał, ale także służył w trzydziestym pierwszym roku w narodowych szeregach, serce mu też w piersiach skakało na wieść o powstaniu. Z tą samą myślą z którą proboszcz chciał posyłać do niego, on przybiegł do proboszcza.

— Jegomościuniu, rzekł stawiając łaskę w kąciku i całując staruszkę po ramionach, Jegomościuniu, jak pana Jezusa kocham, wielka nowina, jutro będziemy mieli gości!

— Co to ty myślisz, panie Jędrzeju, że ty mnie co nowego powiedziałeś? a toć ja od godziny potnieję w gorączce myśląc o tém, i już miałem mojego drapichrosta posyłać do waszmości, żeby się z nim poradzić. No cóż myślicie? czy pozamykamy im drzwi i milczkiem tak te poczeiwe dzieciska zbędziemy?

— A! ojcze dobrodzieju, ale to jutro za niemi ani chybi przyjdzie siła tych stupajków i dopieroż nas tu oporządzą!!

— Słuchaj no, panie Jędrzeju, jak te kapuśniaki się przywloką, to choćbyśmy jak zółwie siedzieli w skorupie nie uwierzą, żeby nam do swoich serce nie zabiło, już co ma być to będzie, a co trzeba zrobić to należy po Bożemu.

— Więc jak jegomość radzi?

— Jak ja radzę? Słuchajmy serca, a jutro,

choćbyśmy odpokutowali, no to będziemy cierpieć za wiarę i ojczyznę. Jegomość panie Jędrzeju przysposób prowiant i przyjęcie uczciwe, bo to i zgłodniałe i zbiedzone i z moskalami się już tłukli, słyszę, jegomość myśl o ciele a ja będę o duszy. Wyjdę z bractwem, z chorągwiami, na spotkanie, a w dzwony każę walić choćby miały popękać. Boć to my nie z przykazu najezdników, ale braci żołnierzy przywitać i pobłogosławić mamy. Dobrzeby było żeby i starszyzna z mieszczan i żydzi z rabinem wyszli na spotkanie, ot co ja mówię, panie Jędrzeju.

— Ale co moskale powiedzą? rzekł cicho burmistrz tuląc głowę między ramiona.

— Może być, nie zaręczę, że jegomości dadzą sto, a mnie też z jakie pięćdziesiąt, uwzględniając na starsze lata, ale powiedz mi panie Jędrzeju, jak będziemy cicho siedzieli, czy to jegomości zapewni, że ci téj saméj poréj przyszedłszy nie dadzą? Mają oni słusność, bo jużciż myślą sobie, to są Polacy, cóż by to byli za trutnie, gdyby nie zasłużyli w taką porę choć na sto batogów? Więc, widzisz panie Jędrzeju, że jak masz Jegomość wziąć sto, a ja pięćdziesiąt, to weźniemy przynajmniej nie darmo, moskalowi oszczędzim

grzechu, a sobie wstydu, prawda czy nie? panie Jędrzeju?

— Ono to prawda, ojcze, rzekł ożywiając się burmistrz. Niech im tam diabli wezmą, człek się przynajmniej choć jeden dzień swobodą pocieszy, braci wyściska i taki naszego orła ślicznego, naszego orła białego znowu zobaczy ulatującego w powietrzu na krwawej, dziewięcią wiekami farbowanej krwi tysiąca pokoleń, chorągwi.

Burmistrz zapłakał, zapłakał i ksiądz zaczęli się ścisnąć, poplakali jeszcze mocniej, aż tu do drzwi stukają i słyszą głos starego mieszczanina Strzepy.

— Śpi ksiądz probosz?

— Chodź, chodź, a gdzie tam śpi? gdziebym ja tam spał!

Strzepa ogromny suchy drab, łysiuteńki jak kolano ale za to z wąsem jak wiecha, wprost przypadł do proboszcza ściskając go za kolana. Z wielkiego pośpiechu i zmęczenia tchu mu w piersi a głosu w ustach brakło.

— Tatuniu nasi idą! oddział ogromny, a my śpiemy, a jak jutro przyciągną? i bochenka chleba nie znajdą? he?

— Cyt! cyt! toć radzim.

— A! ojciec żeby wstydu nie było! zawołał Strzepa.

Burmistrz złapany na uczynku trochę się znowu zląkł i przybrał minę urzędową, ale mu to prędko odeszło.

— Pan burmistrz, rzekł Strzepa, jako człowiek urzędowy nie wypada, żeby się tém bardzo zajmował, ale tylko pozwólcie mi, ja lecę i wszystko jak należy przysposobię. Piekarze niechaj przez całą noc chleb i bulki sposobią, pójdę i po rzeźnikach żeby mięso było...

Burmistrz był wielce rad, że go to uwolniło od zbyt widocznego występowania; przyrzekł jednak ze swęj strony po cichu wszelką pomoc i współdziałanie. Strzepa, chodził niemal jak oszalały, ściszał proboszcza, całował burmistrza, a nalegał na to, aby miasteczko wstydu sobie nie zrobiło.

Nazajutrz też jak świt, gdy obóz ruszył z rozwiniętą chorągwią, z Berdyszem na czele, który sobie na ten dzień pióro białe przypiął do czapeczki, nim się zbliżyli do grobli która w główną prowadziła ulicę, już wszystka ludność wysypała się na ich powitanie. Rynek był pełen, ulica ustawiona, w oknach głów co nie miara, na dachach chłopcy poprzyczepiani jak grzybki. Jeszcze

oddział był na drugiej stronie grobli gdy w kościelne dzwony wszystkie zaczęto bić wesolo jakby na Zmartwychwstanie Pańskie. Proboszcz w kapie z krzyżem w ręku szedł na spotkanie, a za nim chłopak z wodą święconą, bractwo z chorągwiami, mieszczanie, kahal, rabin i żydzi. U samych wrót miasteczka zaszedł im drogę proboszcz z błogosławieństwem, zsiadł z konia Berdysz, przyniesiono i raunnego Karola, a staruszek płacząc kropił ich święconą wodą i żegnał krzyżem świętym. Nadeszli potem mieszczanie, przyszli żydzi ściskając i całując tę piękną rzeczka młodzieź, która szła tak ochotnie na moskiewskie jatki.

Piękna to i uroczysta była chwila, gdy razem z tym tłumem wykrzykującym „Niech żyje Polska“ pociągnęli do kościoła panu Bogu podziękować, że choć na chwilę dozwolił starć polskiej chorągwi rozwinać się w powietrzu. I zagrały organy i uroczyste ze łzami odśpiewano „Te Deum“ temu wielkiemu zwycięztwu, a potem „Boże coś Polskę“. Wszystek lud na cmentarzu i po kościołach wtórował tej pieśni, która pozostała najwybitniejszym wyrazem dzisiejszej wojny za niepodległość.

Nie jest to bez znaczenia jakimi pieśniami charakteryzują się epoki; mazurek Dąbrowskiego

polonez Kościuszki, Trzeci Maj, mazur Chłopskiego, naostatek nad te wszystkie piosenki sto-kroć uroczystszy wielki hymn, śpiew pełen majestatu i pieśń męczeńska „Boże coś Polskę“ i „Z dy-mem pożarów.“ Wielkie były i tam usiłowania i ofiary ale przy dzisiejszych wyglądały jak ma-zury przy pieśni kościelnej. Epoka, społeczność, walka, przybrały rozmiary epiczne; nie zaprzeczy nikt, że różnica którą wskazujemy, nie jest przy-padkową, ale znaczenia pełną.

Po wyjściu z kościoła, oddział przyjmowany przez mieszczan i gościnnie między nich rozdzielony, poszedł posilić się i spocząć nieco. Rozstawiono jednak placówki do koła, aby moskale nie-spodzianie ich tu nie zachwycili. Gorętsi pobiegli zdzierać orły czarne moskiewskie i rozbijać je gdziekolwiek się znalazły; zabrano kasę i jakiś mały magazynik w którym było trochę butów i płaszców soldackich. Dzień dla młodzieży przeszedł wesoło, ale w hotelu warszawskim, gdy doktor Hensch z miejscowym lekarzem, opatrywali ranę dowódcy, posępnie widać było twarze. Rana rozogniona kilkogodzinnem pochodem, pełna drobnych obłamków kości, nabrała dosyć niepokojącego charakteru; Gliński wszakże stoicko znosił cierpienie a nie chcąc by je drudzy z nim po-

dzielali, starał się uśmiechać i udawać więcej siły niżeli miał w istocie. Przyszli go tu odwiedzić i ksiądz proboszcz i stary Strzepa, naradzano się gdzieby go bezpiecznie ukryć, ale w miasteczku wystawionem na wojsk przechody i kwaterunki nie było żadnego domu w którym by za rannego bezpieczeństwo ręczyć można. Jednogłośnie więc radzili wszyscy przewieźć go na wieś na ustroniu położoną, opodał od gościńca. Proboszcz ofiarował konie swoje i stary koczobryk, który, jego zdaniem nosił jak kareta, ale rzeczywiście trząśł gorzej od prostego woza. Wojtek postanowił odprowadzić Karola, nie żeby swoją także ranę pieścić na wsi, ale z troskliwości o człowieka, do którego się przywiązał; znał oprócz tego okolice, a nawet pana wioski, szlachcica, który chociaż miał niemieckie nazwisko, ale lepszym był Polakiem od wielu na ski. Dwóch jego synów już było w lesie, starzy z córkami siedzieli na wsi myśląc tylko jakby się czemś krajowi przydać mogli. Doktor Hensch jechał z Glińskim także, czując że życie jego było drogiem, a rana zbyt ciężką aby ją na lada cyrulika zdać można. Wlokąc się noga za nogą po niedobrej drodze sławnym tym powozem księdza proboszcza, o którym Wojtek powiadał, że mało w nim sobie zę-

bów nie powybił, tłukąc jednemi o drugie, zbliżyli się do ustronnęj wsi owęj dobrze pod wieczór. Cicho tu było i spokojnie po owym mieskim gwarze, kilka psów zaszczeakało w dziedzińcu, żuraw skrzypiał u studni, a z folwarku dolatywała przez czeladź nucona ta pieśń tak już dziś upowszechniona „Boże coś Polskę“.

Gdy bryka stanęła przed gankiem, Hensch poszedł uprzedzić gospodarza o kłopotie który mu przywiózł. W jednę chwili, jakby czarodziejską różeczką dotknięte, zbudziło się wszystko, i pan i pani i dwie ich córki i służby ze światłem wyszli na ganek, wnieśli rannego na rękach, a że trzeba było przewidywać możliwe jakie odwiedziny moskali, umieszczono go zaraz w tyle domu w jednym z pańskich pokojów, gdzie było najciszej a zdawało się najbezpieczniej. Sławna to gościnność polska od wieków, w całym dziś świecie nie ma kraju, co by się w tym względzie z naszym mógł porównać: chwałę angielską swobodę wiejskiego życia i wygodę jakiej goście po zamkach moźnych doznają; ale żeby być przyjętym w Anglii, potrzeba być znanym, a gościnność jest tam udziałem bogatych, gdy u nas najbiedniejszy dworek dla nieznajomego otwiera się człowiekowi, i jest w nim każdy jakby synem, jakby bratem.

Stary pan Werner, jego żona, córki, wszystko to natychmiast zajęło się chorym. Ojcu i matce własni synowie przyszli na myśl, i lzy stanęły im w oczach, bo Gliński wiekiem i twarzą bardzo ich przypominał. Wnet cały dom był na Henscha rozkazy, z takiem uczuciem serdeczném, jak gdyby winien był jeszcze wdzięczność za ciężar który mu przyniesiono. Obmyślono zaraz wszelkie środki na wypadek jakiegoś poszukiwania i najazdu moskali. Karol miał uchodzić za jakiegoś siostrzeńca samęj pani chorego na gorączkę. Hensch cały wieczór spędził u jego łóża, pilnie śledząc skutki znużenia, opatrywania, podróży, a wreszcie samęj rany, która go wielce niepokoiła. Jedna z panien czuwała dla posługi w sąsiednim pokoiku; Karol czuł się jakby w rodzicielskim domu.

Tymczasem po spoczynku w miasteczku, w którym długo zatrzymywać się ostrożność nie pozwalała, oddział pod wieczór wyruszył w sąsiednie lasy, nie chcąc dłuższym pobytem narażać mieszkańców na następstwa walki. Wysłani na zwiady donieśli, że moskale połączywszy się i trochę wypocząwszy, powoli w ślad ruszali za powstańcami. Pożegnawszy pocziwych mieszczan, Berdysz objął komendę i wyszedł w przeciwną stronę burząc za sobą mosty i psując groble.

W miasteczku na noc jeszcze wyglądzano moskali, nie bez obawy, gdyż ukazanie się ich wszędzie i zawsze dzikie i barbarzyńskie zostawiało po sobie ślady. Domniemywano się téż, że o radosnym przyjęciu doniosą usłużne szpiegi i że za nie pewno pokutować przyjdzie. Strzepa, który się najwięcej uwijał a miał nieprzyjaciela w jakimś odstawnym żołnierzu, zemknął bez śladu; burmistrz chodził blady i niespokojny, ksiądz modlił się ale ducha nie tracił.

Rano niedowierzając jeszcze czy w miasteczku nie było zasadzki, wpadło kilkunastu kozaków cwałem przebiegając puste ulice. Po drodze, dla wrażenia mieszkańcom poszanowania prawej władzy, rozdali kilkadziesiąt bizunów pomiędzy przechodzących bezbronnych, kobiety i dzieci; napiwszy się wódki którą sobie podać kazali, i za którą naturalnie nie zapłacili, wrócili nazad ku oddziałowi powoli posuwającemu się groblą do miasteczka, za niemi wyszło kilku z hałastry miejskiej osobistych nieprzyjaciół Strzepy, burmistrza i proboszcza, spiesząc moskałom opowiedzieć o wczorajszym przyjęciu. Majorowi było to bardzo na rękę, że pod pozorem pomsty nad źle myślącemi, mógł sobie w miasteczku pohulać. Soldactwo wpadło doń jak na pastwę, rzucając się na mieszkańców.

Proboszcz właśnie był wyszedł ze Mszą świętą przed wielki ołtarz, gdy wykomenderowani przez majora żołnierze aby go przyprowadzili, wpadli do kościółka. Świętość miejsca nie powstrzymała pijanych, rzucili się do ołtarza, a gdy staruszek zajęty modlitwą wołania ich słuchać nie chciał, gwałtem porwali jak stał, w ornacie i mszalnym ubraniu, i okładając naliajkami pociągnęli go przez ulicę do hotelu Warszawskiego, w którym była główna kwatera pana majora. Ludność, która kochała bardzo proboszcza, biegła przerażona za czeredą tych zbójów, ale kozacy rozpędzali płazując bez miłosierdzia; ksiądz przez całą drogę szedł ze spuszczoną głową, po cichu się modlił, a na twarzy jego nie widać było ani zbytniego przestachu, ani nawet zdziwienia, bo od wczoraj przygotował się na podobne obejście. Major był stary pijanica, chciwy grosza, żołdak bez serca i wykształcenia. Stojąc z fajką w ustach w progu karczmy, patrzył na tę scenę śmiejąc się, będąc pewny, że z przerażonego starca wyciągnie co zechce. Gdy się ksiądz przybliżył i on i kapitan zaczęli głośno szydzić i urągać.

— A co batiuszka, nie ma waszych polaczków coście ich tak wczoraj wesoło przyjmowali,

ażeby was z moich rąk wyrwali? dostaliście się w moskiewskie łapy! ha! Będzie bięda!

Ksiądz milczał, zdawało się jakby go to wcale nie obchodziło, co się wkoło niego działo.

— No, słuchaj stary, co to dziś i gadać nie umiesz?

— Kiedy kapłana porywają od ołtarza ludzie bez Boga i wiary, cóż do nich mówić? rzekł stary proboszcz.

Major nie dobrze zrozumiał, ale zimna krew staruszka rozjątrzała go coraz mocniej, przypadł do niego z pięścią i zakrzyczał:

— Słyszysz, stary popie, co ty tu wczoraj robił? ty przyjmował powstańców, bił we dzwony i błogosławił?

— A tak, odparł proboszcz, nie zaprę się, cóżes ty chciał, żebym ich przeklinał?

— Ty pójdziesz w Sybir, buntowniku!

— A no to pójdę, stary jestem, a czy mi zemrzeć tu czy tam, dusza do Pana Boga trafi.

Major tą zimną krwią starca dziwnie był jakoś zmieszany, sam nie wiedział co dalej poczynąć.

— No, dosyć tej rozmowy, ja będę wielział co dalej robić, a tém czasem, hej żołdaci, zamknąć go do chłéwa.

Jeden z urzędników ośmielił się szepnąć na ucho majorowi, że takie postępowanie z księdzem porwanym od ołtarza, może na niego samego ściągnąć odpowiedzialność przed wyższą władzą; ale major podpily już, rozjątrzał się coraz bardziej tą zimną krwią z jaką proboszcz znosił upokorzenie i groźby. Rozkazał zwlec ubranie z staruszka i oddał go w ręce żołdatów. Burmistrz był także przytrzymany, kilku innych mieszczan tłumaczyło się, a w tłoku przed hotelem jakiś obdarty podejrzanej miny, po cichu się ofiarował za pośrednika między rozgniewanym majorem a głównymi winowajcami. Widocznie rzecz była ukartowana na obdarcie, ale proboszcz gdy do niego przyszli z tą propozycją, oburzył się tylko strasznie.

— A co ja się mam opłacać! rzekł, niech sobie robią ze mną co chcą, pieniędzy nie mam, i wykupywać się nie myślę. Gdybym miał jaki grosz wołałbym go swoim dać.

Burmistrz mniej w tym względzie delikatny, wziął wszystko na siebie, złożono pewną kwotę, i winowajcy z proboszczem wypuszczeni zostali do domów, ale żądano aby staruszek o swójem porwaniu z kościoła i całej przygodzie nikomu nie mówił. Na to się zgodzić nie chciał. Mru-

cząc poszedł wprost do kościoła mszę dokończyć, ale burmistrzowi wręcz odpowiedział:

— Wy sobie róbcie co chcecie, a ja o świętokradztwie raport napiszę, i kłamać a szczerzyć te bydlęta nie myślę.

W miasteczku rozstawione żołdactwo dokazywało jak gdyby go szturmem zdobyło, we wszystkich domach rozlegały się krzyki, z kilku wybiegali mężczyźni i kobiety poranieni.

Skarżyć się starszym było rzeczą daremną, bo i ci również sobie pozwalali. Ze sklepów i z domów rabowano w biały dzień, co kto zapragnął. Na téj rozpuszcie żołnierskiej znaczna część dnia upłynęła, wieczór się zbliżał, a komenda zabierała się noc w miasteczku przepędzić; było to dla mieszkańców groźbą nowych nadużyć i zaczynało już wchodzić w potajemne układy z majorem, aby sobie żołnierzy uprowadził co najrychlej, gdy kozacy za miasteczkiem stojący na straży wpadli w nie przerażeni z wrzaskiem wielkim, oznajmując, że z dwóch stron ciągną na nich powstańcy. W jednej chwili uderzono w bębny i cała ta dziec z chat i domostw zleciała się na rynek. Oficerowie powiadali na koni, nikogo jednak bliżej widać nie było. Szary mrok powoli osłaniał okolicę, mgła coraz grubsza o kilka kro-

ków widzieć dobrze nie dozwalała; odważni owi wojownicy, którzy z babami takich zuchów udawali, nie czuli się dość silnymi, aby miało stawić czoło niebezpieczeństwu. Na twarzy majora widać było niepokój wielki: wołał, posyłał, odwoływał nazad, łajał, kazał w rynku rozpalać ogień, żołnierzom stać pod bronią, a gdy wysłane powtórnie strażę wróciły bez żadnych wiadomości o powstańcach, kozakom co pierwszy popłoch przynieśli, na skórze wyliczono nagrodę za ich czujność.

Jednakże noc upłynęła wśród ciągłej czujności, o brzasku moskale pewniejsi że to były próżne strachy, poczęli drzémac od znużenia i od wódki. W tém nagle z wielkim okrzykiem razem zaświstały strzały z za chat i płotów. Moskale się zerwali do broni, ale już mieli na karku powstańców, którzy, podkradłszy się do miasteczka, otoczyli ich do koła. Major spał w hotelu, nim zakomenderowano, dużo się ludzi rozbiegło, wiele poginęło, reszty zbite w kupę w nieładzie cofać się poczęły. Owe jedyne działo stojące na rynku wprzód zostało zagwożdżone nim o niem pomyślano. Wśród strasznego wrzasku, strzałów i płomieni, które kilka strzech ogarnęły, obudzili się mieszkańcy, aby patrzeć na walkę, która w prędcę

zmieniła się w ucieczkę. Moskale bowiem wycofywali się z miasta na równinę, aby tam znowu przyjść do jakiegoś ładu.

Napad ten prawdziwie partyzancki, wykonał Berdysz bardzo zręcznie, pochwycił nieco broni, popłoszył nieprzyjaciela, ale nie myślał z nim formalnej staczać bitwy, i urwawszy co mógł, cofnął się nazad ku lasom. Gdy major zebrał komendę i chciał staczać bój nie było już z kim. Stracił ludzi, trochę broni, armatę mu zepsuto, wściekły też był, i nie mając przed sobą na kim się mścić, rozkazał, pod pozorem zdrady ze strony mieszkańców, w perzynę obrócić miasteczko. Krwawej tej sceny, która tyle razy w czasie wojny się powtórzyła, opisywać nie będziemy, dosyć jest znać usposobienie moskiewskiego żołnierza, jego bezdusznosc, okrucienstwo i chciwosc, aby sobie wyobrazić do czego się on posunąć może, gdy go nie nie powstrzymuje. Zrabowano plebanję, zbito starego księdza, splądrowano domy znaczniejszych mieszczan, a w gruzach i popiołach domostw wałaly się trupy kobiet, dzieci i starców...

Próżne były starania przyjaciół a szczególnież panny Emmy, aby zmienić postanowienie Jadwigi lub przynajmniej wstrzymać ją na czas jakiś od wyjazdu. Niespokojność o Karola, uczucie obowiązku wypędzało ją z Warszawy, a każdy dzień przewłoki zwiększał jej niecierpliwość. Zastanowiła się wszakże nad tém, że przy głuchych tylko wieściach o pierwszych potyczkach, w braku wiadomości przy najlepszej chęci, nie wiedziałaby dokąd się udać. Wlóczące się po kraju bandy moskali czyniły podróż trudną i niebezpieczną. Tak, oczekując pewniejszych wieści, panna Emma potrafiła przeciągnąć nieco pobyt Jadwigi w Warszawie. Wcale niespodziany wypadek przyspieszył jednak spełnienie dawno powziętęj myśli.

Tomaszek, który wyszedł razem z Karolem w pierwszych potyczkach bardzo się męcznie popisywał, dla tego też choć pragnął być razem

z Karolem, gdy ten został ranionym musiał się z nim rozłączyć i z oczów go stracić. W napa-
dzie na miasteczko z kolei Tomasz silnie został
cięty szablą przez kozaka, potrzebował się wyle-
czyć nimby znów stanął w szeregach. Nie po-
dobna go było wieść do państwa Wernerów, aby
na wieść tę zbyt nie zwracać uwagi. Tomasz
wraz z drugim warszawiakiem, po opatrzeniu rany,
wyprawiony został do stolicy. Miał on już tam
obmyślane bezpieczne schronienie, ale nie wy-
trzymał, żeby do swojej pani nie pobiedz. I je-
dnego wieczora, gdy Jadwiga tęsknie słuchała
wszystkich plotek, które jej przyjaciółka dla uspo-
kojenia z miasta przywiozła, zjawił się w progu
blady posłaniec z ręką na temblaku, Emma która
go pierwsza postrzegła z okrzykiem się ku niemu
rzuciła.

— Co to! tyś ranny? zawołała?

— A jakże proszę pani, kozaczysko poczę-
stował mnie, ale też bodaj że i jemu się tam te-
raz nie wiele należy. —

Jadwiga nadbiegła także.

— A twój pan? spytała.

Napróżno oczyma starała się Emma dać do
zrozumienia żołnierzowi, ażeby się z czém nie-
potrzebnie nie wygadał, człek to był nadto pro-

sty, zbyt zezery, aby pożyteczność kłamstwa mógł zrozumieć.

— Biliśmy się tego, rzekł i galancko nam się udawało, ale dowódzca dostał także kulą w nogę.....

Jadwiga załamała ręce.

— Kiedy?

— A! ono już dni kilka jakeśmy przerzynali się po potyczce z moskalami w boru.

— Niebezpiecznie??

— A kto to może wiedzieć? jechał ci to on z tą raną na koniu trocha, a potem go nieśli, a potem wieźli na bryczce, i doktorowie jakoś bardzo głowami kiwali; a było ich tam aż dwóch.

— Gdzież jest teraz?

— Ja tego proszę panienki wiedzieć nie mogę, ale to pewna, że musi być w miejscu bezpiecznym.

Długie milczenie panowało po tej smutnej wiadomości, która łązy z oczów wycisnęła Jadwidze.

— W której że to stronic? spytała:

Tomaszek jak mógł i umiał wskazał okolicę.

— Jutro jadę, rzekła Jadwiga, przecież się tam gdzieś dowiedzieć o niego potrafię. O mój Boże, dodała, tylu się naraża i wychodzi cało, a on!! nie dokończyła. Chciała prawie Bogu

czynić wymówkę, że ją tak boleśnym dotknął ciosem.

— Jadziu, rzekła do niej Emma, albo jesteś Polką lub nie; matki nie żałują jej swych dzieci, żony mężów; tyś nie powinna boleć nad ofiarą przyjaciela, ale być z niej dumną.

— Jestem też dumną, ale bolejąc, ofiara nie byłaby ofiarą, gdyby nie kosztowała!

Nie było już sposobu ani powodu wstrzymywania się dłuższego w Warszawie, Emma tylko rozmaitemi środkami wmówiła jej, żeby wzięły karetkę, drugi powóz, rozmaite zapasy, żywność, apteczkę i zręcznego chirurga.

Tegoż wieczora przygotowania poczynione zostały. Tomaszek, którego nie puszczono i kazano mu przenocować w tym domu, musiał przez wieczór cały opowiadać o wszystkiém z największymi szczegółami. W ustach prostego człowieka, który nie dodać nie umiał, ale żywą barwę wypadków pochwycił, opowiadanie to dziwnie stawało się zajmującym. Nie było w niem całości, ani żadnej na wrażenie rachuby, ale pojedyncze rysy, dawały się domyślać wiele, odgadnąć prawie wszystko. Największy artysta nie potrafiłby może malować to tak gorąco, i tak wyraziście. Emma płakała i ścisnęła Tomaszka, tak że kilka razy uraziła

mu rękę zranioną. Jadwiga eksaltowała się, unosiła, ale jakiś smutek niewytłomaczony mieszał się z uczuciem tryumfu i szczęścia. Z tego co Franciszek mówił, wniesć było łatwo, że Gliński nie lekką otrzymał ranę; pocieszano się wszakże, iż starania doktora i młodość, zwyciężyć niebezpieczeństwo potrafią.

Młot, który dotąd był jeszcze w Warszawie, a tegoż wieczora szczegółowe odebrał wiadomości o losach oddziału, którym dowodził jego przyjaciel, nadbiegł z listami nazajutrz rano. Chciał on utaić smutny wypadek, lub przynajmniej mało znaczącym go uczynić, ale przyszedł za późno; od niego więcj szczegółów dowiedziały się panie. Były już prawie na wsiadanem gdy nadbiegł, a widząc upakowane powozy, ze zwykłą sobie rubasnością, którą może chciał rozweselić Jadwigę, rzekł do niej.

— Nigdy bym nie śmiał być tak bardzo natrętnym, ale widzę, że się już pani waży na wszystko, a kiedy rusza do powstania mogłaby doprawdy i mnie zabrać z sobą?

Przyznam się, że jestem w wielkim kłopotcie, jak się z Warszawy wydostać. Mówią, że mnie strasznie szpiegują na rogatkach, ale fizjonomją mam tak niepoczesną, że gdyby pani się zlito-

wała a pozwoliła mi się na kozioł jako lokajowi, nikt by się we mnie przyszłego wodza wojsk powstańczych nie domyślił. . . .

— Z największą chęcią, odpowiedziała Jądwigą, zabieraj się pan i jedź, ale z jednym warunkiem; że w drodze uciec panu nie dam, musisz dojechać na miejsce. Pan masz tyle ducha, wesela i spokoju, że się niemi bezpiecznie z przyjacielem podzielić możesz; my kobiety przywieziemy mu łzy, słabość naszą, wszystko co otuchę odbiera. . . .

— A ja mam być buljonem czy winną polewką? spytał śmiejąc się Młot. Zgoda, będę się starał jak najenergiczniej i wzmacniając wystąpić, a w drodze spodziewam się także przydać choćby dla rozśnieszenia pań, bo nie macie zbytniego zapasu dobrego humoru. W powstaniu zaś dodał, jedno z dwojga, albo trzeba być bohaterem sześciołokciowym albo istotą wesolą, umierającą ze śpiewką na ustach i niezwalczoną żadem maluczkiem niepowodzeniem; Achillesem lub Zuawem, to co w środku zostawmy mo-skałom. . . .

Stało się więc, że panie podróż swą o kilka godzin odwłókły, a Młot przyszedł tak wybornie za brzydkiego lokaja przebrany, iż panna Emma

utrzymywała, że dla artystycznego prawdopodobieństwa trochę na brudno przesadził. Wyborny mimik, z fizjonomją ożywioną i palającą dowcipem, potrafił ułożyć minę takiego gawrona, iżby go nawet austriacki policjant o żadną styczność z politycznemi sprawami nie posądził.

Z południa tedy ruszyła karetą z lokajem fałszywym na koźle. Dwie panie wewnątrz, za niemi bryka ładowna, opatrzona we wszystko co się choremu przydać mogło, a na niej cyrulik udający także lokaja, ale tak panickykowaty, że go można było podejrzywać o arystokratyczne pochodzenie. Jak w dramacie Shakspaera, gdzie często w jednej scenie krew się schodzi ze śmiechem, tak w życiu nieustannie z najtragiczniejszych położeń wynikają sceny komiczne. Stało się, jak było przewidzieć można, na rogatkach Młot udający gapia sam poszedł z pasportami, mówił tak źle, że się od niego nie dopytać nie było można, ale cyrulika z wielką pilnością oglądano na wszystkie strony, mając w podejrzeniu, że mógł być jakim ukrytym członkiem Rządu Narodowego. Panna Emma na widok Młota, który w największym niebezpieczeństwie grał swoją rolę nadzwyczaj pociesznie, pękała ze śmiechu w karcie. Śmiech ten mimowolny może był przy-

czyną, że ich puszczano wszystkich nie posądzając, aby w bagażach osób tak wesołych mogły być jakie polityczne kontrabandy.

Ale wydostać się za rogatki było jeszcze jedną z najmniejszych rzeczy, kraj cały już był w rękach władz wojskowych, po drogach zatrzymywano wszystkich przejeżdżających, a oficerowie moskiewscy nie zawsze dawali dowody, nie powiem już cywilizacji, ale nawet uczucia ludzkiego przy spotkaniach z podróżnymi. Im mniej domyślni, im gorzej kraj znający, tém dziwaczniej czepiali się do wszystkich, często przepuszczając tych co się zatrzymania obawiali, a napastując najniewinniejszych. W ciągu pierwszego dnia podróży, Młot, który wiozł przy sobie dosyć papierów, aby za nie sześć razy być powieszonym, na chwilę nie stracił humoru, a do spotkanych Moskali czepiał się z taką bałwanowatą naiwnością, że jeden oficer uczynił na popasie uwagę tym panom, iż w podróż z tak nierozgarinionym człowiekiem niebezpiecznie się było wybierać. Tysiące drobnych scen komicznych ożywiały smutną tę podróż, a im bardziej się zbliżali do celu, tém Jadwiga niespokojniejszą była i smutniejszą. Już nawet nie wyczerpana wesołość Młota ożywić jęj nie mogła. Podróż zaś

sama przez kraj, który już nosił na sobie ślady barbarzyńskiego gospodarstwa moskali nie była wesolą. Popalone chaty, poranieni ludzie, pędzeni więźniowie, pochwytani gdzieś powstańcy, trupy jeszcze nie przysypane ziemią lub świeże żółte mogiły, ślady gwałtów, morda i pożogi ścisnęły za serce. Gdy Jadwiga i Emma ze zgrozą odwracały oczy, Młot szeptał im.

— Wodą z mlekiem ojczyzny odkupić nie można, to darmo. Ten obrzydliwy ultramontanin, którego panna Emma czasem broni, de Maistre, powiedział jednak rzecz prawdziwą, mówiąc o mistycznym znaczeniu i cenie krwi ludzkiej, nie wielkiego w świecie bez jej przelewu się nie stało, każda wielka epoka płynie strumieniem purpurowym, ludzie padają, ale na mogiłach ich zawarta w piersi, wyrasta i krzewi się idea. Smutną są rzeczą te okrucieństwa, których się dopuszcza Moskwa, szubienice które stawia, mogiły które sypie, ale ja wolę ją dziką i zwierzęcą niż w glansowanych rękawiczkach, w werniksowanych bucikach, parującą po francuzku w salonie. Ta dzika Moskwa, to Moskwa prawdziwa taka, jaką ona jest bez maski, bez fałszu, jak ją Bóg stworzył, jak ją wieki przerobić nie mogły; gdy tymczasem owa moskiewszczyzna podlizująca

się Europie, przypominająca lokaja, który w pańskim fraku wkradł się na salon i swojego pana małpuje, to ta Moskwa, która oszukuje sobą Proudhonów, Girardinów, La Rochejaquelinów i t. p. Lepiej jest, aby świat znał tę dziec jaką jest, z całą jej ohydą i bydlęctwem. Stanie się to kosztem naszej krwi, ale Europa przekona się, że uczciwy i rzeczywiście wykształcony naród w czułych objęciach takiego potworu, żyć nie mógł.

Musiemy się teraz jeszcze przenieść na chwilę do Warszawy i przedstawić czytelnikom naszym nową postać, bez której by wybornie powieść ta obejść się mogła, gdyby ją traf do niej nie wnie-
szał. Typ który się nam nastrocza, ani nowy ani ciekawy. Jak w geografji roślin niektóre z nich spotykają się tylko na pewnych wysoko-
ściach, tak i w geografji społecznej postacie pe-
wne, rosną i kwitną wyłącznie w pewnych tylko sferach towarzystwa.

Taki Maxymiljan hrabia X... tylko w hra-
biowskim świecie mógł istnieć. W innej klasie społeczeństwa byłaby to wielka osobliwość, w tej był niemal pospolitym. Hr. Maxymiljan, w gronie poufanych Maxem zwany, pomimo lat piędziesięciu kilku, chciał jeszcze uchodzić za młodego czło-
wieka, równie w towarzystwie kobiet jak mło-
dzieży. Ani wiek, ani doświadczenie, ani stosunki

rodzinne, ani wychowanie i zdolności (bo na tych mu nie zbywało), nie potrafiły z niego nic uczynić. Wyłysiał, zrujnował się, majątek i zdrowie utracił nie doszedłszy do niczego, oprócz reputacji dobrego koleżki. Nie można go było wziąć na serjo, bo on nie w życiu na serjo nie brał. Bawić się i żyć wygodnie zdawało się być dla niego jedynym zadaniem. Miły i słodki w towarzystwie, jak wszyscy egoiści, Max wyborny był przy obiedzie, u wieczerzy, w salonie, ale po za granicami tego życia zewnętrznego nikt mu na grosz nie dawał wiary, nikt dlań nie miał poszanowania, u nikogo nie zyskał sobie powagi. Był niegdyś przez kilka lat żonatym, żona mu zmarła, a córkę jedynaczkę wzięli krewni na wychowanie, czując że Max ojcem by dla niej być nie potrafił. On tymczasem prowadził kawalerskie życie, jeździł do Anglii, przesiadywał w Nicci, czasem zimował w Paryżu, a gdy mu pieniędzy zabrakło, zjawiał się niekiedy na krótko w kraju. Naówczas pożądanym był w towarzystwach, gdyż w nieustannych podróżach uzbierał zapas bardzo zabawnych opowiadań i anegdot, znał wszystkie znakomitości Europy, wybornie sądził o ludziach, brakło mu, niestety, tylko tego, aby siebie poznać i osądził surowiej. Powierzehowność odpowiadała

zupełnie, wewnętrznej człowieka wartości. Max był pięknym mężczyzną, a że nie chciał zestarzeć i używał ku temu wszystkich środków, na jakie sztuka odmłodzenia zdobyć się może, zadziwiał istotnie wszystkich swą wiekuiście młodą fizjognomją.

Do pokoju w którym się z rana ubierał, nikt z profanów nie miał przystępu, tam spoczywały pod kluczem tajemnice, mocą których hrabia mając lat pięćdziesiąt kilka, uchodził czasem wieczór za trzydziestoletniego młodzieńca; gorsety robione w Paryżu, pół peruczki, cała apteczka kosmetyków, pomad, pomadek, wód i wódek, proszków, szczoteczek, szczypczyków i t. p. narzędzi, preparatów i przyborów. Jeden tylko kamerdyner wiedział ile w tym człowieku było dzieła Bożego, a ile utworu sztuki. Nikt inny nie mógł zaręczyć czy zęby jego były własnymi jego zębami, czy kolor jego włosów nabyty był w Paryżu, czy taki z jakim przyszedł na świat, czy brwi, nadzwyczaj regularne, były dziełem pędzla czy natury, czy rumieńce czerpał z pudełka czy ze krwi? Równie staranne było ubranie starego eleganta, któremu bieliznę szyto w Paryżu, a suknie w Londynie. Sam sposób wkładania rękawiczek, które z nadzwyczajnem wdziawał staraniem, już go do-

statecznie charakteryzował. Męczył się nad nimi zwykle dobre pół godziny, a często trzy pary zbrakował, nim jedna zaspokoić go potrafiła.

Niewiem, czy najpoważniejsze wypadki potrafiły kiedy zmienić choć na chwilę przywyknienia i nałogi tego człowieka, rozumie się, że przybywszy teraz do Polski, był niesłychanie zgorzszony jój zdemokratyzowaniem się, rewolucyjnym duchem i stanem niepokoju, który tu znalazł. Moeno się do tego przykladało, że wypadki te zmniejszyły mu dochody. Naturalnie widział tylko jeden ratunek dla Polski, w Margrabi, w pojednaniu się z moskalami i wyrzeczeniu głupich, jak je nazywał, mrzonek. Na salonach Margrabiego, spotkał on hrabiego Alberta, z którym po trosze byli w kuzynostwie, przez jakąś pra-prababkę; z drugićj strony wiedzieć należy, że hrabia był rodzonym wujem i najbliższym krewnym Jadwigi. W kilka dni po przybyciu jego do Warszawy, właśnie nazajutrz po wyjeździe Jadwigi, rano wszedł do niego z dosyć posępną miną hrabia Albert. Zaczęła się rozinowa o rzeczach potocznych, Max gwałtownie występował przeciwko całemu ruchowi jako prowadzącemu do zguby.

— Ale to, mówił, to jest widocznie rewolucja socjalna, to jest ostateczna zagłada téj naszcj

pięknej starcej Polski. Dziwi mnie tylko że ta zaraza rewolucji ogarnia nawet zdrowe umysły, że tu wszystko jest nastrojone, tak dziwnie usposobione, iż nawet w obronie prawdy odezwać się nie wolno. *La situation est grave.*

— Tak, odparł Albert, a co dziwniej, garstka ludzi która ten ruch stworzyła, potrafiła go rozszerzyć, uczynić zaraźliwym i poetyczną stroną swych doktryn pociągnąć wszystko co naród miał w sobie gorętszego. Nie boleśniejsem dla mnie nie było, dodał, nad widok, jednej szczególnie duszy, jednego umysłu, pochwyczonego urokiem tej walki, umysł ten zasługiwał zaiste na inny los i w innym rozwinąć się powinien był kierunku.

— O kim że to mowa? spytał Max, jeśli wolno wiedzieć.

Albert westchnął i spoczął.

— Smutna to historia, rzekł, ale jako bliższemu krewnemu tajemnicy z niej czynić nie będę. Dawno widziałeś siostrzenicę swą pannę Jadwigę?

— O! dawno, rok czy więcej temu, ale już naówczas miła ta istota wydała mi się za bardzo na swą pleć i wiek zmężniałą i demokratyczną,

wiem że od śmierci mojej siostry, bawi podobno za granicą.

Albert ruszył ramionami.

— Cóż to ma znaczyć? spytał Max.

Hrabia milczał.

— Ale spodziewam się że przedemną, jako przed wujem, tać nie potrzebujesz nic co się tyczy Jadzi. Jestem przecie obowiązany to wiedzieć, jako główny jej opiekun?

Albert spojrzał na niego, a po chwili dodał.

— Tak, powinieneś hrabio to wiedzieć, ale musisz też i radzić na to. W czasie pobytu w Warszawie, panna Jadwiga została opłataną przez demokratów i rewolucjonistów, tak że całkiem się rzuciła w to stronnictwo. Umysł niezaprzeczenie wyższy, serce wielkie, naturalnie łatwo się olśnić dała błyszczącą stroną tych teorii. Zdaje mi się że trochę miłości dla jakiegoś proletariusza przyczyniło się do tego. O ile wiem niesłychane z siebie ofiary uczyniła dla uwolnienia go z więzienia, skompromitowała się ostatecznie, tak, jak zwykle u nas kobiety, które więcej podejrzeń na siebie ściągają niż istotnej mają winy. Po śmierci ciotki...

— Wyjechała za granicę, rzekł Max.

— Ale gdzie zaś. odpowiedział Albert, przybyła pod cudzém imieniem do Warszawy, poświęciła się cała rewolucji, niewiem jakim cudem uszła dotąd prześladowania rządu, a w tych dniach zdaje mi się, że gdzieś wyjechała na prowincję, bo podobno bohater jest ranny.

Hrabia Max aż się porwał z krzesła, przypomniawszy jednak sobie, że zbyt gwałtownym ruchem mógł co popsuć w ekonomice toalety, spojrzał naprzód uważnie w zwierciadło, a potem dodał:

— Opowiadasz mi rzeczy niesłychane niepojęte! nie do wiary! a co gorzej rzeczy o których ja z tytułu opiekuna jestem wiedzieć obowiązany! i które mogą być dla mnie źródłem wielkiej nieprzyjemności! *Entre nous*, wiesz hrabio że ci ludzie niby poważni zawsze mnie o lekko-myślność pomawiają. Jestem opiekunem, powie-dzieć gotowi, że przez moją opieszałość Jadzia się zgubiła. Ja jestem obowiązany wyrwać ją z tego położenia. ale czy ty mi tylko nie powta-rzasz plotek? masz minę zakochanego. *cela rend bête*, zakochani wszystkiemu wierzą, zapewniano mnie że jest za granicą, że pojechała z panną Emmą..

— Ale kiedy ja ją na swoje oczy tu w War-szawie widziałem i mówiłem z nią. Nie będę się

zapierał że to jest jedna może kobieta, która na mnie ogromne, nadzwyczajne zrobiła wrażenie, dla tego też każdy jój krok śledziłem, może nie dyskretnie, ale z gorliwością prawdziwego przyjaciela.

— Więc to prawda! wykrzyknął Max. Ależ jój tak się gubić dozwoić nie podobna! *Mais, c'est monstrueux*. Jak to? więc pojechała powiadasz? ranny? co? gdzie? w powstaniu? Poleciała między kozaków! za nim! kiedy? no, cóż tu począć! I nikt jój nie wstrzymał? Ale jeżeli hrabia wiedziałeś o tem, powinienesz być dla honoru familji, polecieć do Margrabiego, użyć siły, wsadzić warjatkę do klasztoru, *Mais c'est monstrueux!! c'est monstrueux!*

— Dowiedziałem się o wyjeździe dopiero gdy wyjechała, wszakże wcześniej nawet uwiadomiony nie byłbym nigdy ośmielił się krępować jój woli, hrabia jój nie znasz, przynajmniej taką jaką jest dzisiaj, i ręczę ci, że z całym swym doświadczeniem i stanowczością przekonani nie dotrzymał byś jój placu.

— Co mi mówisz! co mi mówisz! szalona! familja dozwoić nie może na tego rodzaju skandal, przecież wiesz że wyniesie z domu jakich

parę najmniej miljonów, i ma to tam pochwycić jakiś lyczak, czy gorzój?

— Bardzo przyzwoity człowiek. ale czerwony!

— Nigdy w świecie! na to się pozwolić nie może. Biorę natychmiast *un sauf-conduit* i lecę za nią, ale hrabia mi towarzyszysz?

— Ja? spytał Albert, po co?

— A naturalnie — potrzebuję... poparcia. Zresztą przyznam ci się... w tym dzikim naszym kraju ja sobie rady dać nie umiem, byłbyś mi bardzo pomocnym.

— Ale będę w fałszywym położeniu, rzekł Albert, jak gdybym...

— Już ja to wszystko biorę na siebie. Jestem opiekunem, ja ją zwrócę na drogę rozsądku. To być nie może. Hrabia mi się tylko dowiedz gdzie jej mamy szukać, pojedziemy natychmiast, jutro... dziś, bo to potrzeba się spieszyć. Skompromitowana, mocno skompromitowana, a ja! byłem najpewniejszy, że gdzieś we Włoszech zachwyca się arcydziełami sztuki. Winienem ci nadzwyczajną wdzięczność za odkrycie tej tajemnicy!...

Albert był mocno pomieszany.

— Jeżeli pojedę, rzekł, to chyba dla tego ażebym cię hrabio powstrzymał od jakiego gwał-

townego i nie zbyt właściwego kroku. Panna Jadwiga nie jest istotą pospolitą, zwykle też środki z nią skutkować nie będą, jak najmniej gwałtowność. Jest to charakter energiczny, któren się na wszelki nacisk oburza, hrabia musisz zapomnieć o prawach opiekuna, a wystąpić jako krewny i przyjaciel.

— Zostaw że mi to proszę, zostaw, już ja sobie z nią dam radę, a uczyni to tylko dla mnie żebyś jechał. Mam dosyć doświadczenia, znam kobiety, bądź spokojny.

To mówiąc Max, spojrział w zwierciadło, wyprostował się i przybrawszy minę wielkiego dyplomaty, dorzucił.

— Jedziemy, jak skoro będziemy wiedzieli dokąd jechać mamy.

Na tem skończyła się rozmowa, a wieczorem konie pocztowe niosły obu tych panów śladem Jadwigi z pośpiechem tak wielkim, że nazajutrz około południa, poznano karete i kocz stojące przed kareczną, w której Jadwiga z Emmą popasywały. Hr. Max przez całą drogę dodawał sobie siły i odwagi na tę ciężką przeprawę. Wyobrażał sobie że mu był powierzony honor rodziny, że zań odpowiadał, czuł, że jeżeli tą razą nie powiedzie mu się, ostatecznie będzie zgubiony na sławie i powadze. Nic nie ma strasniejszego nad

człowieka słabego, który chce siłę udawać, naówczas staje się upartym bez logiki i w istocie nie go pożyć nie może, tylko jeden czas który jest najlepszą próbą charakterów.

Hrabia z Albertem zajechał do drugićj gospody w miasteczku, bo nie mógł się zaprezentować po podróznemu, nie odmłodziwszy. A że się lękał aby Jadwiga nie odjechała, nim on skończy odświeżenie, posłał jćj bilec wizytowy zapowiadając odwiedziny.

Schwytana niespodzianie na drodze, chociaż się nie domyślała, Jadwiga zniecierpliwiona była zwłoką jaką to mogło spowodować, musiała się wszakże widzieć z wujem i oczekiwała nań, kazawszy zaprządz konie, pewna że się go rychło zbyć potrafi.

Poniedział biletem a wizytą upłynęło więcćj godziny, nareszcie hrabia ubrany po podróznemu (ale nie tak jak był w podróży), z laską w ręku, zostawiwszy Alberta, wszedł poważny i surowy do pokoju, w którym nań oczekiwała Jadwiga.

Pierwsze spojrzenie na nią trafnemu sędziemu charakterów, dało poznać że walka weale nie będzie łatwą, uzbroił się więc podwójnie w energję i powagę, do którćj nie był przywykły, która mu nadzwyczaj ciążyła. Przywitanie było chłodne

i ceremonjalne. Jadwiga pierwszy raz się z niego domyśliła że wuj za nią gonil. Rozdrażniło ją to, oburzyło ale nie przestraszyło wcale. Po kilku słowach, Max zaambarasowany przytomnością panuy Emmy, zażądał rozmowy na osobności. Towarzyszka wysunęła się do drugiego pokoju, hrabia usiadł naprzeciw siostrzenicy z laską i angielską czapeczką w rękę, poprawił węzła u chustki i powoli cedzić zaczął.

— Muszę się przyznać kuzynce, że z mego obowiązku opiekuna, a więcéj jeszcze z uczucia jakie mam dla niéj, musiałem za nią pogonić, ale dokąd że ta podróż prowadzi?

— Czy mam odpowiadać opiekunowi, czy uczuciu? spytała Jadwiga uśmiechając się.

— Ale jedno i drugie, idą z sobą w parze.

— Będę szczerą, odezwiała się Jadwiga, jadę jako Polką, jako siostra miłosierdzia w pomoc braciom naszym.

— Ale kogóż pani braćmi nazywasz? spytał Max brwi marszcząc.

— Jużciż nie posądzisz mnie abym braćmi nazywała moskali?

— Przyznam się że pomimo braterstwa w Chrystusie, które jest bardzo ładne w kazaniach, i jako

wyrażenie poetyczne, ja tu nigdzie tak dalece żadnych braci nie widzę.

— Dawno hrabia wróciłeś z zagranicy? spytała Jadwiga.

— Dla czego?

— Dla tego że chyba zupełnie kraju nie znasz i położenia jego nie rozumiesz.

— Przepraszam, właśnie że świeżo przybywam i jestem, z przeproszeniem kuzynki, jak człowiek który wchodzi do pokoju z podwórza. Ci co w tym pokoju siedzą, nie czują swędu, ja, natychmiast uczulem go i jestem w obawie czyście nie zaczadzieli?

Jadwiga uśmiechnęła się na dowcipne porównanie.

— Prześlicznie, rzekła, ale wiesz wuju francuzkie przysłowie *comparaison n'est pas raison*, to nie nie dowodzi. Myśmy zupełnie trzeźwi, zdrowi i przytomni, aleśmy ludzie innego kraju i świata, którego ty hrabio, kosmopolita, wieczny wędrowiec, pozwól sobie powiedzieć, wcale nie rozumiesz. Przybywasz ze zmaterjalizowanego zachodu, w kraj duchowego życia, w kraj, któremu ucisk długi narzucił zupełnie nowe życia warunki, wydany ci się szaleni, ty nam, uśpio-nym, wyżytym, obumarłym.

Hrabia się zarumienił, ale pod warstwą kosmetyków ukryła się ta przelotna czerwoność, namyślił się chwilę i rzekł:

— Wybornie! od razu wchodzimy w głąb rzeczy, ale pozwolisz mi kuzynko abym nietykając polemiki o zasady, która by nas za daleko zaprowadzić mogła, wprost zwrócił rozmowę na twe własne położenie.

— Moje położenie, odparła Jadwiga, wynika z tych zasad. Nie możemy dotknąć jednego, drugich nie poruszając.

— Nie rozumiesz mnie pani. dla kobiet pewnej sfery, bądź co bądź są pewne życia prawidła...

— Co to jest dla kobiet pewnej sfery? do jakiejże ja sfery należę? spytała dumnie Jadwiga.

— Przecież mam honor być jej wujem....

— Tak, ale to nie przeszkadza mi być córką człowieka co żył z pracy, chodził w kożuchu, i nie należał wcale do wyższej sfery...

Hrabia usta zakąsił.

— No, więc, dodał, nie mówiąc o sferze, przyzwoitym osobom płci twojej nie godzi się przecie kompromitować.

— Znajdujesz że ja się kompromituję? czem?

— *Mais, chère cousine*. czyż to jeszcze mało! Wykradasz się dla jednego jakiegoś...

— Przepraszam nie dla jednego wuja, jadę służyć wszystkim rannym. odpowiedziała prędko Jadwiga, a twarz jej oblala krew.

— Tylko się nie gniewaj; mówmy chłodno.

— Ale ja znajduję że najgorzej jest mówić chłodno, myśleć chłodno i żyć chłodno!

Hrabia wstał z krzesła, wyjął chustkę batystową, zlekka otarł spocone czoło, westchnął i zawołał:

— Nie rozumiemy się.

Jadwiga której niecierpliwość dochodziła do najwyższego stopnia, potrzebowała całej mocy nad sobą, aby gwałtowniej jeszcze nie wybuchnąć.

— Dopóki żyła nieboszczka moja siostra, rzekł Max siadając znówu, święta prawdziwie istota, ale nadzwyczaj niepraktyczna, jak w ogóle wszyscy święci, dodał z uśmiechem. nie mieszałem się wcale, przyznasz mi kuzynka, do niczego; żyłyście, jeździły, robiły znajomości, przyjmowały jak się podobało.

— Pozwól sobie przerwać i przypomnieć żeś prawie ciągle był za granicą.

— Tak jest, bom był zupełnie spokojny, dziś z tego co po świecie słyszę, co widzę, czuję się w obowiązku...

— Wprowadzenia mnie na prawą drogę! odrzekła Jadwiga, z której zdaje się że zboczyłam? Jest mi to nadto bolesném, abym ci się szczerze i jasno nie wytłómaczyła, nie cierpię fałszu, nie nawidzę udawania, nie kryję się z niczém, bo dzięki Bogu nie mam się z czém ukrywać; czuję w sobie serce Polki, kocham kraj i spełnię moje względem niego obowiązki. Milszym może nad innych jest mi jeden człowiek, powiem otwarcie, kocham go, ale ani on mnie nie mówił nigdy o swojém uczuciu, ani ja jemu. Oto jest całe położenie moje. Dziś pora nie o sobie myśleć, ale o ojczyźnie. Nie wiem dla czego chcecie wyłączyć kobiety i zabronić im poświęcenia, serce się na to oburza i choćby przyszło walczyć z opinią, z przesądem, jam postanowiła.

— A! być bohaterką jak panna Plater i Tomaszewska? sięść na konia i bić się z kozakami? przerwał hrabia.

— Nie, mój wuju, ale iść służyć rannym, chorym, potrzebującym pociechy, i czułych starań macierzyńskich.

— Ale to szaleństwo! wykrzyknął Max z największym zapalem. *Mais c'est inouï.*

— *C'est inouï? mais c'est comme cela!* odpowiedziała zinnno Jadwiga.

Max z gniewu zaczerwienił się powtórę, ale i tą razą jeszcze rumieniec przez warstwę politury nie przeszedł.

— Kochana kuzynko, z twojém wychowaniem, majątkiem, położeniem, rzucić się dobrowolnie w ten tłok demokratyczny, między rewolucjonistów, narazić na następstwa nieobrachowane, czyż to się godzi?

— Cóż chcesz wuju, ty to widzisz zbrodnią a ja obowiązkiem, jakże się mamy zrozumieć?

— Więc, przerwał hr. Max, kuzynka myślisz?...

— Myślę to czynić co mi dyktuje przekonanie.

— Muszę jednak zrobić uwagę, że w tak stanowczych krokach życia, panna dobrze wychowana, zwykła się radzić i słuchać rodziny.

— Pokazuje się że nie jestem panną dobrze wychowaną.

— Ale to rzecz okropna! zawołał Max, to nie panią jedną kompromituje, ale nas wszystkich, my na to w żaden sposób zezwolić nie możemy.

— A gdybym się bez pozwolenia obeszła? zapytała Jadwiga.

Max zaczerwienił się poraz trzeci, ale tak, że rumieniec przebił tynk, a oczy mało mu krwią nie trysnęły.

— Całe życie, rzekł, starałem się być jak najprzyczwoitszym człowiekiem, nigdy, zwłaszcza względem kobiet nie posunąłem się do żadnej niegrzeczności, ale dziś mogę być zmuszony popęlić... niegrzeczność.

— Zdaje mi się wujaszku, że już ją popęniłeś.

Max tą żywością odpowiedzi zmieszał się nieco, i gdyby był nie miał świadka przed którym się zaklął, że na powstrzymanie Jadwigi całej swój użyje władzy, już by był może rozśmiał się, przeprosił i ustąpił. Ale miłość własna była na stawce, trzeba się było raz w życiu pokazać człowiekiem energicznym; hrabia przeszedł się kilka razy po pokoju, sam dobrze nie wiedząc co pocnie, przybrał jednak postawę groźną, a milczeniem chciał jednak wiele powiedzieć. Spokój Jadwigi i jej zinną krew, którą całkowicie odzyskała, jątrzył go i męszał. W chwili gdy szukał w głowie środka jakiegoś, a znaleźć go nie mógł, szatan, który nigdy nie śpi, a Maxom chętnie posługuje, sprawił, że ujrzał przez okno zajężdżający kocyk przed drugą gospodę, i Alberta witającego się czule ze znanym im obu adjutantem księcia, petersburskim liberalnym moskaliem. Ten sam szatan co mu spotkanie na-

stręczył, szepnął na ucho, iż nie ma innej rady dla ocalenia kuzynki, której jaki kapelan obozowy gotów dać ślub pod dębem: tylko udać się do prawej władzy, i buntownicę, grzecznie a pięknie, pod eskortą straży moskiewskiej odstawić do Warszawy... Mignęło mu to jako jedyny środek zbawienia, był pewien, że tym czynem heroicznym odzyskać potrafi straconą powagę, że mu przyklasną w Brühlowskim pałacu, że go może przyjmą w Łazienkach, że wyjdzie nareszcie na człowieka serjo.

— Ha! rzekł, więc kuzynka odmawiasz mi posłuszeństwa jako opiekunowi?

— Zdaje mi się, że opiekunom nie należy ofiara z przekonań?

— Ale mnie możesz zmusić pani do niemiłych ostateczności!

— Cóż to jest!? śmiałyś pan?...

— I ja mam także przekonania i obowiązki...

— Czyń że pan wedle nich, odpowiedziała mu z gniewem Jadwiga. Ale ponieważ w życiu zapewne widzimy się raz ostatni, słowo jeszcze panie hrabio:

Wstała oburzona, wyegzaltowana, drżąca i tak majestatycznie piękna, tak uczuciem wielka, że Max przy niej wydał się sam sobie pigmejem.

— Chcielibyście uczynić ze mnie, rzekła, tę istotę bladą, zimną, bezbarwną, jaką była i jest cała prawie wasza rodzina, kosmopolitkę, kobietę żyjącą fałszem, ale ja nigdy taką nie będę. Czuję w moich żyłach inną krew, w mej piersi inne pragnienie, nie przerobicie mnie nigdy na taką lalkę porcelanową, do postawienia na półce w salonie, jakimi wy jesteście. Nie, stokroć nie! Czyń pan co mu się podoba, ale wiedz, że między mną a tą rodziną, którą pan tu przedstawiasz, nie nigdy nie będzie wspólnego. Szczęściem, nie noszę waszego nazwiska, znajdę ubogą familją ojca i do niej się przytulę. Jakże ja z wami zrozumieć się kiedy mogę, jesteśmy istotami innych światów, pojęć, zasad, wy kochacie moskali, ja Polskę. Wy wszystko dacie dla spokoju, ja spokój i życie dam na ofiarę ojczyźnie...

Mówiła jeszcze, gdy hrabia rzuciwszy drzwiami, wyleciał. Rozgniewany wbiegł prosto do izby, w której Albert z adjutantem prowadził rozmowę, i ledwie się przywitawszy zawołał:

— Mój hrabio! (adjutant był także hrabią cesarstwa rosyjskiego, chociaż synem podradczyka) znajdujesz mnie w najokropniejszym położeniu, z którego ty jeden ratować mnie możesz!

— Cóż takiego?

— Wystaw sobie, rodzona moja siostrzenica, śliczna panna mająca parę milionów posagu, ucieka mi, *mit sack und pack*, do obozu powstańców, za siostrę miłosierdzia czy lichu wie co takiego. Na miłość Bożą, ratuj że mnie i familją, trzeba ją tu koniecznie zatrzymać, choćby siłą.

Albert aż się cofnął.

— Jakto! siłą? zawołał, możesz że hrabia o tém pomyśleć? Jakaż w tém będzie moja rola, gdy weale inaczéj sobie wyobrażając obrót téj sprawy, byłbym niejako denuncjatorem, ślicznie byś mnie hrabia wystrychnął!

— A dajże mi pokój, odparł Max, dziękuję ci serdecznie żeś mnie ostrzegł, ale reszta to już moja rzecz.

— Przepraszam, rzekł Albert, ja także jestem w tém interesowany, i nie dopuszczę, przynajmniej gwałtu.

— Cóż za gwałt, odwieziemy ją do Warszawy to się opamięta.

Adjutant, któremu w smak było pannę brać w areszt i potem o bohaterskiém swém znalezieniu się rozpowiadać w ruskiej resursie, przerwał żywo.

— Jużeć nie możecie państwo pozwolić, ażeby ta panna leciała na zgubę między hałastą, a może gorzój na śmierć.

— Ja na to nigdy nie pozwolę, zawołał Max uderzając pięścią o stół.

— Staraj że się ją pan przekonać, nakłonić, ale siłą? siłą chcieć z drogi ją zwrócić, to by było okropne! rzekł Albert.

— Weale nie okropniejsze nad to, co ona sama uczynić chce, wołał stary hrabia, prawda panie adjutancie?

Adjutant gorliwie popierał hrabiego, Albert widząc że ich nie przekona, przestraszony, wybiegł przestrzedz pannę Jadwigę. Znalazł ją we łzach, rozgorączkowaną, ale spiesźnie wybierającą się w dalszą podróż, spostrzegłszy go Jadwiga, rzuciła się ku niemu żywo, jakby szukać chciała obrony i opieki, ale Albert nie dał jej przemówić i sam się odczwał pierwszy.

— Widzisz pani człowieka w rozpacz, który przychodzi przyznać się do wielkiej winy, i wspólnie z panią starać się o odwrócenie grożącego niebezpieczeństwa. Ja to pierwszy przed wujem pani wygadałem się... wydałem panią. Mogłem się spodziewać, aby ten człowiek śmiał nawet pomyśleć o jakim niewłaściwym kroku? Na jego żądanie pojechałem z nim i wpłatał mnie w najobrzydliwszy spisek...

— Cóż on myśli? przerwała Jadwiga.

— Trafeni znalazł się tu adjutant W. księcia, chcą panią aresztować i gwałtem zwrócić do Warszawy...

— Nie obwiniam pana, chociaż możesz być przyczyną wielkiego nieszczęścia, na miłość Bożą, wracaj pan do nich, staraj się odwieść od tego, a w najgorszym razie przynajmniej zwlec, dać mi chwilę czasu... ucieknę... piechoto...

— Zlituj się pani, rzekł, co pani czynisz?

— Robię com powinna, ani słowa więcej, idź pan, wstrzymuj.

Albert posłuszny, wybiegł natychmiast: przez drzwi słuchał tej rozmowy wylękły nieco Młot, i w tej chwili wsunął się do izby.

— Co się to dzieje? pytał, nie mogę zrozumieć, chcą panią aresztować? czy mi się przysłyszało?

— Tak jest, unykaj pan naprzód, bo panu największe grozi niebezpieczeństwo, ja będę się starała dać sobie rady, uchodź...

— Ale któż? co? hrabia Albert?

— Ale nie, wuj mój i opiekun, nie pytaj pan i uciekaj.

Młot postawszy chwilę w progu, podumawszy, skrył się. Jadwiga zaczęła spiesźnie szeptać coś na ucho Emmie i przyspieszać wyjazd, Młot ostro-

żny, powoli wysunął się do miasteczka. Konie zaprzęgano już poraz drugi i panie prawie siadać miały, gdy stary Max nadbiegł znowu zdyszany, poszeptawszy wprzód z oficerem. Był tak przejęty wielkiem swém posłaństwem, że zapomniał nawet o twarzy, którą wilgoć i zmiany temperatury znacznie w kolorycie uszkodziły, stała się jakby umarmoryzowaną.

— Piękna kuzynko, odezwwała się wpadając do izby, jeszcze raz odzywam się do twego rozumu i serca, i proszę byś mnie wysłuchała. Na tę podróż nie mogę pezwolić, będę w rozpacz, ale zmusisz mnie do nieprzyjemnej ostateczności.

Jadwiga spojrzała nań z pogardą.

— Napadnięta wśród drogi, jestem bezbronną, możesz pan dopuścić się przemocy, ale zważ do czego to prowadzi? Jesteś opiekunem mego majątku, nie przeczę, ale nie osoby. Nie możesz mnie uwięzić, nie możesz zmusić do pozostania gdzie nie chcę. Okryjesz się niesławą, śmiesznością, a ja jutro czy pojutro, uczynię co mi się podoba.

— A! to jeszcze zobaczymy! zawołał rozdrażniony Max. Kwestja jest, czy szanowna kuzynka będziesz mogła rozporządzać sobą przeciw woli i życzliwym radom całej familji.

— Zobaczymy! odpowiedziała dumnie Jadwiga.

— Kuzynko, zaklinam, oszczędź mi bardzo przykrego kroku.

— Kuzynie! tym samym głosem odezwała się Jadwiga, proszę cię, racz mnie od swęj opieki uwolnić.

— Ha! rzekł hrabia, ponieważ tak rzeczy stoją, od dalszych następstw unygam ręce, przy ciężkiej opiece wcale się upierać nie będę, ale póki ona trwa, obowiązki jej spełnię. Zapowiadam pani że wracasz do Warszawy.

— Ja panu mówię, że nie...

— Z należytém uszanowaniem dla kobiety, mamy tu na szczęście adjutanta księcia i dwóch kozaków którzy nam towarzyszyć będą, ci aniołowie stróżę już są przy karecie.

— Ale ja w karczmie jeszcze jestem, odpowiedziała Jadwiga siadając na krześle. Potrzebujesz hrabio jeszcze dwóch, aby mnie siłą do powozu wciągnęli.

— A gdybyim ich znalazł? spytał Max.

— Naówczas, odparła Jadwiga, ponieważ przeciw dwom kozakom jestem za słabą, stanie się wola łaskawego opiekuna.

Hrabia Max stanął zakłopotany, był pewny zwycięstwa, tymczasem dalej niewiedzieć co było począć. Widział że rozmowa nie przekonywa i do nieczego nie prowadzi, skandalu robić nie chciał, a nie miał już nadziei aby Jadwiga ustąpiła; położenie było nadzwyczaj trudne, wyrzec się opieki i uznać zwyciężonym, charakter hrabiego nie dopuszczał, pomyślał chwilę. uklonił się i wyszedł.

Jadwiga siedziała w krześle zadumana, zgryziona; Emma płacząc, wyglądała przez okno, kozaacy którzy stali przy karecie, odjechali nazad do kareziny. Uplynął kwadrans, pół godziny, nikt nie przyszedł. Nadzieja zaczęła wstępować w Emmę, a nawet Jadwiga przypuszczała już że hrabia zwyciężony zamiaru swego zaniechał. Po krótkiej naradzie postanowiły wsiąść do powozu, i co najspieszniej odjechać. Wybiegły więc, ale zaledwie drzwiczki się za nimi zamknęły, dwaj kozaacy zjawili się po obu bokach powozu, siłą zwrócono konie ku Warszawie i Jadwiga widziała się zamieszoną do powrotu.

Cicho było i ciemno w pokoju chorego, usypiał on chwilami, ale gorączka rozwijająca się przy każdej ranie nabierała dosyć niepokojącego charakteru. Pomimo starań poczeiwego Henscha i jego pomocników, stan rannego nie tylko się nie polepszył ale zagrażał coraz bardziej, kość była strzaskana, Hensch wahał się czy amputacja nie będzie potrzebną, a tymczasem chwile ubiegały, cierpienie wzrastało, Gliński walczył z nim siłą ducha, ale się widocznie wyczerpywał.

Sam on. wprzód jeszcze nim doktorowie, zaczął wątpić o sobie, jakieś przeczucie, do którego się nie przyznawał jak zwiastun śmierci trapiło jego duszę; udawał wesele, obojętność, ale gdy sam na sam pozostał z bólem, gorączką i niepokojem, o tych których w polu porzucił, czuł się bezsilnym i coraz wyraźniej widział śmierć przed sobą. Gdy drudzy mieli jeszcze choć trochę nadziei on

już nie zachował żadnej. Mylę się, miał jeszcze jedną, zdawało mu się, że jest ktoś na ziemi co powinien przeczuć z daleka, przewidzieć sercem blizki zgon jego i przybiec go pożegnać. Wyrzucał sobie tę dziwną jakąś nadzieję, chwilami widział całą jej śmiecność, a wyrwać jej z piersi nie mógł; między nią a nim nigdy jasniejsze słowo nie wypowiedziało ani przywiązania, ani przyszłości obietnic. Pomimo to wiedział on że dla niej nie był obojętnym, a miłość jego cicha, skryta, bez nadziei, w rozpaczliwej tej chwili wzrosła do olbrzymiej potęgi. Zdawało mu się, że oddawszy życie dla ojczyzny, miał prawo ostatnie jego chwile osnuć złotem marzeniem któremu się wprzód opierał. Ono teraz jedno koło bole i dozwalało zapomnieć o cielesnej męczarni.

Gdy Hensch starał się na usilne jego nalegania zasłonić przed nim groźną prawdę, Gliński słuchał go, uśmiechał się, udawał że wierzy, ale spoglądał ku drzwiom, nastawiał ucho na szmer każdy, i czekał tylko tej z którą się chciał pożegnać.

Napróżno, ona nie przybywała, ale jak gdyby tym marzeniom opatrność chciała dać jakiś cień rzeczywistości, widział u swego łóża w długich godzinach bezsenności i czuwania postać, która

mu dziwnie przypominała Jadwigę. Była to starsza córka państwa Wernerów, Wądzia młodziuchne dziewczę, świeże, wdzięczne ale noszące na licu od urodzenia dziwny jakiś wyraz smutku, jakby proroctwo przyszłych przeznaczeń, jak przepowiednię żałoby. Nawet wesołość Wandy mieszała się z jakąś tęsknotą, oczy jej zdawały się zawsze łez pełne, wejrzenie uderzało tajemniczością i smętkiem. Było to ulubione dziecko domu, lecz w okolicy mimo licznych wielbicieli jej wdzięków, nikt się bliżej do niej posunąć nie śmiał, tak im się zdawała wszystkim nie ziemską istotą. Szła przez świat jakby wyszedłszy z innego, na który wkrótce miała powrócić, życie nie zdawało się jej ani przywiązywać, ani nęcić. Nigdy na przyszłość nie roiła nadziei, nigdy jej żadna boleść nie znalazła nieprzygotowaną, ale patrząc na wybuchy wesela zdawała się pomieszana, zdziwiona i ledwie je podzielała uśmiechem tęsknym, zaprawnym jakby kropelką politowania. Od dzieciństwa była milczącą, lubiła samotność, naturę i poezję, a gdy jej czasem dla sprowadzenia ją na ziemię podsunęto coś jaskrawo ubarwionego rzeczywistością, z lekka odtrącała ten niewłaściwy pokarm, aby nie wyjść ani na chwilę ze świata marzeń do którego należała.

Pocziwa jój matka wielka gospodyni, kobieta nawykła żyć w sferze innych pojęć, kochała czule Wandę trwożąc się tém jój nieziemskiém usposobieniem. Wszakże nie było na nie ratunku, im piękniój rozkwitała Wanda tém się podobniejszą stawiała do jakiegoś marzenia poety ręką artysty obudzonego do życia.

Siostra jój wesóły trzpiotek, nie a nie do niój niepodobna, kochając czule tak mało ją rozumiała jak drudzy.

W życiu takich istot jak Wanda są rzeczy niepojęte. Prorokowała ona o sobie wszystko co się z nią stać miało, rzekłbyś, że widziała jakby za przezroczystą zasłoną całe swoje życie.

Gdy się wojna rozpoczynała, Wanda przygotowała się do niój jak do stanowczój chwili, która o jój losie wyrzec miała. W ostatnich dniach nim przywieziono Karola po cichu szeptała wciąż siostrze, że jój narzeczony przyjedzie.

Tego dnia od rana stała w oknie, ubrała się w białą sukienkę i gałąź rozmarynu wpięła do ciemnych włosów. Na godzinę przed przyjazdem Karola była niespokojną i milczącą, a gdy powóz zaturkotał, pierwsza wybiegła na ganek i odtąd nie wyszła na krok z sąsiedniego pokoju, stojąc na straży dla posługi. Gdy czuwać było potrzeba

Wanda była ciągle gotową i nie zmordowaną, zdawało się jak by to było jęj obowiązkiem; wszyscy postrzegali, że to sobie w ten sposób wyobrażała. W ganku naprzód ujrzała twarz Karola, powitała ją jakby znajomą, spokojnie, bez rumieńca, potem poszła za nim milcząca. Nigdy nie przemówiła doń słowa, ale te łzawe jęj źrenice, które się wечно plakać zdawały, tonęły w nim i oderwać się od oblicza chorego nie mogły.

I matka i siostra postrzegły to nadzwyczajne zajęcie nie znajomym, probowano nawet trochę się śmiać z niej, aby ją powstrzymać, ale Wanda potrząsnąwszy głową obojętnie, ani się zarumieniła ani przez to zobojętniała.

— Moja Dziuniu droga, szeptała jęj siostra, co się z tobą dzieje? wszak ty wiesz, że ten człowiek umiera, umrze, a ty doprawdy jakbyś się nim zajęła?

— Alboż nie można umarłego kochać? odpowiedziała Wanda poważnie. Jam go znała dawno, dawno wprzód niżeli tu przybył, oczekiwałam na niego, wiedziałam, że to będzie bohater wielki, który da życie za ojczyznę; to jest mój narzeczony.

— Ależ co ci się sni, Dziuniu, ty zawsze prawisz jak we śnie.

— Bo może ja śpię całe życie, i nie mnie nie przebudzi, aż śmierć.

Młodsza siostra wcale innych usposobień słuchała tego ze ściśniętym sercem, zrozumieć nie mogąc.

W istocie są wśród życia pospolitego takie oazy cudów, które oko ludzkie widzi, stopa przebiega, a gdy z nich człowiek znowu wróci w pośtynie, wydają mu się jak sny. I cała ta kilkodniowa miłość dziewczęcia, dla człowieka, do którego jednego nie wyrzekła słowa, była jakby nieprawdopodobnym marzeniem.

Karol nie wiem czy ją widział nawet, nie wiem czy się do niej uśmiechnął, czasem z daleka wiotka jej postać przypomniła mu może Jadwigę. Były wzrostem do siebie podobne ale nie obliczem, Wanda wyglądała jak Anioł Fra Angelico, Jadwiga jak Anioł Guida.

Okolo łoża chorego odegrywał się dramat, którego on dostrzedz nie mógł, oblewała go atmosfera poezji i miłości, którą oddychał nie widząc z kąd spłynęła. Nie raz gdy usnął, a piękna męzka twarz jego, zmarszczona cierpieniem widniała w pół cieniu, Wanda zbliżała się po cichu, ukradkiem i ze spuszczonej złamanymi rękami, patrzyła na nią długo, jakby

jéj obraz na całe życie chciała zatrzymać w pamięci, i oczy jéj łzawe wysychały na chwilę, i usta robiły się różowsze i twarz nieśmiały skrywał rumieniec, a gdy chory westchnął budząc się, ona jak cień powracała do swojego kątku i znowu czuwała w niém na zawołanie lekarza, jak siostra miłosierdzia.

Napróżno ją chciano wyręczyć aby mogła odpocząć, nie dała się wyrugować z zajętego stanowiska nawet matce.

Drugiego czy trzeciego dnia spotkała w przedpokoju doktora Henscha, i z uśmiechem spytała go.

— Wszak prawda, że on umrze?

Doktór smutny, zamysłony, z razu nie zrozumiał pytania.

— O kim pani mówi?

Wskazała palcem na drzwi i powtórzyła.

— Prawda że on umrze?

Pierwszy raz młody lekarz przypatrzył się wyrazowi téj twarzy dziewczęj, przejętemu nie ziemskim smutkiem aniola; zdziwił go jéj wyraz i pytanie.

— Niestety, rzekł, mało mam nadziei, ale są cuda na świecie.

Wanda spójrzała mu w oczy.

— Dobrze jest, rzekła, że pan wierzysz w cuda, lekarze zwykle w nie nie wierzą, a tylko cudami tłumaczy się życie, śmierć, i serce człowieka, o! są cuda, panie, i wierzyć w nie potrzeba!

Popatrzyła nań jeszcze i poważna, zamyślona, odeszła.

Doktór długo stał osłupiały, dźwięk jej głosu i wyrazy któremi przemówiła do niego, długo mu w uszach brzmiały. Odtąd z większą ciekawością wpatrywał się w nią, śledził i nabawiała go jakimś przestraczem, jak nierozwiązana zagadka. Był lekarzem, wszystkie więc fenomena życia mocno go zajmowały, osobliwie te, których ani fizjologicznie ani psychologicznie rozwiązać nie mógł. Postrzegł zaraz potem, że gdy Karol miał zażądać napoju, lub potrzebować jakiej pomocy, daleko wprzód nim się odezwał, Wanda jakby myśl jego czytała, przygotowywała wcześniej właśnie to, o co on miał prosić.

Hensch sądził z razu, że to się trafiło przypadkiem, ale takich przypadków tyle przychodziło w ciągu jednego dnia, że w końcu lekarz rzeczywiście uwierzył, iż są cuda na świecie.

A widząc jak na dłoni zbliżającą się śmierć nieuniknioną rozrzewnił się tą dziwną miłością,

tak nagle u łóża konającego wykwitła, a taką spokojną, jak gdyby wieki trwać miała.

Pierwszy raz widział on żywą poezję o której sądził dotąd, że cała w suchych tylko zamykających się księgach, i przyznać musiał po cichu, że nauka chwyta tylko łupiny, a woni i barwy życia pochwycić nie może.

Rana Karola w ciągu dni kilku tak się pogorszyła, iż żadnej nie pozostawało nadziei, aby chory wyjść z niej mógł choć kaleką. Gorączka, z którą walczone wszystkimi środkami, coraz się wzmacniała; ustępowała ona jeszcze na dłuższy lub krótszy przeciąg czasu, ale wracała upornie, stając się coraz dłuższą, a w nocy prawie go nie opuszczała. Naówczas, straszny to był prawdziwie widok tego oblakania bohaterskiego, przez które całe czyste życie tego człowieka przejrzeć było można. Mówił o ojczyźnie, o jej oswobodzeniu, o walce, niekiedy zdawało mu się, że jeszcze dowodzi tym hufcem młodzieży, że się bije, że zwycięża, to znowu przypominały mu się sceny z więziennego życia, z dni samotności i rozmyślań, potem ciche spiskowanie lub rozmowy w salonie Jadwigi. A chociaż ona ciągle mu była na myśli jednak tak przywykł nawet przed samym sobą tać miłość, którą miał dla niej, że nigdy w żarze go-

rączki nie wymówił nawet jej imienia. Wśród nocnych czatów te urywam wyrazy, ulatujące z ust chorego, dobiegały do uszu Wandy, zrywała się naówczas, podbiegała i chciwie je chwytiała.

Zdawało się jej, że mówił dla niej i do niej. Pomiędzy tą milczącą postacią wyexaltowanego dziewczęcia i konającego człowieka był dziwny tajemniczy związek. Gdy zbyt rozdrażniony rzucał się, naówczas stawiała w progu, wlepiała weń oczy błagające i chory spokojniej usypiał, miała nad nim władzę którą czuła; gdy jęczał, zaczynała się modlić, a jęk powoli zmieniał się w szept cichy i łagodne snu oddechy.

Już było tak bardzo źle, że Hensch wyprawił posłańca do Warszawy, żądając z tamtąd lekarskiej pomocy.

Przedostatniej nocy doktor nie odstępował od jego łóża, gorączka była straszliwą, ze zdziwieniem przekonał się on, iż w największych paroksyzmach zjawienie się Wandy w progu dziwnie uspokajający wywierało skutek. Udawał, że śpi i kilka razy ponowiła się ta scena; gdy chory jęczeć zaczynał, cicho na palcach podchodziło dziewczę, wlepiało weń oczy i spokojny sen powracał. Henschowi zupełnie się w głowie przewróciło. Nad rankiem wychodząc z pokoju zmę-

czony smutny, spotkał Wandę, która spójrzawszy na niego, rzekła mu.

— Nie ma ratunku. Pan Bóg nie chce, przyjął ofiarę i krew tę drogą policzył za odkupienie ojczyzny, nie ma ratunku! panie! nie ma ratunku. . . .

— Tak jest, pani, rzekł Hensch, ale dziś jeszcze może kto nadjedzie z Warszawy, i kto wie, lepszy lekarz, jakiś cud. . . .

— Dziś nikt nie nadjedzie, odpowiedziała stanowczo Wanda, spuściła oczy i dodała po cichu nikt, oprócz księdza.

— Czyście państwo posłali? spytał doktor.

— O! nie! odpowiedziało dziewczę, nikt po niego nie posyłał, ale ja wiem, że przyjedzie.

Hensch nie z tego nie zrozułiawszy odszedł. Ze dniem powróciła przytomność, chory był mocno osłabiony, niespokojny, ale zdawał się lepiej. Około południa ujrzano na prostym chlopskim wozie przybywającego Bernardyna.

Był to ksiądz Łukasz, którego w drugiej potyczce dosięgła lekko kula moskiewska, ale mu tylko szeroko wyorala plecy, zniósłszy z nich skórę a nie tykając nic drażliwszego. Rana ta wszakże wielka i boleśna zmusiła go na kilka dni przynajmniej oddalić się od obozu. Dowie-

dziawszy się gdzie leżał Gliński i on też tu przyciągnął. Cierpliwy, nie bardzo stękał, a że mu już cyrulik plastrem pozalepiał w plecach dziury, jak on się wyrażał, powiadał wesoło, że tylko braknie, aby mu to pozasychało.

— Niechże będzie pochwalony Jezus Chrystus, rzekł stając w progu i witając gospodarzy, darujcie państwo żem się tu przywłókl, choć wojna nie moje rzemiosło, ale gdzie walczą za wiarę i ojczyznę, ksiądz także potrzebny. Otóż polazłem i ja za wojskiem, a pan Bóg mi pobłogosławił, wyprawilem na tamten świat dobrze przygotowanych duszyczek już dosyć, i tak słowo Boże darmo w obozie nie poszło. Nie raz widomie skutkowało, ale żebym nadto nie zdumniał, dał mi pan Bóg przestrozę, ot widzicie państwo, raz mi kula kaptur przedziurawiła, a oto teraz, jak szmachnęła, jakby pługiem plecy przekroił, albo jakby bizunem. Jeżeli tedy łaska, dać mi się tu trochę wylizać, aby no zaschło.

Czule go przyjęto, a dowiedziawszy się zaraz o stanie Karola ksiądz Łukasz, pospieszył do niego: trafił na chwilę przytomności, powitanie było czule.

— Ojeze, pospiesznie spytał Gliński. zdaje mi się, że ja chwilami jakoś majaczę, rana mnie bardzo boli, a choć dusza silna...

— *C'aro infirma* dodał po cichu ksiądz Łukasz! to wiadomo...

— Otóż, pókim przytomny mów mi, mój ojcie, mów co się dzieje z naszymi? gdzie Berdysz? jak powstanie? co robią moskale? czy dobra nadzieja? jak lud wiejski? wszystko, wszystko, pociesz mi duszę jeśli można, lecz choćbyś miał zasnąć, mów mi prawdę

Hensch spojrzał znacząco na księdza Łukasza jakby go błagał, aby złemi wiadomościami ostatnich chwil chorego nie zatruił. Ksiądz choć to zrozumiał, klamać się jednak nie zaowadlił, potrząsł głową i rzekł.

— W Bogu nadzieja, jeśli nas moskale w pierwszych kilku dniach nie zjedli, to roczek albo i więcej potrzymamy się. A dalej albo Pan Bóg nad nami się zlituje, albo djabeł nad niemi. Berdysz się wykręca jak wiun, mości dobrodzieju, ot, ot już go niby biorą, a on, chlast, i wyleciał ani śladu i już kogoś trzepnął mimochodem. Powstanie się okrutnie wznaga, ludzi jak maku, broni trochę brak, a tu te szwabki naokoło, jedną ręką biorą pieniądze za karabinki, a drugą je konfiskują, to największa bieda. Ludek wiejski to zwyczajnie, mój dobrodzieju, dzieci, serca dobre, ale niedowierzają, a po trosze się boją, pra-

wdą i Bogiem, uderzmy się w piersi, któż to temu winien jeśli nie my? Każda wina chłopa ciąży na sumieniu szlachcica. Od majowej konstytucji było dosyć czasu na uczynienie ich obywatelami kraju, obiecywaliśmy, obiecywali, niedotrzymali, to teraz choć już doprawdy gotowibyśmy wszystko dla nich zrobić, jeszcze nie bardzo wierzą. Ale to pójdzie, przy łasce Bożej, a szelmostwie moskiewskiem, jakoś to będzie, bo już cię sprawiedliwość jest. Bóg jest, i krew nigdy darmo w ziemię nie wsiąka.

— A biją się dobrze? spytał Karol.

— Jak lwy; nie raz moskale jak duchem Bożym rażeni pierzechnęli przed nami, cała ich nadzieja, że jak tę dziez z głębi Azji ruszą, jak te hordy dzikie z nad Uralu, ze stepów wyleją się brudnym potokiem na ziemię naszą, to uduszą, to pochlona; ale Bóg nie dopuści!!

— Mów że mi księżę, mów, o moich, o wszystkich, kto zginął? kto żyje? kto najwięcej dokazuje?

Na mnóstwo nieustannie rzucanych pytań ksiądz odpowiadał jak mógł, tając po trosze wielkie straty, słodząc niektóre opisem zwycięstw prawdziwie heroicznych.

Zadają nieustannie opisom téj wojny świętej

o niepodległość przesadę, płatne przez Moskwę dzienniki; zaprzeczania ich wszakże inną nad tę niepotrzebują odpowiedzi, że bój ową bezbronną garść przeciwko uzbrojonym krociami, przeciw gwardjom, działom, terroryzmowi, prześladowaniu, barbarzyństwu i świętokradztwu, trwa już rok cały. Wysiłki Rosji, sztucznie w nią obudzone nie ludzkie niby patryjotyczne zapęły, wylew wojsk. zubożenie, ciemność niezmogły ducha w narodzie i walka trwa a nie wiedzieć kiedy się skończy. Ślepym być potrzeba, ażeby nie wiedzieć, że owe wieszania, strzelania; rabunki, wzmogły, nie zubożyły siły nasze, że od końca Stycznia, mimo strat dotkliwych, polskie zastępy urosły, nie zmniejszyły się. Zaludnił się nami Sybir, zapchały wszystkie miasteczka Wielkorosji, przepełniły kopalnie, jęk i płacz stały się naszym chlebem powszednim, stojemy jednak w szeregach. Moskwa potrzebowała obudzić aż szal w narodzie, aby się ochronić od zarazy heroizmu, rząd czuł i czuje, iż to wielkie sturaniennę męczeństwo musi być apostołstwem, że prędzej, później i Moskale pokłękają przed bohaterstwem naszym, musiał się zastawić tą wywołaną nienawiścią, wyrobioną mozolnie, aby się od zguby ostatniej osłonić.

Mimo tylu nieszczęść, mimo ofiar tylu jakże to wielki obraz! te zapasy rozgorączkowanego narodu ze wścieczoną dziecią!

Ksiądz opowiadał i lzy mu się gęsto staczały po twarzy, ręce podnosił, głosn mu niekiedy brakło, a mimo prostoty jego wyrażań i przerywanego wątku opowiadania, słuchacze porwani zapalem, który się lał z ust jego, kipieli nim także. Karol wsparty na łokciu, z oczyma w księdza Łukasza wlepionemi, oddychał żywo, lica mu się paliły, chwycił każde słowo, karmił się niemi, a Wanda stojąc w progu uchem pochłaniała opowiadanie, choć oczy miała wlepione w chorego. Hensch musiał nareszcie poszepnąć Bernardynowi, aby tego rozbudzającego napoju do zbytku nie przylewał; ale Karol nie chciał go puścić od siebie, i nieustannemi pytaniami wywoływał nowe opisy.

Tak nadszedł wieczór. Chory osłabł, głowa jego jakby od zmęczenia pochyliła się na poduszki, a oczy kleić poczęły. Ale razem ze snem przyszło marzenie gorączkowe, marzenie jakieś wesołe, bo lica się rozjaśniało i usta zabierały do uśmiechu. Hensch dawszy napój chłodzący, sam odszedł na chwilę, ksiądz został w fotelu i modlił się, za drzwiami w progu stała niezmordowana Wanda. W milczeniu upłynęło godzin parę.

Ksiądz także znużony puścił z rąk drewniany różaniec, który mu się zsunął powoli po habicie, i zdrzemnął się mimowolnie. Nagle z łona tej ciszy jak mruczenie strumyka szmer cichych słów dał się słyszeć; Karol się podniósł z wolna, z oczyma otwartemi, wesół, rozpromieniony i mówić począł do widm i mar, które oczyma duszy oglądał.

— Męztwa i wytrwałości bracia moi!! walka musi być długą, straszną, ciężką... ale zwyciężką być musi. Padną pierwsi ci, co ją rozpoczęli i jeden może nie zostanie żywym z tych, w których sercu się ona urodziła.... i przyjdą wielkie klęski, i dnie trwogi, i noce zwątpienia i będzie się zdawała pustką ziemia nasza, ale ci co polegli, wynijdą z grobów i wywiódą z sobą całe te hufce nieboszczyków, które przed laty za ojczyznę poginęły, i znów rozpocznie się walka uparta, zjadła... A nie mogąc nas pożyć wróg chwycić będzie bezbronnym, pastwić się nad niewiastami i niemowląt głowy roztrzaskiwać o kamienie, i wielki krzyk wznijdzie przez chmury aż do tronu Bożego, a góry zbestwiała ziemia śmiać się będzie z męczeństwa naszego i poklaskiwać ciemiężcom, naówczas z podnóża wszystkich ludów wstaną uciśnieni i wstrząsną się lądy i zahuczą morza i wywrócą się góry na głowy zgrai,

a po nad wielkiem pobojuwiskiem, czerwonym od krwi, bielejącem kośćmi, falującym trupami, wzleci orzeł biały i na skrzydlatym runaku rycerz litewski, a po nad niemi z mieczem błyszczącym stanie archanioł Rusi, i pola zazielenią się wiosną, swobodą, pokojem... a niedobitki dzieczy runą w głąb azyjskich stepów, jako morze odbite od brzegu....

Ale nim ten dzień nadejdzie, umrzemy tysiąc razy na każdy dzień pod katowskim mieczem, na stryczkach, w płomieniach, i niejedno serce zwątpi, i niejedne oczy za łzami światła nie zobaczą... bo jak długo trwała sromotnie znoszona niewola, tak długo może trwać będzie bój i ofiara....

Ustał mówić, oddechu mu brakło, rozbudzony pierwszemi wyrazy ksiądz Łukasz wstał i słuchając, ukląkł jak do modlitwy, jak w obliczu świętego i proroka. Wanda także weszła i słuchała z głową spuszczoną, jak gdyby urok tego głosu ją pociągał, występowała nieznacznie coraz bliżej, coraz bliżej sama nie wiedząc że idzie, w jej oczach znikła ziemia, ludzie, życie, zdało jej się, że wzniesiona w obłoki leci razem z tym orłem pogonią i aniołem.... Oczy Karola ciągle wprzód były zwrócone ku niebu, potem gdy mówić

przestał zwolna skierowały się ku niej i uśmiechnął się.

— A! rzekł, obudziłem się, byłem pewny, że gdy się przebudzę oczy cię moje spotkają... Czekałem, nie mogłem umrzeć bez ciebie, a potrzebuję umrzeć, ciągną mnie tam! wolają, muszę iść, ale m też musiał ciebie, co tu zostajesz, pożegnać... bo chociaż się tam jeszcze zobaczymy, ale tu powiedzieć ci potrzebuję, co wiecznie w piersi mej głęboko zatajone chowałem...

Mówił to do Wandy biorąc ją za Jadwigę, ona słuchała i przyjmowała jak wyrzeczone do siebie.

— Tak! domyślasz się, jam cię kochał, czysto, święcie, nie ziemsko, tak, jak anioły kochać można, i dla tego anim wspomniał ci o miłości, bo wyrazy moje tu by nie były zrozumiane: ale oczyma mówiliśmy do siebie, ale dusze się nasze pojmowały. Skrepowane słowy uczucie byłoby cierpiało, i tak, tylko w tej uroczystej chwili kochać się nam było wolno, bo wołała matka, bo jęczały tysiące, a w chórze tych jęków pieśń weselna byłaby bluźnierstwem. Ja wiem, dodał ciśniej, wciąż się zwracając do Wandy, żeś ty mnie kochała, bo taka miłość samotnie w sercu jednym zrodzić się nie może, wykwiła razem z dwóch

piersi i kielichy tych dwóch kwiatów chyła się ku sobie. Teraz gdy ty masz pozostać na ziemi, a mnie ojczyzna w poselstwie do niebios wysyła, ja wszystko powiedzieć mogę, razem z tém uroczystem — do widzenia w lepszym świecie. I przez usta mi się łanie, coby przez nie nie przeszło za życia, i mogę bez zgryzoty sumienia oddać ci ślubny pierścionek mój matki, który cię z grobem zaręczy....

To mówiąc zsunął z palca wychudłego skromną obrączkę i podał ją Wandzie, a ona mu drżąca dziewiczy swój na palce włożyła pierścionek.

— Księżę, rzekł Karol, jakby dopiero go spostrzegł, tyś tu nie nadaremnie, ty masz nas pobłogosławić, nie na życie, ale na święte małżeństwo dwóch światów, ziemi i nieba, błogosław. I Wanda zwróciła się ku niemu, a ksiądz jakby pociągnięty umierającego rozkazem, wstał, przyszedł, ręce nad niemi rozciągnął i płacząc modlić się zaczął. Ale na ustach dziwnie mimowoli plątały mu się modlitwy; błogosławieństwo weselne i pacierz przy konającym; dwie ich ręce spojone długo tak drgały jakby jednym życiem, od niej płynęła siła ziemskiego żywota, od niego potęga śmierci, on odżywał, ona się konać zdawała.

Była to chwila walki przedśmiertnej, naresz-

cie głowa jego zwolna osunęła się, bladła, oczy przymknęły, dłoń zmartwiała, a gdy ostatnie wydawał tchnienie, Wanda także jak martwa padła na podłogę.

Sceny tej strasznej i cudownej razem jeden ksiądz Łukasz był świadkiem, gdy na krzyk jego wbiegł Hensch zastał już Glińskiego zwłoki tylko stygnące, a przed nim biedne dziewczę omdłałe, z wyrazem niebiańskiego spokoju na białem obliczu. Twarz Karola także nie zdradzała gwałtownych męczarni, ani ciężkiego pasowania się z życiem, miał uśmiech na ustach, czoło wypogodzone i zdawał się usypiać.

Świadek tych chwil ostatnich, ksiądz Łukasz krzyżem leżąc na ziemi szlochał jak dziecko.

Gdy na rękach matki i siostry, westchnieniem zbudziła się Wanda, pierwsze jej wejście padło na ślubną obrączkę zmarłego i uśmiechnęła się żałośnie; ksiądz już był rozpowiedział dziwne te zaślubiny, którym błogosławił, obawiano się ich wrażenia na umysł Wandy, sądzono wszakże, iż sobie może po zemdleńiu nie przypomni co się z nią działo, że jej potrafią wmówić, iż to sen był tylko. Matka i siostra próbowały ściągnąć tę obrączkę z jej palca, ale zemdlona trzymała dłoń ściśniętą i nie dała jej wydrzeć

sobie; otwarłszy oczy rzuciła się w objęcia matki i rzekła do niej po cichu.

— Otóż, matuniu droga, to wesele, które mi było przeznaczone, błyskawica szczęścia, i długie życie żałoby!!

Starano się jćj nie rozumieć ale, z wielką przytynością i chłodną krwią, odpowiadała nie niecierpliwąc się.

— Wy nie nie wiecie, ale ja wszystko pamiętam! Byłam jego żoną, jestem po nim wdową, przysięgam mu wiarę, gdy szedł do grobu i przysięga moja zstąpi z nim do trumny, a ja jćj nie złamię. Ale czegoż płaczecie nademną? Jam bardzo szczęśliwa! miłość na ziemi to kwiat stref południowych na Syberji lodach, więdnije prędko i staje się suchą brzydką lodygą, posadziliśmy ją w ciepłym niebie, aby tam wiecznie kwitła!!

Gdy się to działo we dworze państwa Wernerów, troskliwy wujaszek eskortował tymczasem siostrzenicę do Warszawy. Ale po pierwszej chwili wysiłku na ten krok stanowiący, powoli stygnąc i słabnąc coraz bardziej się przekonywał, że popełnił wielką niedorzeczność, i że, koniec końcem, wyjdzie z niej zwyciężony ze wstydem. Naprzód Albert już rozstał się z nim, czyniąc mu srogie wyrzuty, i zapowiadawszy, że z nim najzupełniej zrywa, dodał, iż jeżeli jakiegokolwiek następstwa nie mile dla Jadwigi podróż ta przymusowa pociągnie za sobą, on się o nie upomni. Było to jakby wyzwanie, a piękny wujaszek, jakkolwiek śmiałka udawał, nie miał najmniejszej ochoty ani się pojedyńkować, ani znowu za tchórza uchodzić. Dojeżdżając do Warszawy przeklinał w duchu całą tę sprawę, i rozmyślał tylko, jak wybrnąć mniéj więcej przyzwoicie. Kilka

razy w ciągu podróży zbliżał się do powozu Jadwigi, usiłując zawiązać rozmowę, ale ona milcząc odwracała się od niego, i na żadne pytanie nie chciała dać odpowiedzi. Byłby się chętnie pogodził, nawet przeprosił, ale nie było sposobu. Łamiąc sobie głowę nad tem co poczynić, postanowił przy ostatniej stacji pod Warszawą straż od karety odjąć, a sam z adjutantem powrócić. Gdy konie przepręgano, zbliżył się znów do karety i stanąwszy w oknie rzekł do panny Jadwigi:

— Proszę się na mnie nie guiewać, chciałem pani dać czas do głębszego nad jej położeniem namysłu, to był cały mój zamiar i tego dopiąłem. Jesteś pani najzupełniej wolną, bom téż nigdy swobody jej osobistej tamować nie chciałem, uczyniłem z przywiązania i szacunku co tylko było można uczynić w mojem położeniu, więcęć powiem, zrobiłem rzecz nad siły, przeszedłem granicę której nigdy w życiu nie ważyłem się przekroczyć, jeśli winien w oczach pani, wina to starych przekonań, które rodzinę wiązały nazbyt może ścisłemi węzłami, zaklinam panią, zastanów się, wracaj do domu i ochłoń z téj niebezpiecznej egzaltacji, którą ją złe towarzystwo nabawiło.

Jadwiga zdawała się nie słyszeć, gdy się jej uklonił, skłoniła także głowę, a po odejściu jego

widząc się wolną, chociaż złamana i zmęczona, natychmiast kazała świeże konie zaprzęgać i na powrót udała się tą samą drogą, którą już raz przebyła.

Hrabia czekając co z tego będzie, stał na uboczu i był niemym świadkiem jak tejże chwili odjechała; zgryzł wargi, zapalił cygaro i pocieszył się tém, że przynajmniej z Albertem do pojedynku nie przyjdzie.

Na pierwszój stacji, którą szybko ubiegły świeże konie, panna Jadwiga dotąd żyjąca rozdrażnieniem i niecierpliwością, uczuła się słabą i zmuszona była wypocząć, siły ją opuściły, ogarnęło jakieś zwątpienie i złowrogie przeczucia. Nie spieszyła już tak jak wprzód, a pogrążona w myślach, na Emmę zdała całe gospodarstwo podróży.

Rano dopiero nazajutrz wybrały się dalej w ciężkiem milczeniu i przybyły około południa znowu na popas do miasteczka, w którém je pierwszy raz hrabia Max zatrzymał i zwrócił. Jadwiga nie chciała zajechać do gospody, która jęj przypominała tę scenę przykrą i upokarzającą, tém szczególniej, że z wielkiej boleści postradała moc nad sobą i może pierwszy raz w życiu poczuła siłę gniewu nierozważnego. Zatrzymały się więc w inném miejscu, tyle tylko ile koniecznie

było potrzeba. Już konie zaprzęgano, gdy słujący wszedł pod pozorem jakichś przygotowań do drogi, i skinął na pannę Emmę aby za nim wyszła. Uczuła ona, że się tam coś znowu stać musiało, i z trwogą wysunęła się. W progu drugiej izdebki, w kątku stał Młot.

Nigdy jeszcze tak pogrążonym i smutnym nie widziała go panna Emma, twarz młodego człowieka zwykle jaśniejąca energją i odwagą, wyrażała pognębienie i boleść niewysłowioną.

— Cóż się z panem stało? odezwała się do niego przybliżając po cichu Emma, gdy nas brano w niewolę?...

— Ja? uciekłem, rzekł Młot... wiedziałem drogę, znalazłem konie łatwo, dostałem ich do miejsca.

— I powracasz tak prędko? cóż z Karolem?

— Karol! zawołał smutnie młody człowiek, Karol, jeśli jest niebo... jest już w niebie, i... modli się za Polskę, za którą zginął...

Emma złożyła ręce... Cicho! cicho! cóż teraz pocniemy z Jadwigą?

— Gdyby to była inna kobieta nie ona, przerwał Młot, powiedziałbym: uwieźcie ją, wprowadźcie, ale Jadwiga ma dosyć mocy duszy, aby go na marach pożegnać, a jeżeli jej odmówicie

tęj ostatniej pociechy... będzie dla niej boleśniej. Karol leży na katafalku, nim go pogrzebią, musicie pośpieszyć.

— Ale jakże, krzyknęła zakłopotana przyjaciółka... mówić jej? czy milczeć? co począć? przygotowywać ją, czy odrazu prawdę tę całą podać.

— Przygotowania do takich boleści, dwoją je tylko, odparł smutnie Młot... jej serce musi przeczuwać nieszczęście i jest na nie przygotowanym...

— Jakże? kiedy? dawno umarł?

— Nie pytajcie mnie o nie, mówić bym nie potrafił. Młot pochwycił się za głowę. Były przy jego śmierci, dodał, nadzwyczajne rzeczy... w gorączce prorokował, miał widzenia, zegnał Jadwigę, i... uroiło mu się biednemu, że ona jest przy nim... a była to Wanda córka gospodarza co go pilnowała... Przed samym skonaniem odegrała się scena rozdzierająca... dał jej pierścioneł. X. Łukasz ranny, błogosławił ich, dziewczyna dostała z tego prawie obłąkania zmysłów.

Z wytężonym słuchem a oczyma łez pełnemi, Emma chwytala każde słowo opowiadającego, zalamując ręce... naostatek zaponmiała się i poczęła szlochać głośno. Ani się spostrzegli oboje, że Jadwiga wsunęła się po cichu przez próg i oczy-

ma odgadła już ich rozmowę. Po chwili podeszła do Emmy...

— Maniu, rzekła, czuję, widzę, wiem... Karol umarł? mów! mów, nie taj przedemną... nie dzielcie mi na kropelki tego kielicha żółci... mów!

— Wiész już wszystko! zawołała, rzucając się w jej objęcia przyjaciółka...

— A! a ja! ja! nie byłam u jego łóża! w tej chwili gdy może oczy jego szukały mnie, gdy serce zachodząc żalem, naostatek zwątpiło... i skończył wyrzucając mi... niewiarę... (O! ja nieszczęśliwa!

Jadwiga zaczęła płakać.

— Przeczulałam to wszystko, rzekła po chwili, tak być musiało. Nadtom go kochała, a za mało tę ojczyznę którą on tak bardzo miłował!... Ale powiedzcie mi, powiedzcie... nie! przerwała zrywając się nagle, nie chcę nic wiedzieć, koni, koni! ja go choć umarłego zobaczyć muszę i pożegnać...

I wybiegła jak obłąkana, rzucając się do powozu. Młot znowu usiadł przy woźnicy. Emma przy niej. W duszy nieszczęśliwej kobiety krwawo rozpościerała się boleść, walczyła z nią, pokonała... zacisnęła usta, pobladła, oschły nagle powieki rozognione. Siadła w kątku powozu

i nieruchoma, z oczyma wlepionemi w jedno miejsce, milcząca jak marmur, przetrwała aż do wieczora. Emma widząc że ból wypowiedziany lżejszym się staje, usiłowała kilkakrotnie dobyć z niej słowo, ale napróżno. Jadwiga na każde jej pytanie odpowiadała drugiem.

— Czy jeszcze daleko?

Po dniu krótkim, wieczór się zbliżył szybko, mrok padał. gdy zdala ujrzeli bardzo oświecony dwór, dziedziniec był pełen ludzi jakichś i w boczny budynku wyjęte okna, przez które wielkie widać było światło, łatwo się było domyslić, że tam wśród tego blasku leżały zwłoki zmarłego. Jadwiga głowę wysunawszy przez okno, krzyknęła na woźnicę aby się u drzwi domostwa zatrzymał. Stając, dopiero postrzegli, że podwórzec pełen był moskiewskiego żołdactwa.

Dzikie ich i niesforne krzyki tłumiły głos cichych modlitw u trunny nieboszczyka. Młot spostrzegłszy zdaleka moskali, zsunął się szybko z kozła przed bramą dziedzińca i pobiegł się gdzieś ukryć, a dostrzegł już pomiędzy kołnami kozackimi jeńców pobranych we dworze, powiązanych, doktora Henscha za to że śmiał leczyć powstańca, księdza Łukasza za to że go spowiadał... Wojtką, że mu posługiwał.

Biedny księżyna najmocniej był zbity, habit na nim poszarpano, twarz miał okrwawioną, a ręce z tyłu grubym ściągnięte postronkiem, który był przymocowany do konia. Mimo to patrzył w niebo spokojnie i modlił się po cichu... Soldaci powtarzając scenę nie nową, otaczali go urągając mu, plwali w twarz, tłukli bizunami, malowali mu wąsy węglem... Starszyzna patrzyła z radością na te bohaterskie czyny młojców... o! bohaterowie Rosji!!!

Zaledwie powóz stanął wśród téj zgrai, żołnierze go otoczyli, a pan kapitan z cygarem w ustach i uśmiechem przybliżył się z miną szyderską.

— Ho! ho! zawołał łamanym językiem, panie widzę przybyły na pogrzeb powstańca?... buntowuszczyka oplakiwać! ale ja tu jemu inny pogrzeb, a wam inną z żołdatami wyprawę zabawkę! A! piękne panny! dalibóg! Ot! byście porzuciły tych głupich Polaków a poszły do obozu... zobaczyłybyście, jak my wesołemi być umiemy z damami...

Jadwiga spojrzała groźnie na moskwicina i jakoś zamilkł, jej powaga zmieszala go, tymczasem nadbiegający gospodarz począł na bok oficera odciągać.

— Kapitanie, rzekł, słuchaj... jeżeli żołdatom puścisz wodze nie ci z tego nie przyjdzie, bierz co ci ofiaruję i daj nam spokojnie trupa pogrzebać, a ludzi tych wypuść.

Oficer machał ręką, ale słuchał wszakże.

— Nie mogę, nie mogę, rzekł.. idź precz...

— Namysł się pan... dodał szlachcie.

— No, bierz cię djabli, zawołał kapitan po namyśle. daj trzysta rubli, koniom owsa i ot — pociągnął za łańcuszek dobywając mu z kieszeni zegarek kosztowny, dodatku to... to wam dam pokój i odejdę.

— Zgoda... jęknął Werner, chodźcie do dworu, płacę zaraz, a ustąpcie i odesłajcie żołnierzy...

— Ale! nie głupi! sam nie zostanę bez nich, jeszcze by mnie tu gotowi wziąć powstańcy... dawaj grosze, pójdę razem z nimi!..

Dobiwszy tego targu, kapitan kazał żołdactwu stanąć w szeregi do wymarszu, a sam skierował się ku dworowi.

Tymczasem Jadwiga wsunęła się do izdebki, w której trup leżał na niskim katafalku, ostawionym świecami i zielonemi gałązmi sośniny, w progu rzuciła się na podłogę... Siły ją opuściły, gdy go ujrzała... z tym uśmiechem śmierci

na ustach. W chwili gdy się pochyliła, ręka niewieścia pochwyciła ją i przycisnęła do serca.

— Siostro! szepnął jój głos słodki, nieznany, łagodny jak głos anioła — siostro! nie płaczmy.. on w niebie!!

Z podziwieniem zwróciły się oczy zapłakane Jadwigi na tę postać smętną, dziewczęcą w żałobie... tulącego ją do piersi z uczuciem.

— Któż ty jesteś? spytała.

— Ja? ja? rumieniąc się odpowiedziała spokojnie Wanda... dowiesz się później. Teraz ty byś mnie nie zrozumiała, módl się... a potem pójdziesz ze mną, wyznam ci wszystko, czekałam na ciebie...

Żal Jadwigi był straszliwy, łzy z oczów jój dobyć się nie mogły a dusiły ją, modlić się nie umiała, patrzyła w tę bladą twarz i zdawało jój się, że wieki tak pozostanie zapatrzona, zbolą, że ją nie z téj kontemplacji śmierci wyrwać nie powinno, nie miała innego pragnienia tylko tak pozostać z nim i w sobie...

Minęła godzina... ucichło wreszcie w podwórzu, które Moskale zanuciwszy pieśń dziką opuścili... kapitan uwolnił doktora i innych jeńców, ale księdza uwiązanego do konia wprowadzono.

W izdebce zmarłego zostały tylko trzy kobiety. Emma, która mdlała i szlochała, Jadwiga niema i Wanda spokojna jak śmierć.

Przybyłej wreszcie pierś otwarła się westchnieniem... a łagodne ręce objęły ją i głos cichy szepnął.

— Siostro... chodź ze mną, wrócimy się...

Jadwiga dała się ująć i odciągnąć, wyszła, a Wanda wiodła ją do tego niegdyś swojego pokoiku, w którym Karol skonał. I posadziła ją w krzesle a sama pokłękła przed nią.

— Siostro moja, rzekła łagodnie, nie znam cię, nie wiem imienia twego, a oczekiwałam na ciebie. Widzisz przed sobą istotę nieszczęśliwą, może jej nie zrozumiesz, nawet gdy ci się wyśpowiada... biedna kaleka. Bóg mi od kołębki dał jakieś jasnowidzenie przyszłości własnej... życie dziwne bez jutra, bo bez tajemnicy, widziałam je i patrzę na nie całe. Każdą naprzód znając chwilę, każdą boleść... dla tego tak smutna wszystkiem cierpieniem minioném i przyszłym! Żyję życiem innym, przezroczystem do dna. Jakbym pół duszą była za światem, połową tylko na świecie.

Dla tego, siostro nieznana, jam cię widziała dawno, jam czekała na ciebie, znałam cię i gdyś

weszła spodziewałam się, że wnijdziesz. Nie płacz! on kochał cię bardzo, miłością świętą i wielką a czystą.. ale Bóg chciał, abyś ty nie mogła zdążyć w chwili zgonu i aby wyrazy jego przeznaczone dla ciebie mnie się dostały!! abym ja wydziedziczona, kradzioną miłością była szczęśliwą tylko! Ja byłam widmem twojem u jego łóża, mówił o tobie do mnie, patrzył na mnie a widział ciebie, jam tylko jego widziała, i wzrok jego wlał mi w pierś miłość wiekuistą... Oto jego obrączka... zamieniłam ją na moją własną w chwili zgonu.. moją on poniósł z sobą do grobu, ręce nasze złączone ksiądz pobłogosławił, gdy konał... jestem żoną nieboszczyka, poślubioną ostatnim oddechem.... Siostro.. nie odbieraj mi obrączki jego ani jego wdowieństwa... przebacz mą kradzież! biedna wygnanka nie mam nic nad nią na świecie!!

Mogłam w chwili téj uroczystej zerwać mu z oczów zasłonę i zakrwawić konanie boleścią?? Musiałam być dla niego tobą! Wzięłam cudzą miłość, bo dla mnie nie było żadnej innej na ziemi.

Tys jego kochanką i siostrą, jam żoną i wdową.... Mówiła szepejąc po ciele i zakrywając sobie oczy, a Jadwiga ścisnęła ją i pła-

kała z nią razem.. choć w piersi jój wrzało dziwne uczucie, jakby piekielny stygmat zazdrości.

Wielką duszą wszakże potrafiła zwyciężyć i zakłąć tę burzę, wstała wypogodzona, cicha, spokojna, spierając się na ramieniu przybranėj siostry.

— Nie rozłączym się więcj, rzekła, pójdziemy razem.. do jego mogiły, a z mogiły na pobojewisko do braci naszych i jego, dwie sługi boleści, będziemy jak chrześcianki pierwsze, grześć ciała umarłych męczenników, opatrywać rany... Ta resztką życia, którą dźwigać musimy, nie do nas należy ale do ojczyzny, on przekazał nam przykładem ofiarę.. spełniam ją osuszając łzy cudze, bo nasze nie oschną...

— Tak! pójdziemy obie.. ściskając ją zawołała Wanda... Może jaka kula litościwa pogrzebie nas razem i polecą nasze duchy oswobodzone, tam, tam! gdzie on na nas czeka!!

KONIEC.



Lipsku.

Drukiem A. Th. Engelhardta.

Biblioteka Raczyńskich

JIK 554



JIK0554

WVWV